im. L. W. w Łodzi

Cygańska sprawa w Koninie

MIROSŁAW JURGIELEWICZ

Tego jeszcze nie było w Sądzie Rejonowym w Koninie — ława oskarżonych nie mieści wszystkich. Zasiada na niej jedna kobieta i siedmiu mężczyzn. Jeszcze dwie kobiety — również oskarżone — przysiadły w pierwszej ławce dla publiczności. Ta zaś składała się, w pierwszym dniu, w większości z rodzin i stałych bywalców sal rozpraw. Przeważają ludzie starsi. Proces „W sprawie Sabiny B. i innych" rozpoczyna się prawie z godzinnym opóźnieniem: nie zdążył konwój z Poznania. Tylko troje spośród dziesięciorga oskarżonych osadzono w areszcie tymczasowym. Pozostali odpowiadają z wolnej stopy. Jest to początek finału „zajść ulicznych na tle waśni narodowościowych", które miały miejsce w starym Koninie w dniach 9 i 10 września 1981 roku.

Oskarżeni to ludzie młodzi (wiek od dwudziestu do dwudziestu paru lat), wyraźnie odróżnia się tylko Sabina B. — panna, rencistka, matka trójki dorosłych synów i 32-letnia Halina K. — zniszczona przez alkohol i niełatwe życie człowieka z marginesu. Gros spośród zasiadających na ławie oskarżonych ma za sobą wyroki za wcześniej popełnione przestępstwa, dwóch z nich aktualnie odbywa kary. Nie wszyscy mają stałe miejsce zatrudnienia. Nie po raz pierwszy stają przed sądem. Śledztwo wykazało, że stanowią grupę najbardziej agresywnych ludzi w tłumie, który palił i niszczył w wrześniowe wieczory.

AKT OSKARŻENIA

zarzuca im zniszczenie przez podpalenie trzech samochodów (duży „fiat" i dwie „warszawy"), uszkodzenie „malucha", zdemolowanie kilku sklepowych witryn, kiosku „Ruchu", kilkunastu metrów chodnika, nawoływanie do waśni na tle różnic narodowościowych i pochwalanie ich oraz publiczne lżenie i wyszydzanie grup ludności cygańskiej. Podburzali tłum „do rozwiązania problemu Cyganów", „do wybicia, wygniecenia tych gnid".

ZACZĘŁO SIĘ WSZYSTKO

od prozaicznej na pozór sprzeczki o papierosy w restauracji „Europa". Ponieważ nawet chuligani mają swoje zasady etyczne, sprawę postanowiono rozwiązać przed pobliskim kinem „Górnik". Ciosy padały gęsto. Nikt nie oszczędzał pięści ani butów, które celnie lądowały na twarzy jednego z antagonistów. Najaktywniejszy w bójce był Maciej W. — dla kumpli „Skarbek" — który wraz z „Knesiem" i „Kapuchą" na Witoldzie J. dochodzili pięściami swoich racji. Nim wszystkich pogodziła milicja, do bójki wkroczył ojciec Cygana „Skarbka", Józef N. Na czynny w niej udział nie pozwoliła córka i kilku innych znajomych. Gdy przyjechał patrol MO, Cyganie „dali nogę". Zabrano kilku Polaków. Gorycz porażki wyzwoliła uczucia nienawiści. Rozentuzjazmowani młodzi ludzie, rozgrzani alkoholem, doszli do wniosku, że im i ich kolegom dzieje się jawna krzywda: „jak to, znowu wzięli tylko naszych a Cyganów puścili?". Głośne pomstowania i niewybredne epitety zgromadziły mały tłumek gapiów. Postanowiono przejść na plac Wolności, pod dom W.

OD KINA DO DOMU

cygańskiej rodziny W. nie ma więcej jak 200—300 metrów. Przy krawężniku stał zaparkowany „fiat 125p". Tłumek, który się powiększał, z dużym zrozumieniem wysłuchiwał żalów młodych ludzi. Nie ingerował gdy doszli do wniosku, że spalenie samochodu wyrówna rachunek krzywd. Silne ręce przewróciły samochód na dach. Jerzy S. wyciągnął zapałki. W pozbawionej światła dzielnicy — akurat nastąpiła przerwa w dostawie prądu — niezwyczajnie wyglądała samochodowa pochodnia. Tłumowi udzieliła się również żądza krwi, podpalania, mordu. W ruch poszły kamienie, kawałki chodnikowej płyty, połówki cegieł. Z okien cygańskiego mieszkania poczęły sypać się szyby. Przy okazji kamienie trafiły w wystawy sklepów, w „Jubilera". Później przeszkadzał kiosk. Atmosfera, jaka temu wszystkiemu towarzyszyła, bardziej przypominała Noc Świętojańską niż poważne incydenty uliczne. Tu i ówdzie zaczęto intonować pieśni, młody mężczyzna rusza w tany ze starszą kobietą (uwiecznił ich na zdjęciu milicyjny fotoreporter). Strażacy, którzy zostali powiadomieni o pożarze nie mogą gasić, bo tłum nie pozwala. Gdy jeden z nich zaczyna wykonywać czynności, jakie zwykli wykonywać w obliczu żywiołu wszyscy strażacy na całym świecie, podbiega do niego młody człowiek, łapie za klapy i przy pomocy steku niecenzuralnych słów przypomina mu o tym, kto tu decyduje o wszystkim. Dopiero gdy samochód dopalał się rozpoczęto pertraktacje z tłumem. W końcu ludzie „łaskawie" godzą się na ugaszenie pożaru. Oberwał też zaparkowany w pobliżu „maluch" należący do Ireneusza Z.

W tym czasie do akcji wkroczyli

MEDIATORZY

— dwóch koninskich dziennikarzy, przedstawiciel miejscowej „Solidarności", prokurator. Za wszelką cenę chcieli uspokoić tłum. Słowne utarczki, wzajemne przekonywania, próby użycia słowa dla „rozbrojenia" tłumu trwają do drugiej w nocy. Przy okazji zaczyna się coraz wyraźniej rysować tło zajścia. Odwieczne zawiści

6

Michaś Stralcoŭ

Żalejka

Jest u Anny Achmatowej
mały wierszyk — a o tym,
jak pewnego razu zjawiła się u niej
Muza, w pastusim ubiorze z żalejką.
— Powiedz mi, czyś to ty kiedyś dyktowała
stronice „Piekła" Dantemu? No! —
Tak zapytała Muzę poetka
A ta skromnie odparła: — Ja...

Co zaś do Januka syna Dominika,
którego my teraz nazywamy Kupałą,
pewnego razu zaszła mu drogę gromada —
głodna i bosa, w podartych świtkach.
Syn Dominika musiał pewnie zapytać,
kim są, skąd idą i czego chcą?
A gromada mu odpowiedziała:
— Białorusy...

On ich pobłogosławił, a oni
oddali mu do rąk wierną żalejkę.

Przeł.: JAN HUSZCZA ■

Wiersze Janki Kupały i Jakuba Kołasa w przekładach Jana Huszczy — publikujemy na str. 8.

• Dalszy ciąg dziennikarskich wspomnień Adama Ochockiego
• Licencje • Ciekawostki obyczajowe • Chiny dziś

Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 20 (1273) ROK XXV | 20 SIERPNIA 1982 ROKU | CENA 20 ZŁ

Foto: Mirosław Zajdler

Przegląd prasy

TYLKO W PRÓŻNI POLITYCZNEJ

...mogło się zdarzyć to, co zdarzyło się w sierpniu 1980 r. w Stoczni Gdańskiej — twierdzi Wojciech Roszewski w „Argumentach". *Strajk był w stoczniowcach, narastał w nich od blisko dziesięciu lat, od chwili, kiedy po złożonej przez siebie daninie krwi przyjęli u siebie nowego przywódcę partii i nie patrząc na własne „rachunki krzywd" przyrzekli mu dopomóc w dźwiganiu Polski. Przystępując do strajku wiedzieli już, że ich praca w poważnym stopniu została obrócona w niwecz, zaś danina krwi zlekceważona z rzadko kiedy spotykaną w historii arogancją. Wiecują, zakładają komitet Strajkowy, żądają przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, wzniesienia pomnika ofiar grudnia 1970, gwarancji, że nie będzie represji za strajk, podwyżki płac o 2000 zł i zrównania zasiłków rodzinnych z zasiłkami wypłacanymi funkcjonariuszom SB i MO. Te żądania, które wkrótce zmodyfikują, stanowią tylko jedną z konkretyzacji potężnej woli strajku, woli wyrosłej z głębi ich robotniczego bytu i nie od razu znajdującej najbardziej lapidarne i wyraziste środki wyrazu.*

Roszewski przypomina trzech młodych stoczniowców, którzy rozpoczęli strajk. Wspomnienia jednego z nich ogłoszone w tygodniku „Solidarność" zestawia z publikacją związkową „Who is who? stanowiącą klasyczny przykład „koloryzowania historii na użytek doraźnej propagandy". Roszewski zwraca się do młodego stoczniowca: *pisze tam jak był* (Who is who?), *„to właśnie Borusewicz wprowadza Wałęsę". A nieco dalej: „15 sierpnia 1980 pojawia się w Stoczni". Tyś w tej Stoczni był 14 sierpnia i Wałęsa był 14 sierpnia 1980. Więc jak mógł Borusewicz wprowadzić Wałęsę, skoro przyszedł do Stoczni dzień później? Jeśli już ktoś wprowadzał, to właśnie ty. Zrobiłeś swoje i nie było powodów byś błąkał się po jakichś „Who is who?". Na tym polegała istota całego manewru nie tylko w twojej skali, ale całej klasy. Takie rzeczy, powtarzam, mogą się dziać tylko w próżni politycznej. I główną odpowiedzialność za nie ponoszą ci, którzy ową próżnię polityczną stworzyli.*

Podczas dyskusji, jaka toczyła się w pewnym środowisku, a jej tematem były — co jest zrozumiałe — nasze codzienne sprawy, ktoś powiedział, że stan wojenny w naszym kraju jest realizowany

„PO POLSKU"

Na pytanie, co należy przez takie określenie rozumieć, odpowiedział w ten oto sposób: stan wojenny to brzmi groźnie. Zapowiada ostre represje, surowość życia, słowem przemoc na każdym kroku, a tymczasem... nie taki diabeł straszny, jak go malowano. To prawda, kontynuował, że kilka tysięcy osób internowano, ale większość już zwolniono i pozostało jeszcze kilkaset, ale z dotychczasowej praktyki można wnioskować, że liczba ich będzie systematycznie maleć; faktem jest, że sądy wojskowe i cywilne wydają wyroki na tych, którzy produkują różnego rodzaju ulotki, pisemka itd., ale z drugiej strony oficer bezpieczeństwa rozmawia z członkami podziemnych struktur „Solidarności" i zamiast aresztować ich — zgodnie z obowiązującym prawem, apeluje do nich: Panowie! Dajcie sobie spokój z konspiracją..." pisze na łamach „Polityki" Komentator, przytaczając dalej przykłady, świadczące o takiej polityce stanu wojennego, która w istocie rzeczy służy jak najszybszemu uchyleniu tego stanu. Szczególnie ważne i interesujące jest publikowanie na łamach tygodników społeczno-kulturalnych takich tekstów, które prezentują poglądy dyskusyjne i mogą się wydawać nawet „niewygodne" dla władzy. Komentator przypomina artykuł Reykowskiego pt. „Podstawowy dylemat" i Andrzeja Grzegorczyka „Wszyscy chcemy być ważni i niezależni — rozważania o godności Polaków".

„Nie dostrzega takich tekstów — pisze dalej Komentator — *także „Wolna Europa". Jej dyrektor, wieloletni agent CIA, Zdzisław Najder dowodzi, że kierowana przez niego placówka będzie trzymała rękę na pulsie i zajmowała stanowisko wobec spraw dla Polski ważnych. Ciekawe z jakich to powodów Najder i jego współpracownicy nabierają wody w usta w chwili, gdy bezpartyjny Reykowski i katolik Grzegorczyk wypowiadają się w sprawach nader ważnych dla narodu?*

Odpowiedź na retoryczne pytanie komentatora znaleźć można w aforyzmach Karela Capka, publikowanych w „Przeglądzie Tygodniowym". Oto niektóre:

„Wojna domowa: — Hurra! w imieniu narodu wybijemy samych siebie".

„Wróbel: — Czyż skowronek może mieć rację? Wykluczone. Prawda jest tylko jedna, a mianowicie wróbla".

Janusz Atlas uczestniczył w VI Ogólnopolskim Zjeździe Naturystów w Chałupach.

Zjazd udał się znakomicie. Aż tak licznej rzeszy wiernych trudno się było spodziewać; biorąc pod uwagę okoliczności obiektywne, niedogodności stanu wojennego i reformowalność cen na wszystko. Ale wierni nie zawiedli (...) Był transparent, tablica ogłoszeń oraz stoisko z materiałami programowymi. Aktyw zadbał również o wstęgę. Do jej przecięcia poproszony został prezes w asyście dwóch dobrze się prezentujących delegatek, czyli przedstawicielek Ludu. Wszyscy, oczywiście, w strojach organizacyjnych.

Domyślać się należy, że Janusz Atlas oraz fotoreporterka „Tu i Teraz", Dorota Bilska wystąpili na Zjeździe również w strojach organizacyjnych, czyli

NA GOLASA

Ani w programie przyjętym na VI Zjeździe, ani w deklaracji Ideowej nie ma słów prostych, o tym mianowicie że przyjemnie jest wygrzewać się na słońcu i w ogóle plażować na golasa. Ruch pragnie być traktowany przez społeczeństwo ubrane poważnie i pewnie dlatego jest to tak śmieszne.

O plażowaniu, tyle że w Bułgarii, pisze także na łamach „Tu i Teraz" Jerzy Urban. Publicysta zauważa, że polski kryzys nie nauczył Polaków skromności. Na plażach bułgarskich wczasowisk Polacy nadal zachowują się tak, jakby mieli jakiekolwiek powody do uważania się za lepszych od gospodarzy a także wszystkich innych nacji wschodnioeuropejskich. Oto zaobserwowany przez Urbana obrazek:

olska sfora turystyczna z zarezerwowanej dla niej polaci piasku agresywnie relegowała tubylczych plażowiczów, którzy się tu porozkładali, aby uniknąć większego tłoku na plaży ogólnej. Ostre sposoby własnego terytorium stanowią ogólnoludzki odruch atawistyczny. (...) Gdyby więc rodacy ujadali na pobratymców per „ty gnoju" lub stosując jakiekolwiek epitety przyjęte w analogicznych sytuacjach wewnątrzpolskich, albo mające obieg ogólnoludzki — scysja nie warta byłaby dla mnie podnoszenia głowy schowanej w piasku. Jednakże nasza gromadka krzyczała nie „ty kurduplu", gnoju, skurczybyku, bydlaku, świnio czy w jakikolwiek sposób przyjęty w nieformalnych stosunkach międzynarodowych. Wrzeszczano: per „Ty Bułgar": niech Bułgarzy się wynoszą, niech ta Bułgarka pozbiera ręczniki. Stosowanie narodowego wyróżnika wobec plażowych najeźdźców i używanie nazwy narodu jako epitetu, czyli przezwy pejoratywnej, przenoszenie konfliktu na płaszczyznę Polacy — Bułgarzy i czynienie tego wszystkiego w ich własnym kraju goszczącym — jest już erupcją szowinizmu. Nieodwzajemnianego zresztą, gdyż mojego rodaka uciekającego ze sklepu samoobsługowego ścigał, słyszałem okrzyk „łapaj złodzieja" nie zaś „łapaj Polaka".

Ciekawostką jest, że na plaży wrzeszczał: „Won ty Bułgar" nie jakiś ciemny, niezależny i nieindoktrynowany badylarzowicz tylko polski inteligent, nb. wysoki urzędnik państwowy.

Nad naszymi narodowymi wadami zastanawia się również Nakielski w ostatnim numerze tygodnika „Przegląd Techniczny".

Pierwszą stronę pisma zdobi portret ministra Krasińskiego, co zapowiada kilka ważnych i ważkich tekstów na tematy gospodarcze. Na te również tematy wypowiada się Nakielski, próbując polemiki z rozpowszechnionym przekonaniem o żarłoczności Polaków, stanowiącej jedną z głównych przyczyn kryzysu.

„MYŚMY PRZEŻARLI TO MIĘSO..."

ze względów politycznych. W żadnym kraju każdy nie musi codziennie jeść szynki" — to zdanie Michała Łosiaka, byłego doradcy przewodniczącego Solidarności Wiejskiej a obecnie przedstawiciela ZMW, jest właśnie bardzo charakterystyczne dla sposobu myślenia dużej grupy ludzi zajmujących się oceną stanu naszej gospodarki. Nakielski wymienia wśród nich — obok wspomnianego i zacytowanego Łosiaka — także Jerzego Urbana, autora zdania: *„Większość pieniędzy pożyczonych na Zachodzie społeczeństwo samo dosłownie przejadło.",* Neala Aschersona (książkę tego brytyjskiego publicysty omawiał szeroko Daniel Passent w „Polityce"), który napisał: *„Polacy wpadli teraz w obsesję mięsa, irracjonalną, agresywną, drapieżną. Spożycie mięsa było na 1 mieszkańca wyższe niż w wielu krajach zachodnich..."*

Jak to było naprawdę?

Rocznik statystyczny z 1980 r. podaje że spożycie mięsa w Polsce na 1 mieszkańca wynosiło w roku 1978 — 71 kg, w Czechosłowacji 83 kg, na Węgrzech — 72 kg, w NRD — 86 kg. (...) W świetle liczb trudno uznać zasadność tezy o naszym życiu nad stan. Rodzi się bowiem pytanie — ponad jaki stan? (...) Tłumaczenie niepowodzenia poczynań poprzedniej ekipy obżarstwem Polaków i ich skłonnością do zbytku, jest w obecnej sytuacji, proszę panów, conajmniej nietaktem" — kończy Nasielski.

Ważnym elementem „konsumpcji narodowej" zajmuje się Adam Wirski w bydgoskich „Faktach".

CZY JESTEŚMY PIJAKAMI?

...pyta Wirski. O rozmiarach pijaństwa w Polsce krążą różnorodne, na ogół sprzeczne ze sobą opinie. Opinie te przekraczają granice kraju i niejednokrotnie są tematem obrzydliwych rysunków, wierszyków, anegdot oraz rozmów towarzyskich. W tej sytuacji warto sięgnąć do najnowszych roczników statystycznych oraz opracowań naukowych. Wynika z nich, że w roku 1980 statystyczny mieszkaniec naszego kraju wydał na alkohol 12 proc. pieniędzy przeznaczonych na spożycie. Pod tym względem zajęliśmy zdecydowanie czołową pozycję w Europie, a śmiem twierdzić, że również na świecie. (...) Za najniższą płacę można w Polsce kupić dwa i pół litra wódki. Na marginesie wspomnę, że w Szwecji, gdzie wódka jest najdroższa na świecie, za najniższy zasiłek dla bezrobotnych można kupić około 10 litrów wódki.

Dalej autor przechodzi do problemu walki z alkoholizmem i pijaństwem. Pisze: *„jeśli chodzi o walkę z pijaństwem, ciągłe myślenie zastępuje emocja, rozsądek zabijany jest przez fanatyzm, obłudę i mity. A działanie rozsądne to wyciąganie praktycznych wniosków z faktów. A fakty są takie, że nie jesteśmy narodem pijaków. W porównaniu ze światową statystyką możemy uważać się za abstynentów...*

Artykuł nosi tytuł „Trzeźwiejemy?"

Po szumku, jaki powstał w tzw. środowisku w związku ze skandalicznym poziomem sprawozdań z Piłkarskich Mistrzostw Świata w Hiszpanii, szumku, który jak wieść niesie zakończył lub przynajmniej na dłużej przerwał karierę telewizyjną Jana Ciszewskiego, Ryszard Niemiec w stałym felietonie „Życia Literackiego" przypomina starą i oczywistą prawdę, że od wykonujących zawód dziennikarza wymaga się nie tylko umiejętności opisania czy opowiedzenia tego, co się zobaczyło. Wymaga się refleksji, myślenia, wymaga pewnego minimum wiedzy politycznej i historycznej.

Kadrze komentatorów poleciłbym — pisze Niemiec — *na miejscu prezesa Loranca, wziąć parę godzin korepetycji u red. Małcużyńskiego. Ten były sprawozdawca z Wyścigu Pokoju, znawca problematyki międzynarodowej, mógłby bardzo pomóc Ciszewskiemu.*

Skoro o dziennikarstwie mowa to z prawdziwą przyjemnością składam w imieniu naszej redakcji najlepsze życzenia kolegom z tygodnika „Zza miedzy" tj. sieradzkiego pisma „Nad Wartą", który z datą 12—18 sierpnia 82 ukazał się

PO RAZ SETNY

W jubileuszowym numerze nie mogło zabraknąć jubileuszowych materiałów. M. in. znajdujemy reportaż o powstawaniu tygodnika. Od kulis redakcyjnej kuchni do kiosku. Stojący obok kiosku w Sieradzu mężczyzna powiedział reporterowi: *Ja tam nie czytam. Poczekam aż stanieje...*

To pointa reportażu, od której można by zacząć lekturę felietonu Passenta z ostatniej strony „Polityki". Passent przedstawia sytuację na naszym rozregulowanym rynku czytelniczym. Tygodniki społeczno-kulturalne po raz pierwszy od wielu lat wypełniają kioski i kupić je można bez trudu. Zmorą wydawców i redakcji stają się zwroty!

Oto cytowana przez Passenta statystyka czerwcowa: „Polityka" — 396 tys. egz. ok. 10 proc. zwrotów, „Perspektywy" — 222 tys. (ok. 14 proc.), „Rzeczywistość" — 140 tys. (ok. 60 proc.). „Prawo i Życie" — 118 tys. (ok. 12 proc.). „Tu i Teraz" — 65 tys. nakładu, zwroty 46 proc. — nie była jeszcze przyjmowana prenumerata.

Sieradzki czytelnik chyba się myli, przewidując, że tygodnik stanieje, zresztą chyba szok cenowy w tej akurat dziedzinie nie miał największego wpływu na sprzedaż. Zupełnie nie do załatwienia jest u nas prenumerata. Są kraje, w których gazety dostarcza się punktualnie, razem z porannym pieczywem i mlekiem wprost pod drzwi mieszkania! U nas... wstyd pomyśleć!

ANDRZEJ KAROLCZAK

Listy do Redakcji

Ktoś to musiał zrobić

Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem artykuł pani Jolanty Wrońskiej „Było o wsi głośno". Zainteresowanie tym większe, że tekst mówił o środowisku, w którym żyję i że postawiony w nim problem — pracuję tu jako dyr. GOK — dotyczył spraw kultury w Konopnicy, a także charakteryzował w jakimś stopniu mnie osobiście.

Sporo satysfakcji daje moment, kiedy w słowie drukowanym znajduje się odbicie rzeczywistości. Takie właśnie — po części — wrażenie odniosłem przy lekturze „Było o wsi głośno" Znalazłem bowiem osoby i sprawy rozpoznawalne i faktycznie istniejące. Autorka reportażu posłużyła się bowiem inteligentną metodą polegającą na tym że rezygnując z wypowiedzi „od siebie" wszystko co sama pragnęła wyrazić i co mówiły jej rozmówczynie włożyła w usta tychże rozmówczyń. Dzięki temu jest i klimat, i autentyzm, i wiarę można dać każdemu słowu.

A jednak budzą się refleksje. Z prawdziwie szczerej — jestem o tym przekonany — troski Pani Redaktor o pewien duchowy poziom życia mieszkańców wsi zadane pytanie nie zawsze dały czytelnikowi w pełni prawdziwe odpowiedzi. Oczywistym jest, że odpowiedzi te mogły mieć charakter subiektywny, bo wypowiadały się: „pani Dondziak", „Janka", „Urszula", „Lidka", „Marzena" itd. Ale powstał w sumie obraz Konopnicy, która, kiedyś była tak głośna i wspaniała, a teraz nagle — głuszą i niezupełna ciemność.

Były w artykule słowa mądre i przychylne o roli książki i biblioteki. Ale to właśnie dlatego — choćby pod względem lokalowym — ta biblioteka od dwu lat taka jest jak jest, że postanowiliśmy zrezygnować ze świetlicy w GOK na konto czytelni. Bo GOK w swojej strukturze tak został pomyślany, aby mieściło się w nim to, co w środowisku najbardziej potrzebne. W czytelni przecież można organizować również spotkania i małe, kameralne formy, dlatego szachy i warcaby poszły do klubu, a w pomieszczeniu znalazły się książki i czasopisma i zmieniła się tabliczka na drzwiach.

Często w reportażu padają słowa „mieliśmy", „było". Na przykład „mieliśmy kino objazdowe", Czytelnik może odnieść wrażenie, że było to w czasach zamierzchłych. A przecież to jeszcze kilka miesięcy przed ogłoszeniem stanu wojennego miały miejsce w Konopnicy projekcje zerokranowych filmów. Później długo, długo nie było nic oprócz poranków dla dzieci, ale to wszyscy wiemy dlaczego.

Z żalem się mówi „zespół muzyczny tu był..." No i co się z nim stało? Po prostu zmienili się chłopcy, bo zazyczyło ich sobie wojsko, ale są inni i grają. Podobnie z kółkiem fotograficznym.

Często rozmawiam z młodzieżą, nawet o administracyjnych sprawach i kłopotach, stąd to rozeznanie rozmówczyń pani Redaktor. Ale o to kto powiedział „Urszuli", że w GOK jest dwóch dyrektorów, a nie ma instruktora, muszę ją sam zapytać.

Trudno mi w ogóle z tą „Urszulą" się zgodzić kiedy biadoli (młodzież często, że są ku temu przeróżne okazje, organizuje w GOK spotkania towarzyskie) że same muszą zrobić kanapki i jeszcze po sobie posprzątać. Oj rozpieściła ją mama. A bzdurą jest, że ktoś za to płaci. Za co? Żadna administracja, nie traktuje GOK jako dojnej krowy.

Faktem jest, że na wiele rzeczy nie wystarcza np. na opłacenie instruktorów — choreografa i muzyka. Stąd kombinacje aby znaleźć „dobrych wujków". Takim było ZMW przez rok, a obecnie chyba się na nas obrazili, bo młodzież pozostała przy legitymacjach ZSMP. Trzeba będzie więc — w najgorszym wypadku — poszukać innego patrona, aby robota szła dalej

Faktem jest również, że GOK ma plan dochodów i liczy złotówki. Ale całość świadczeń młodzieży ZSMP w Konopnicy ograniczyła się w tym roku do 200 zł zapłaconych sprzątaczce po dochodowej zabawie, z której utarg wyniósł około 20 000 zł, zabawa zorganizowana była oczywiście w GOK przy zespole tu działającym.

Jestem w Konopnicy i w GOK od 7 lat przybyszem. Stałem się jednak już po trosze lokalnym patriotą. Dlatego może bardziej niż kto inny wyczulony jestem na to jak się w Konopnicy dzieje i jak się o niej mówi

Jakoś zabolało mnie, że nikt nie wspomniał o plastyce, wystawach, cotygodniowych dyskotekach, widowisku poetyckim, „wiankach" czy dziesięciu koncertach Zespołu Pieśni i Tańca zorganizowanych tego lata poza Konopnicą.

Szkoda, że czytelnik, jeśli dociekliwy, pomyślał jakoby w ogóle gmina siadła, działacze odeszli, urzędnicy dostali brzuchów, lekarz robi szmal, a nie leczy i cisza.

Przecież kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się o 1 miejscu w wojewódzkiwe sieradzkim w konkursie „Gmina Mistrz Gospodarności" i drugim miejscu w kraju, gdzie liczono skrupulatnie punkty za świnie, zboże, czyny społeczne, inwestycje, a także kulturę. Ktoś w końcu musiał to zrobić.

ZBIGNIEW ADAMSKI

Obrazy skradzione przed rokiem w Muzeum Sztuki w Łodzi i niedawno odzyskane poddawane są obecnie zabiegom w pracowni konserwatorskiej tej placówki. Maria Potemska w pracowni konserwacji Muzeum Sztuki z obrazem Louisa Marcoussisa „Martwa natura".

Redaguje zespół **Ryszard Binkowski Dariusz Dorożyński Eugeniusz Iwanicki** (z-ca sekretarza redakcji) **Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny) **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego) **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Lucjusz Wlodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter)

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11 kod 90-438 Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762.

Zam. 1803. F-2.

Licencje — szansa jeszcze do wykorzystania

TADEUSZ SZCZEPANEK, JERZY ŚWIĘCICKI

W latach 1971—1980 w gospodarce polskiej kontynuowano politykę licencyjną w wymiarze typowym dla krajów o rozwiniętym potencjale przemysłowym. Zakupiono 428 licencji, w tym prawie połowę dla przemysłu maszynowego. Z kolei przeszło 50 procent nabytych licencji dla przemysłu maszynowego podległego dawnemu MPM otrzymały preferowane branże motoryzacji, elektroniki i informatyki. Licencje te wykorzystane miały być w realizacji wielkich kompleksowych przedsięwzięć jak np. modernizacja i rozwój przemysłu motoryzacyjnego: uruchomienie produkcji małolitrażowych samochodów osobowych i wysokopojemnych autobusów, samochodów ciężarowych dużej ładowności i samochodowych silników dużej mocy oraz nowych typów ciągników rolniczych. Znaczną część licencji zakupiono dla rozwoju i modernizacji przemysłu elektronicznego.

W ocenie racjonalności zakupów i wykorzystania licencji w latach siedemdziesiątych posłużymy się opracowaniem zespołów ekspertów powołanych przez Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Na koniec 1980 r. wdrożono 80 proc. zakupionych licencji, ale tylko połowy wdrożeń dokonano w terminie, osiągając planowaną skalę produkcji, natomiast w pozostałej części wdrożeń nie osiągnięto projektowanych założeń techniczno-ekonomicznych. Nie wszystkie produkty licencyjne odpowiadały standardom nowoczesności. Zakup ponad 10 proc. licencji był — zdaniem ekspertów — nieuzasadniony, gdyż istniały co najmniej równorzędne rozwiązania krajowe, bądź też poziom techniczny albo stopień dopracowania przekazanych rozwiązań był niezadowalający. W wielu przypadkach z uwagi na poziom kwalifikacji nie uzyskano też jakości licencjodawcy.

W 1980 r. wartość produkcji opartej na licencjach wyniosła 222 mld zł, co stanowiło około 7 proc. globalnej wartości produkcji przemysłowej. W byłym resorcie przemysłu maszynowego wskaźnik ten był trzy razy większy od średniej w skali krajowej. W eksporcie do krajów kapitalistycznych tego przemysłu 34 proc. stanowiły wyroby licencyjne, eksport ten załamał się gwałtownie, gdy zabrakło dewiz na import komponentów. Na niedostateczne wykorzystanie efektów technicznych i ekonomicznych nabytych licencji złożyło się szereg przyczyn.

Zakupu licencji dokonywano za dewizy i na kredyt spłacany między innymi produktami wytworzonymi na podstawie nabytych licencji. Euforia kredytów i technologii uzyskiwanych z krajów kapitalistycznych na zasadach samospłaty pod perspektywy rozwoju zdolności eksportowych miała dla gospodarki polskiej finał głębokiego naruszenia wewnętrznej i zewnętrznej równowagi ekonomicznej. W rezultacie nadmiernej skłonności do importu realizowanego na warunkach kredytowych ze strefy dolarowej, znacznie wyższego niż możliwości eksportowe do tych krajów stopniowo narasta nasze zadłużenie. Pośpieszny zakup licencji pociągnął za sobą stałe zwiększanie wydatków dewizowych na import zaopatrzeniowo-kooperacyjny w porównaniu do pierwotnie zakładanego. Pomimo znacznego przyrostu nowoczesnych mocy produkcyjnych zdolności eksportowe przemysłu polskiego w kierunku gospodarki kapitalistycznej nie uległy większej zmianie. Stąd napięta sytuacja płatnicza staje się barierą barier ograniczającą możliwości rozwijania produkcji licencyjnej.

Kredyty i zakupy licencji mogły być znacznie mniejsze chociażby dlatego, że nie zostały racjonalnie zagospodarowane. Praktyka potwierdza, że rozwijające się dotychczas powiązania z firmami zachodnimi nie zawsze były konieczne albo nawet pożądane. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zainteresowani byliśmy przede wszystkim uruchamianiem samodzielnie produkcji nowych wyrobów w oparciu o licencje z obszaru krajów kapitalistycznych.

Licencje zagraniczne to jeden z wielu sposobów uzyskania nowej techniki produkcji, wyższej wydajności pracy przyśpieszającej rozwój gospodarczy. Jak kupować licencje, aby cel ten osiągnąć? O zakupie muszą decydować przedsiębiorstwa. W zawieraniu kontraktów powinni uczestniczyć technicy i ekonomiści dobrze znający szczegóły zamierzenia i pracujący potem przy wykorzystaniu nabytych licencji. W rzeczywistości zakupy licencji dokonywane były często na wysokim szczeblu administracyjno-politycznym. W tej sytuacji dochodziło do zakupu bez dokładnej analizy kryteriów technicznych i ekonomicznych oraz dostosowania kontraktu licencyjnego do skali naszych możliwości inwestycyjnych, poziomu technicznego potencjalnych producentów, bazy surowcowo-materiałowej, rynku zbytu itd.

Decyzje o zakupie licencji można poprzedzić opiniami wybitnych ekspertów. Chodzi o odpowiedź, czy określony problem powinien być rozwiązany we własnym zakresie i dlaczego, czy też drogą nabycia licencji. Przypadkowe i zbędne zakupy licencji powodują wielkie straty moralne w krajowym ruchu wynalazczym. Zakup licencji na produkcję ciągników rolniczych w firmie Massey — Ferguson — Perkins zahamował obiecujący rozwój prac badawczo-rozwojowych związanych z rodziną ciągników Ursus oraz długoletnią współpracę w ramach RWPG w tej branży. O ile nie zawiodą inwestycje w 1987 r. fabryka dostarczy rolnictwu 75 tys. ciągników MFP, a więc kilka lat później niż planowano.

Przykładem niedostatecznego rozeznania może być zakup licencji na autobus Berliet, której koszt zagospodarowania wynosi około 60 mln dolarów, a inwestycje związane z uruchomieniem produkcji autobusów pochłonęły już ponad 6 mld zł. W latach 1973—1980 Jelczańskie Zakłady Samochodowe wyprodukowały 5 tys. autobusów zamiast 18 tys. planowanych. W 1982 r. produkcja Berlieta w dalszym ciągu nie będzie rozwinięta, zamiast 5000 sztuk autobusów miejskich wyprodukujemy tylko 1000 sztuk. Podstawowe trudności w produkcji i eksploatacji tego autobusu obok wysokiego importu kooperacyjnego wynikają z prototypowego stanu licencji. Poszczególne serie autobusu różnią się wieloma zmianami konstrukcyjnymi i technologicznymi, co świadczy o niedopracowaniu określonych rozwiązań i konieczności usuwania stwierdzonych usterek w trakcie eksploatacji. W 1975 r. zakupiono licencję w austriackiej firmie Steyr — Daimler — Puch na samochody ciężarowe dużej ładowności. Prace przygotowawcze w zakresie uruchomienia produkcji przerwano z braku możliwości inwestycyjnych i środków dewizowych. Ile to nas kosztuje?

Założono, że inwestycje licencyjne realizowane na kredyt i zasadach samospłaty gwarantują zdecydowanie nowe zdolności eksportowe, które pozwolą na spłatę zobowiązań kredytowych i pokrycie rosnących potrzeb importowych. W praktyce inwestycje te (awanturnictwo gospodarcze) stały się przyczyną uciążliwego zadłużenia kraju oraz nadmiernego uzależnienia przemysłu opartego na importowanej technice z obszaru dolarowego także od importu zaopatrzeniowego do produkcji.

Specjalizacja jest procesem społecznym o względnie stałym charakterze i polega na udanym wyborze kierunku produkcyjnego oraz długofalowym wytwarzaniu tych samych rodzajów wyrobów, ciągłym ich unowocześnianiu i obniżaniu kosztów własnych. Koncentracja produkcji doprowadza do międzynarodowej specjalizacji. Przy nabywaniu licencji należy kierować się istniejącą lub programowaną specjalizacją produkcji w międzynarodowym podziale pracy. Pomyślne rezultaty specjalizacji można osiągnąć w dziedzinie, w której dysponujemy dostatecznym zasobem kwalifikowanych kadr i oryginalnymi wynikami własnych badań i prac rozwojowych, w których mamy określone tradycje przemysłowe.

W szeregu przypadków forsowano rozwój branż przemysłu, które nie miały szans zdobycia rynków zagranicznych, zaniedbując te, które miały warunki (własną technikę produkcji i zasoby surowcowe), aby stać się specjalnościami narodowymi promocji opłacalnego eksportu. W zdobywaniu rynku światowego obecnie liczy się szczególnie dorobek własnej myśli naukowo-technicznej oraz racjonalne wykorzystanie rodzimej bazy surowcowej. Stąd też jednym z kierunków poszukiwań dalszego efektywniejszego wykorzystania zakupionych licencji są prace postlicencyjne i badania zmierzające do zastępowania surowców i komponentów importowanych ze strefy dolarowej krajowymi. W pracach nad dalszym rozwojem zakupionych licencji w ubiegłej dekadzie nie uzyskano znaczących w skali gospodarki narodowej i na światowym poziomie rozwiązań technicznych.

Szeroki asortyment produkcji oraz związane z tym dziedziny nauki i techniki odbijają się negatywnie na strukturze handlu zagranicznego. Wytwarzając wszystko po trochu eksport w przemyśle przetwórczym stanowił głównie nadwyżki produkcji ponad potrzeby rynku wewnętrznego, a nie planową specjalizację eksportową na potrzeby rynku światowego. Jako przykład wyjątkowego niezrozumienia zasad specjalizacji i lekceważenia wszelkich uwarunkowań może być zakup licencji i podjęcie produkcji zegarków elektronicznych. Produkcji zegarków elektronicznych podjęły się firmy wytwarzające dotychczas zegarki mechaniczne, względnie podstawową jego część — mikroukład półprzewodnikowy. W Polsce zadania rozwoju nowej specjalności i pchnięcia kraju do przodu w światowym podziale pracy podjęło się przedsiębiorstwo, które produkowało dotychczas urządzenia radiokomunikacyjne i grzejne. Wszyscy uczyli się składania z importowanych części w większą całość. Cykl uruchomienia produkcji był dość długi i na rynku pokazały się nowocześniejsze, bo z płynnymi kryształami zegarki radzieckie oraz znacznie tańsze.

Względna niezależność gospodarcza kraju, to racjonalna specjalizacja produkcji i mocna na wewnętrznych zasobach oparta pozycja na rynku światowym, a więc i zrównoważony bilans płatniczy. W sytuacji braku dewiz od uzyskania których uzależnione jest pełne wykorzystanie posiadanych mocy produkcyjnych jedyny warunek wyjścia z zadłużenia to zwiększenie eksportu i poprawa jego opłacalności. W większości przypadków znaczna część tak zwanego wsadu dewizowego ze strefy dolarowej daje się zastąpić komponentami własnej produkcji lub krajów socjalistycznych.

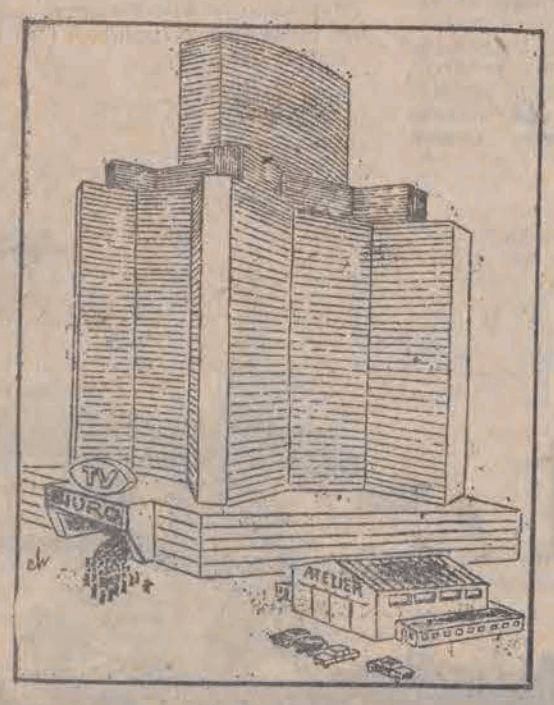

W szeregu branż przemysłu wzrost eksportu o międzynarodowej pozycji konkurencyjnej limitują nie możliwości zbytu, lecz zdolności produkcyjne. Ograniczenia w rozwijaniu produkcji licencyjnej wynikają z opóźnień w realizacji inwestycji. Dość często brak było korelacji w terminach zakupu licencji, wykonania robót budowlano-montażowych oraz dostaw maszyn i urządzeń. Często minął okres gwarancji, a importowane maszyny i urządzenia nie były zagospodarowane.

Specjalizacja produkcji to celowe ograniczenie zakresu wytwarzania do ściśle określonych produktów, półproduktów, technologii i usług. W krajach RWPG obserwuje się tendencje do produkowania wszystkiego, co w danej branży przemysłu można produkować, nie zważając na koszty produkcji, zasoby surowców i materiałów, doświadczenia i wiedzę techniczną, czy też możliwości inwestycyjne. W polskim przemyśle przetwórczym wykorzystując tendencje międzynarodowego podziału pracy należałoby znacznie pogłębić asortyment (różne typoodmiany) zawężając jednocześnie ilość produkowanych grup towarowych. Szeroki asortyment to małe serie, niski poziom nowoczesności wyrobów trudno zbywalnych na rynkach zagranicznych.

Zakup licencji powinien być podporządkowany tworzeniu podstaw technicznych dla rozwoju specjalistycznych przedsiębiorstw o wielkoseryjnej i nowoczesnej produkcji. Czy nasz przemysł może być czołowym producentem na świecie w produkcji zegarków elektronicznych? Na opanowanym rynku toczy się ostra walka o przodownictwo techniczne. Tylko kraje zdolne do szybkiego unowocześnienia produkcji zajmują na drabinie światowego podziału pracy i wymiany coraz to wyższe szczeble. Trafny zakup licencji stwarza szanse nadrobienia ewentualnych opóźnień, może być pobudzającym krokiem do osiągnięcia awangardowego poziomu specjalizacji i eksportu w wybranym asortymencie.

Gospodarka japońska jest groźna nie tylko z racji przewagi technicznej, ale przede wszystkim konsekwentnej realizacji zasad alokacji nakładów inwestycyjnych dających eksportowy charakter wzrostu gospodarczego. Ekspansja eksportowa skupia się na niewielkiej wyselekcjonowanej grupie wyrobów. Oprócz samochodów osobowych i ciężarowych są to telewizory kolorowe i obrabiarki sterowane numerycznie. Japonia uzyskuje dzięki umiejętnej koncentracji na wybranych kierunkach skale produkcji określane jako imponujące na rynku światowym.

Nasze trudności eksportowe mają swe źródło w braku generalnej koncepcji rozwoju kształtującej pożądaną strukturę gospodarki narodowej. Sprawą kluczową jest opracowanie strategii rozwoju polskich specjalności techniczno-przemysłowych, koncentracji produkcji i eksportu. Niedostateczna skala produkcji przy wzmożonym popycie krajowym nie pozwala na znaczący wzrost eksportu. Zakup licencji musi wynikać i służyć rozwojowi określonych rodzajów produkcji ważnych dla współpracy z zagranicą. Wyspecjalizowana, proeksportowa struktura przemysłu sprzyja podnoszeniu efektywności rozwoju gospodarczego. W realizacji takiego programu rozwoju najważniejsze znaczenie ma polityka inwestycyjna i naukowo-techniczna, koncentracja nakładów na produkcji nowoczesnej i wysokiej jakości w skali znacznie przekraczającej potrzeby rynku wewnętrznego. W kraju o potencjale materialnym wielkości Polski decyzje o specjalizacji narodowej mogą być racjonalne, jeżeli dotyczą produkcji w ogóle bez priorytetów potrzeb rynku wewnętrznego i rynków zagranicznych.

Warunkiem rozwoju eksportu jest sukces uzyskany przez wyrób na własnym rynku. Dlaczego w Polsce nie ma dotychczas w przemyśle przetwórczym branży posiadającej ugruntowaną pozycję wśród liczących się eksporterów, która zdolna byłaby wytworzyć na eksport masę towarową o wartości przekraczającej eksport węgla? Istnieją realne szanse, by polski przemysł utrzymał się w czołówce światowej w takich dziedzinach jak: produkcja określonych typów statków morskich i maszyn budowlanych, niektóre farmaceutyki i kosmetyki, wybrane technologie przemysłu chemicznego i węgla kamiennego.

Współpraca techniczno-przemysłowa z zagranicą odzwierciedla wszystkie słabości koncepcji rozwoju gospodarczego kraju. Zaprezentowana analiza wskazuje, że import licencji nie dał oczekiwanej satysfakcji eksportowej. Mimo niewielkiego udziału eksportu w produkcji przemysłowej nie można jednak cofnąć się do lat sześćdziesiątych dlatego, że przeszliśmy na nowocześniejsze technologie, w niektórych przypadkach także w skali międzynarodowej. Czy jednak nabywanie licencji na wszystko może działać pozytywnie na promocję eksportu?

Koncentracja sił i środków na rozwoju specjalizacji techniczno-produkcyjnych to droga do likwidacji niewydolności eksportowej naszego gospodarstwa narodowego także na wymagające rynki krajów wysoko uprzemysłowionych. Niska wydajność eksportowa gospodarki wynika ze skali produkcji i poziomu specjalizacji. W dynamizacji działalności eksportowej mimo wszystko kryje się sposób na dalsze wykorzystanie w miarę jeszcze nowoczesnych rozwiązań licencyjnych i trwałe powiązanie przemysłu z jego bazą naukowo-badawczą i rozwojową. Reforma gospodarcza musi uruchomić czynniki aktywizujące rozwój handlu zagranicznego, zwłaszcza eksportu.

Dr Tadeusz Szczepanek i dr Jerzy Święcicki są pracownikami Instytutu Organizacji i Zarządzania Politechniki Łódzkiej.

Wodne dylematy

JACEK BINKOWSKI

Będzie o wodzie. Woda jak wiadomo jest źródłem życia, bez wody nie może być mowy o jakimkolwiek rozwoju. Woda może być źródłem chorób i epidemii. Wykorzystana woda, krótko mówiąc ścieki.

Gospodarka wodno-ściekowa jest problemem numer jeden każdej miejskiej aglomeracji, od niej bowiem zależy rozwój naszych miast i nasze zdrowie.

CZY ŁODZI STARCZY WODY?

Dyrektor **Jan Diehl** z Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UMŁ:

— Przy obecnym rozwoju łódzkiej aglomeracji, przemysłu i budownictwa, biorąc pod uwagę dzisiejsze zasoby wód podziemnych i możliwości czerpania z wód powierzchniowych, deficyt wody może już powstać w końcu lat osiemdziesiątych. Gospodarka wodno-ściekowa nie nadąża za rozwojem społeczno-gospodarczym. Obserwuje się niepokojący brak rezerw.

— Nie znaczy to jednak, że będziemy ograniczać pobór wody w mieszkaniach. Nie może być mowy o jakiś ograniczeniach dla indywidualnych odbiorców.

Z kolei dyr. **Albin Iżykowski** z Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego:

— Wody zacznie już brakować za około trzy lata. Najbardziej odczuje to oczywiście przemysł, wróci się do ścisłego limitowania. Jeżeli chodzi o ludność, deficyt wody odczuć mogą lokatorzy najwyższych kondygnacji, przede wszyskim w śródmieściu, ze względu na starą sieć wodociągową. Kłopoty mogą też powstać na południu miasta. Nie znaczy to jednak, że muszą.

W porównaniu z dzisiejszą sytuacją wydaje się dziwne, że w początkowych latach poprzedniego stulecia główną motywacją do rozwoju przemysłu w Łodzi była m. in. obfitość lasów i... wód. Warsztaty rękodzielnicze czerpały swobodnie wodę z zasobów wód wododziałowych. Wody więc starczało dla potrzeb ówczesnego „przemysłu".

Jednak z chwilą uruchomienia maszyny parowej zasoby łódzkich wód zaczęły się gwałtownie zmniejszać w wyniku nadmiernej i nieplanowej eksploatacji. Zaczęto sięgać po wody kredowe, podziemne. Również woda dla potrzeb ludności, woda pitna pobierana była z indywidualnych studni.

Pierwszy wodociąg zbudowano w roku 1935 zgodnie z koncepcją W. Lindleya i projektem prof. Rosłońskiego. Oparty był na lokalnych ujęciach wód kredowych na Chojnach i Dąbrowie. Projekt wykonany z rozmachem zapewnił funkcjonowanie lindleyowskiego wodociągu do dzisiaj.

— Nie przewidujemy żadnych poważniejszych remontów — stwierdził A. Iżykowski z PWiKOŁ.

Co prawda, przynajmniej raz w roku jesteśmy pozbawiani systematycznie dopływu ciepłej wody, jednak tego typu remonty są w kompetencji Zakładu Sieci Cieplnej. Mówiąc o sprawnej sieci dyr. A. Iżykowski miał oczywiście na myśli wodociągi z wodą pitną.

Łącznie w Łodzi jest około 2000 km sieci wodno-kanalizacyjnej. Bywają jeszcze rejony miasta nieskanalizowane i pozbawione wody. Do dzisiaj funkcjonuje jeszcze około 200 punktów dowozu wody. Popularne niegdyś beczkowozy można jeszcze spotkać w niektórych rejonach Stoków i na Górnej. Wszyscy mają nadzieję, że samochody z wodą w najbliższym czasie znajdą się przynajmniej w muzeum.

SKĄD BRAĆ WODĘ?

„Dzisiejszych negatywnych skutków działania człowieka w eksploatacji wód podziemnych dopatruje się w skoncentrowaniu ujęć na małym obszarze oraz niekontrolowanym z nich poborze.

Zlikwidowanie tych skutków polegałoby na utworzeniu łódzkiego systemu wodno-gospodarczego, który obejmowałby wszystkie obiekty związane z wodą" — stwierdził, inż. Jan Diehl w referacie na IX Ogólnopolskiej Konferencji Hydrograficznej w 1981 r.

System taki obejmowałby ujęcia wodne, zbiorniki retencyjne powierzchniowe i podziemne (czasowo zatrzymujące wodę — przyp. J. B.), budowle hydrotechniczne związane z zabezpieczeniem ujęć, stacje uzdatniania wody, stację pomp, rurociągi przemysłowe, magistrale wodne, dyspozytornie. Użytkownikami tych obiektów powinny być tylko: rolnictwo w zasięgu systemu, gospodarka komunalna, zakłady przemysłowe oraz właściciele obiektów rekreacyjnych.

Zaproponowany system jest planem daleko przyszłościowym, tymczasem trzeba szukać bieżących rozwiązań.

Co prawda od 1974 roku poziom zwierciadła wody sukcesywnie się podnosi, niemniej jednak przewiduje się wprowadzenie ścisłych kontyngentów wodnych dla zakładów. Woda dzisiaj jest najtańszym surowcem w przemyśle. Nic więc dziwnego, że zakłady nie odczuwają bodźców do oszczędzania wody.

Wydział Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UMŁ opracował ostatnio szczegółową instrukcję o korzystaniu z wody, która została przekazana wszystkim większym zakładom przemysłowym. Jednocześnie zobowiązano zakłady, najbardziej „wodopitne" do tworzenia obwodów zamkniętych na swoim terenie. Jak dotychczas już ok. 90 zakładów posiada zamknięty obieg wodny.

Tego typu sposoby oszczędzania wody nie zapobiegają bynajmniej ewentualnemu deficytowi. Dostarczana do naszej aglomeracji ilość wody zdecydowanie przestaje wystarczać.

Obecnie głównymi „źródłami" wody są dwie „nitki" wodociągu Tomaszów — Łódź oraz zrealizowany w 1973 roku I etap wodociągu sulejowskiego, który zapewnia 1/3 potrzeb miasta. Mniejszy z kolei procent stanowią ujęcia przemysłowe i komunalne wód podziemnych.

Do roku 2000, biorąc pod uwagę wzrost gospodarczy i dalszy rozwój Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, a przede wszystkim budownictwa mieszkaniowego zapotrzebowanie na wodę wzrośnie prawie dwukrotnie. Samo oszczędne gospodarowanie wodą już nie wystarczy.

Ostatnio prowadzi się badania mające na celu odkrycie nowych zasobów wód podziemnych, kredowych. W okolicach Aleksandrowa, Brzezin i Gałkówka planuje się zbudowanie takich ujęć, nie wiadomo jeszcze jaka jest tam ilość wody. Będzie to niewątpliwie jakiś „zastrzyk" awaryjny. Kombinat Geologiczny prowadzi badania mające na celu określenie ilości wód podziemnych, które będą do dyspozycji oraz ile można będzie czerpać wody, nie powodując istotnych zakłóceń hydrogeologicznych.

Najistotniejszą jednak sprawą jest realizacja drugiego etapu wodociągu Sulejów — Łódź. Obecnie trwają prace nad całkowitą dokumentacją, przewiduje się, że budowa ruszy około 1990 roku. Jest to w tej chwili, biorąc pod uwagę czekający nas deficyt wodny, najważniejsza inwestycja tego typu. Woda z drugiego etapu sulejowskiego dostarczyłaby dodatkowe 50 proc. ogólnego zapotrzebowania i zapewniłaby możliwości czerpnia przynajmniej do 2000 roku. Następnym „źródłem" wody byłby już tylko planowany w przyszłości kanał centralny.

Od czterech lat Politechnika Łódzka zajmuje się problemem odzyskiwania wody z realizowanej obecnie Grupowej Oczyszczalni Ścieków. Woda otrzymana w ten sposób zaspokoiłaby 10 proc. potrzeb gospodarki komunalnej oraz około 80 proc. zapotrzebowania przemysłu. Ponadto, taka woda wystarczyłaby do nawadniania doliny Neru i Bzury. Co prawda neguje się wartość odzyskanej wody, niektórzy nawet twierdzą, że odzyskana woda mogłaby, co najwyżej służyć do polewania ulic oraz podlewania ogródków działkowych, niemniej jednak specjaliści z PŁ uważają, że woda z GOS zaspokoiłaby potrzeby największego naszego „pożeracza" wody: czyli ewentualnej Elektrociepłowni EC-5.

CO ZE ŚCIEKAMI CZYLI GOS?

Jeżeli już mowa o Grupowej Oczyszczalni Ścieków budowanej w okolicach Konstantynowa, łódzkie, lokalne rzeki z powodzeniem można by przykryć deskami i traktować jako kanały ściekowe. Odprowadzane przede wszystkim z zakładów pracy ścieki zanieczyszczają cuchnący już Ner. Łódzkie zanieczyszczenia mają również swój udział w zatruwaniu Wisły i Odry.

Zgodnie z realizacją Konwencji o Ochronie Wód Bałtyckich, której Polska była inicjatorem umieszczono GOS jako inwestycję realizowaną w głębi kraju, bynajmniej i nie bez znaczenia.

Początkowe obliczenia wskazywały, że budowa GOS i jej systemu kanalizacyjnego pochłonie około 4,5 mld złotych. Dzisiaj już wiadomo, że nakłady muszą przekroczyć sumę 20 mld złotych. Nie jest to bez znaczenia, ponieważ tak wielka inwestycja musi zostać wprowadzona do Planu Centralnego. Po kilkuletnich staraniach władz miasta GOS została umieszczona w planie, jako inwestycja ogólnokrajowa. Niezależnie od tego miasto rokrocznie inwestuje w GOS około 60 mln złotych od 1974 roku. Obecnie na terenie oczyszczalni trwają prace przygotowawcze. Uruchomiono również prototypową produkcję tych urządzeń dla GOS, które należałoby importować.

Grupowa Oczyszczalnia Ścieków byłaby wspólną oczyszczalnią dla Łodzi, Pabianic, Zgierza, Aleksandrowa, Konstantynowa i Rzgowa. Jej realizacja zapewniłaby uwolnienie Bzury od zanieczyszczeń ze Zgierza i Aleksandrowa, ochronę Wisły oraz ochronę Neru i Warty przed ściekami z Łodzi i okolic.

GOS nie wymaga tak dużego stopnia oczyszczania ścieków jak w przypadku oczyszczalni lokalnych, zapewnia również łatwiejsze oczyszczanie zintegrowanych ścieków przemysłowych. Ponadto budowa oczyszczalni lokalnych pochłania znacznie większe nakłady inwestycyjne.

Nie bez znaczenia jest również fakt, że GOS będzie oczyszczalnią mechaniczno-biologiczną, co zapewnia oprócz doprowadzenia do należytej czystości kilkunastu rzek, wspomnianą wcześniej wodę z odzysku. Jest to, co prawda ostatni etap budowy, niemniej jednak zapewniający poważną rezerwę wodną.

W ostatnich tygodniach, w związku z zainteresowaniem się sprawą GOS ościennych województw w trakcie uzgadniania jest wspólne wystąpienie do rządu w sprawie przyśpieszenia realizacji i zapewnienia niezbędnych środków pięciu wojewodom: płockiemu, sieradzkiemu, konińskiemu, skierniewickiemu i poznańskiemu.

Fakt zainteresowania się GOS tylu województw świadczy o ważności tej inwestycji w skali kraju. Chodzi w końcu o czystość naszych wód, w tym również Zatoki Gdańskiej.

Martwi tylko, że pierwszy etap GOS, zostanie oddany do użytku nie wcześniej jak w końcu lat osiemdziesiątych. Jest to już prawie dziesięcioletnie opóźnienie. Tymczasem w Łodzi ścieków przybywa, łódzkie rzeczki coraz bardziej cuchną, a Wisłą w kierunku Gdańska płyną zanieczyszczenia z naszych fabryk.

Opracowana przez Biuro Gospodarki Komunalnej i Biuro Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi koncepcja gospodarki wodno-ściekowej uwzględniająca zarówno budowę GOS jak i II etapu sulejowskiego wygląda dość optymistycznie. Przynajmniej do roku 2020, do którego została opracowana. Szkoda tylko, że pewne teoretyczne założenia zderzają się gwałtownie w bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością.

Pytanie, czy Łodzi starczy wody, a rzeki przestaną cuchnąć jest nadal bardzo frapujące i do końca nie wyjaśnione.

Ano, zobaczymy. ■

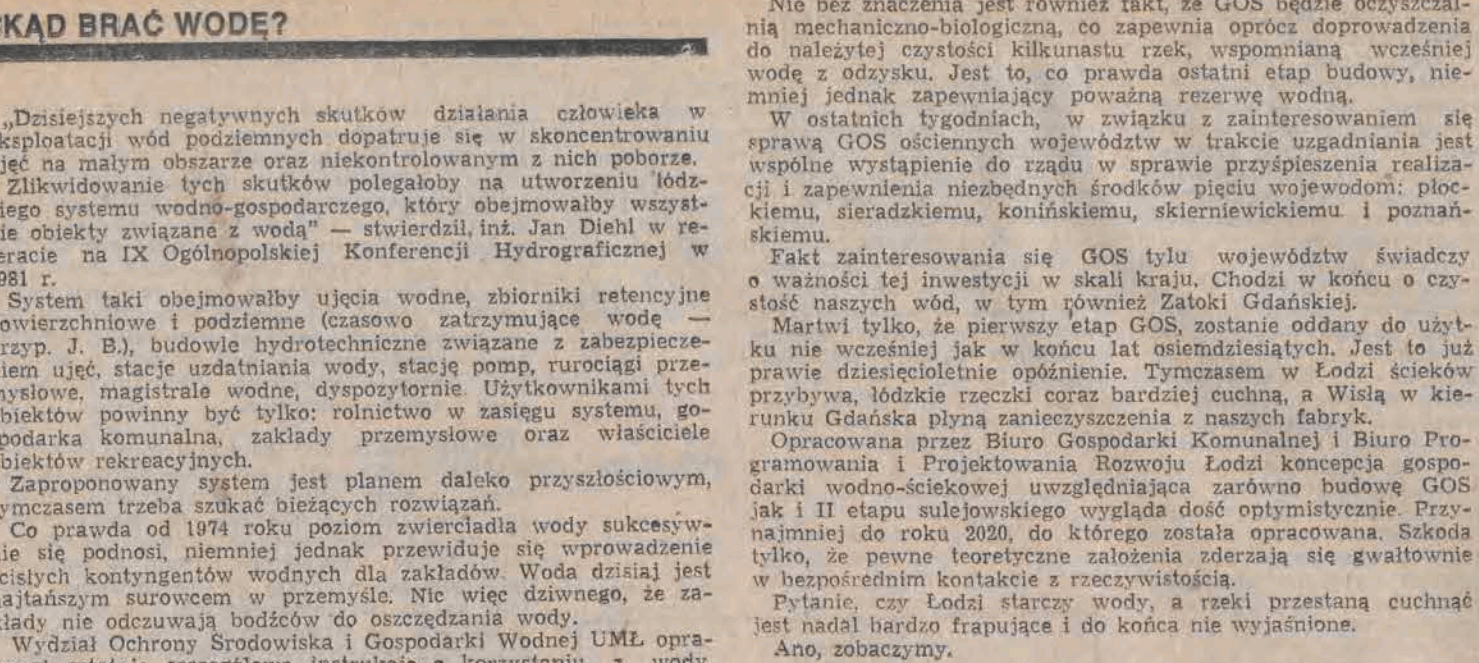

Foto: Mirosław Zajdler

Seweryn Sterling

W 50 rocznicę śmierci

Bodaj w 1933 r. ówczesne władze miejskie zmieniły nazwę ulicy Nowotargowej, nadając jej miano Seweryna Sterlinga. Przy tejże ulicy znajduje się Szpital Kliniczny nr 3 im. S. Sterlinga. Mimo że mija dopiero 50 lat od dnia jego śmierci niewielu łodzian pamięta o zasługach patrona jednej z łódzkich ulic, warto więc przypomnieć sylwetkę tego interesującego człowieka i obywatela.

We wspomnieniach współczesnych utrwaliła się postać przygarbionego nieco starszego pana z długą brodą, nieco szorstkiego w obejściu, przyciągającego wszakże ludzi prawością charakteru i wysokimi walorami moralnymi.

Urodził się w 1864 r. w Gustku pod Tomaszowem Mazowieckim. Ojciec jego, Jakub Sterling, zanim został urzędnikiem kolejowym był przez czas jakiś sekretarzem osobistym Józefa Ignacego Kraszewskiego. Dzieciństwo Seweryna mijało w atmosferze umiłowania piękna, sztuki i kultu dla narodowej przeszłości. Jeden z jego stryjów był aktorem dramatycznym, drugi śpiewakiem operowym, trzeci utalentowanym malarzem. Seweryn wybrał inną drogę służenia ludziom: został lekarzem.

Po ukończeniu w 1889 r. Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego praktykował kilka lat w Tomaszowie Mazowieckim, a od 1894 r. osiadł na stałe w Łodzi. Był początkowo lekarzem fabrycznym w fabryce Tow. Akc. S. Rosenblatt i w fabryce Z. Jarocińskiego, po kilku latach ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych, wreszcie od 1930 r. naczelnym lekarzem szpitala noszącego dziś jego imię.

Jako lekarz był zwolennikiem leczenia chorych na płuca w warunkach klimatycznych zbliżonych do miejsca stałego zamieszkania pacjentów. Dzięki inicjatywie Sterlinga powstało sanatorium dla dorosłych chorych na gruźlicę w Chojnach koło Łodzi (obecnie dzielnica miasta), a w 1920 r. także sanatorium dla dzieci w Łagiewnikach. Sterling zajmował się sprawami ochrony zdrowia i zwalczaniem groźnych chorób społecznych, przede wszystkim gruźlicy, zbierającej obfite żniwo w trudnych warunkach życia i pracy łódzkiego robotnika. W 1909 r. utworzył na terenie Łodzi Ligę Przeciwgruźliczą, zaś po odzyskaniu niepodległości powołał przy Magistracie m. Łodzi Sekcję do Walki z Gruźlicą, patronującą licznym poradniom przeciwgruźliczym. Był współorganizatorem zjazdów lekarzy prowincjonalnych i gorącym rzecznikiem uczestnictwa lekarzy w zbiorowym życiu społeczeństwa. O zadaniach i obowiązkach lekarzy w fabrycznych ośrodkach wielkomiejskich wypowiadał się już w 1899 r. w programowym artykule redagowanego przez siebie „Czasopisma Lekarskiego".

Niezależnie od wytrwałej, pełnej poświęceń pracy zawodowej znajdował czas na wielostronną działalność społeczną. Jako miłośnik książek, doskonały stylista, autor wielu prac naukowych, doceniał rolę książki w życiu człowieka. W latach 1908—1913 był współorganizatorem Biblioteki Publicznej Towarzystwa Kultury Polskiej w Łodzi. Był jednym z członków komisji organizacyjnej powstałego w 1916 r. Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Łodzi, które powołało do życia 11 października 1917 r. Bibliotekę Publiczną, noszącą dziś nazwę Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego. Jako prezes Towarzystwa Biblioteki Publicznej przedstawił w 1922 r. w imieniu Komitetu TBP ogólnemu zgromadzeniu członków wniosek dotyczący likwidacji Towarzystwa i przekazania *Biblioteki gimnazjum m. Łodz.* Sterling brał też udział w organizacji Towarzystwa Krzewienia Oświaty, zaś w 1905 r. uczestniczył w tworzeniu szkolnictwa średniego na terenie naszego miasta.

Podczas studiów uniwersyteckich należał do nielegalnego Związku Młodzieży Polskiej o tendencjach socjalistycznych, w programie działania zbliżonego do filaretów wileńskich z epoki Mickiewicza. W pamiętnym roku 1905 brał udział w organizowaniu „Zrzeszenia Radykalnej Inteligencji w Łodzi", w 1915 r. był współtwórcą Ligi Państwowości Polskiej, w tymże roku uczestniczył w Komitecie Obywatelskim m. Łodzi jako członek sekcji sanitarno-szpitalnej i sekcji robót publicznych. Dwukrotnie był przez władze carskie więziony za lewicowe przekonania polityczne i sprzyjanie nastrojom rewolucyjnym w przededniu wydarzeń 1905 r.

Gdy w Łodzi utworzono Oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej, namiastki wyższej uczelni bez praw akademickich, został powołany w 1928 r. na katedrę higieny społecznej, choć nie miał formalnych uprawnień do prowadzenia wykładów uniwersyteckich. Pokaźny dorobek naukowy Sterlinga był wysoko oceniany przez ówczesną krytykę, co przyczyniło się do powołania go na członka korespondenta Polskiej Akademii Umiejętności. Za całokształt pracy naukowej, działalność zawodową i społeczną został w 1930 r. odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi a w roku następnym Orderem Niepodległości Polski.

Zmarł w Rabce 6 sierpnia 1932 r., pochowany w Łodzi 10 sierpnia tegoż roku. Seweryn Sterling miał artystyczną duszę, głęboki, piękny umysł, był wybitnym lekarzem i społecznikiem, znakomitym badaczem gruźlicy, prawdziwym przyjacielem pragnących jego pomocy i opieki lekarskiej robotników Łodzi.

ANDRZEJ KEMPA ■

„Kilku takich i kooperacja będzie załatwiona..."

Lata 1975—80 były okresem szczególnie intensywnego rozwoju kooperacji w polskim rolnictwie. Wojewodę, naczelnika obowiązywały dyrektywy wykonania planu kooperacji, najczęściej wysokiego. Ci z kolei zobowiązywali do jej podejmowania PGR i SKR, które często do kooperacji nie były organizacyjnie przygotowane. Wykonanie planu kooperacji „na siłę", a przy tym istniejący szereg luk prawnych w przepisach, organizacyjny nieład — sprzyjały nadużyciom. Tzw. sprawa Frelika — „rolnika" z województwa olsztyńskiego jest także dowodem skandalicznej beztroski ze strony kierownictwa PGR i SKR które z Frelikiem kooperowały, jak i braku nadzoru jakiegokolwiek ze strony urzędu gminnego.

Stanisław Frelik doprowadził nie tylko do padnięcia kilkuset sztuk bydła i trzody chlewnej, „dzięki" czemu setki ton mięsa nie trafiło na rynek, ale w okresie ostatnich sześciu lat popełnił także milionowe nadużycia.

O Freliku najbardziej ostre opinie wyrażą jego sąsiedzi.

PRZYCHODZKI: — *Dziwi mnie, że trwało to tak długo i nikt na to nie reagował. Frelik przecież nie był rolnikiem, a więc dlaczego dano mu ziemię, a potem kilkaset sztuk bydła w kooperację. Padało bydło, a wyglądało to na mordownię, a nie hodowlę.*

PAPCZEK: — *Panie kochany! Gdzie była głowa, gdzie sens dać mu w kooperację tyle cielaków. Gdzie była logika zdawałoby się mądrych ludzi.*

LIPIŃSKI: — *Tyle było padnięć, że samochód jeździł dwa razy dziennie.*

NIEŚCIÓR: — *30 sztuk padłych sam widziałem, bo Frelik wywoził je koło mojego gospodarstwa. Strasznie śmierdziało, więc musiało to długo leżeć.*

KALINOWSKI: — *Jestem sąsiadem Frelika. Moim zdaniem bydło padało z braku paszy. Ja bym tyle bydła jemu nie powierzył.*

— NIEŚCIÓR: — *Na pastwisko bydło wypuszczał bardzo wcześnie, gdy padał jeszcze śnieg, a przy tym nikt jeszcze tego nie robił.*

KALINOWSKI: — *Mając takie warunki sam też tyle bydła bym nie brał. U Frelika padało ono bowiem z braku paszy i istniejącej ciasnoty.*

PAPCZEK: — *Nie widziałem suchej ściółki, a bydło stało tylko w mokrym gnoju.*

Osiem lat temu Frelik, mieszkający w Stękinach, gm. Jonkowo otrzymał 28 ha ziemi. Swoją kooperacyjną działalność zaczął od zawarcia na początku 1974 roku ze Spółdzielnią Kółek Rolniczych w Jonkowie i PGR w Unieszewie umów na wychów 266 cieląt.

— *Mój zastępca powiedział mi* — mówi prezes SKR Jonkowo, Haertel — *że Frelik jest bardzo dobrym kooperantem. Kilku takich i kooperacja będzie załatwiona.*

Umowy zobowiązywały Frelika do dotuczenia cieląt do wyższej klasy, a potem do ich zwrócenia. Za każdy uzyskany przyrost 1 kg wagi żywej miał otrzymać 22,50 zł. Już w tym okresie nie miał on odpowiednich budynków dla tak dużej ilości inwentarza jak również nie posiadał w dostatecznej ilości paszy, a mimo to zawarł z Wielozakładowym Państwowym Gospodarstwem Rolnym w Ostródzie pięć umów kooperacyjnych, na podstawie których otrzymał na wychów dalsze 182 cielęta. Przed przekazaniem mu tych cieląt zootechnik WPGR Zdzisław Sulima nie sprawdził warunków hodowlanych w gospodarstwie Frelika. Potem też nie był w nim zbyt częstym gościem. A jeżeli się zjawiał, to i tak nie sprawdzał kondycji inwentarza, jego ilości i warunków w jakich się znajdował.

Szkudlarek, specjalista d/s kooperacji powie potem w sądzie, że na kontroli był jeden raz z Sulimą. Wtedy chcieli bydło odebrać, ale Frelik powiedział, że część już zdechła, a część jest na polu. Sulima więc poszedł na to pole i znalazł zdechłego cielaka. „*Poczynione spostrzeżenia* — powie Szkudlarek — *i tak właściwie nie miały większego znaczenia ponieważ wtedy u kooperanta żadnej książki uwag nie prowadziliśmy*".

Na skutek m. in. zaniedbań kontrolnych Frelik znaczną ilość cieląt sprzedał, a pozostała część padła, wskutek czego WPGR Ostróda — w/g ustaleń prokuratury — poniosła straty w wysokości 832 tys. zł.

W sierpniu 1974 roku Frelik zgłosił się jeszcze do starszego specjalisty do spraw produkcji zwierzęcej w PGR Unieszewo — Janiny Werner z propozycją zawarcia umowy kooperacyjnej na wychów około stu cieląt Po sprawdzeniu zasobów paszowych oraz po otrzymaniu dodatkowo pozytywnej, opinii z Urzędu Gminnego umowę taką zawarł. Po kilku dniach PGR Unieszewo zawarło z Frelikiem drugą umowę na 80 jałówek, które mu przekazano. Frelik na tym nie poprzestał. Na początku października 1974 r. do Frelika przyjechał Sulima i znowu zaproponował przyjęcie na wychów cieląt. Frelik chętnie na to przystał i z kolei zaproponował, że może także sprzedać własne cielęta, a które z kolei może przyjąć na wychów Dalsza kolejność była następująca: spośród cieląt będących własnością SKR Jonkowo i PGR Unieszewo Frelik wybrał 10 buhajków, które zawiózł na spęd do Łukty i sprzedał je jako własne za 100 tys. zł Przedsiębiorstwu Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi. Z kolei buhajki te zostały zakupione na tym samym spędzie przez PGR Ostróda i na podstawie umowy kooperacyjnej przekazane Frelikowi na wychów. 8 listopada 1974 roku na polecenie Sulimy dyrektor zakładu Ramoty podległego PGR Ostróda przekazał 50 buhajków na wychów. 6 grudnia 1974 r. Frelik ponownie sprzedał PGR Ostróda 28 cieląt jako własne, za które zapłacono mu 117 tys. zł, i które też pozostawiono u niego na wychów. Cielęta te bez ich ważenia zostały zakupione bezpośrednio w jego zabudowaniach. W taki sposób w dniu 10 lutego 1975 r. za kwotę 140 tys. zł zakupiono 8 cieląt, które też mu pozostawiono.

W niedługim czasie doszły machinacje z warchlakami. SKR w Jonkowie posiadała m. in. gospodarstwo rolne w Szałastrach, które poza produkcją roślinną zajmowało się hodowlą trzody chlewnej. Gospodarstwo to na skutek pomoru świń nie mogło przyjmować warchlaków znajdujących się w większej ilości u kooperantów. Ponieważ spółdzielnia musiała akurat odebrać od kooperantów 471 warchlaków, na wniosek starszego specjalisty do spraw kooperacji zwierzęcej Grażyny Ghafour oddano je Frelikowi na dalszy wychów.

HAERTEL: — *Poleciłem pracownikom, żeby jeździli i kontrolowali Frelika. Ale oni mówili, że stan się zgadza i wszystko jest w porządku, ale nie wspominając o tym, że brak właściwych warunków na trzymanie bydła czy warchlaków. Moja pracownica na przykład nie mówiła m. in., że buhajki przebywają w dziurawej stodole, a Frelik nie posiada dostatecznej ilości paszy i nie dba o czystość stanowisk.*

Przenośniczak, specjalista d/s kooperacji widział zimą chodzące bydło po polu, a w gospodarstwie — zdaniem jego — było za dużo tych warchlaków „*Dla mnie było oczywiste* — mówi — *że w tych warunkach nie było możliwości wychowania takiej ilości inwentarza. Dlatego informowałem Haertla i jego zastępcę o złych warunkach chowu, nadmieniając, że jeżeli nie podejmie się kroków to „wszystko uschnie".*

O takim stanie Haertlowi mówił też lekarz weterynarii — Jurczyk. „*Było ciasno, brak koryt i poideł. Sztuki były osłabione wskutek niedożywienia*" — napisał w opinii po swojej pierwszej wizycie.

— *Powtarzam* — tłumaczy się Haertel — *że w okresie pierwszej kooperacji Ghafour w ogóle nie informowała mnie o jakichkolwiek spostrzeżeniach dotyczących buhajków przekazanych Frelikowi. Ghafour nie mówiła mi, że buhajki przebywają w dziurawej stodole, że posiada on zbyt mało paszy, a część buhajków jest zagnojona. Gdyby Ghafour meldowała o takim stanie to na pewno wszystkie buhajki bym Frelikowi odebrał.*

JURCZYK: — *Do Frelika zostałem wezwany przez SKR Jonkowo, a chodziło o wstawienie dwustu świń do obory, którą Frelik zaczął budować. Pojechałem więc, żeby obiekt zobaczyć. Na dostawę świń nie wyraziłem zgody, bo nie było tam właściwych warunków hodowlanych. Mojej negatywnej opinii nie wykorzystano. Ponownie byłem tam, gdy świnie zostały wstawione do gospodarstwa Frelika. Widziałem, że tych cieląt nie sposób jednej osobie dopilnować. Widziałem też bydło rzeźne stojące w stodole, ale nie wyglądało ono najlepiej. Sztuki były wychudzone. Odniosłem wrażenie, że było ono morzone głodem. O tym na pewno mówiłem Haertlowi i Wernerowi. O tym, że „wszystko uschnie" meldował także Przenośniczak.*

PICERKOWSKI: specjalista d/s produkcji zwierzęcej PGR Dobre Miasto: — *Frelik przyjeżdżał do nas z propozycją zawarcia z nim umowy kooperacyjnej na sto cieląt. Zdziwiło nas to trochę, bo mieszkał poza naszym obszarem gospodarowania. Pojechałem obejrzeć jego gospodarstwo. Zobaczyłem ponad dwieście sztuk bydła plus warchlaki. Bydło stało dosłownie pod dachem, dziurawym i znajdowało się w antysanitarnych warunkach. Było za dużo obornika, a koryta były brudne. Duże zagęszczenie bydła powodowało bezskuteczność stosowania ściółki. Frelik nie mógł pokazać żadnych zasobów paszowych. Powiedziałem mu, że będziemy z nim kooperować, jeżeli rozliczy się z innymi kooperantami.*

— *Nie wiedziałem, że Frelik nie uprawia części ziemi* — mówi Domozych naczelnik gminy Jonkowo. — *Za to widziałem u Frelika sztuki kaszlące i wynędzniałe. Frelik powiedział mi, że meldował o tym weterynarzowi Wówczas nie wiedziałem z kim jeszcze Frelik poza SKR Jonkowo kooperował. Gdyby ktoś do nas z PGR zwracał się to bym poinformował, że Frelik już z kimś kooperuje.*

Frelik pasz objętościowych takich jak kiszonki zielone czy też słomy posiadał w skąpej ilości. Cielęta na okres zimy umieścił w użytkowanych dwóch stodołach i oborach. Pod ścianami tych pomieszczeń ustawił kilka koryt, do których nie wszystkie cielęta miały dostęp. Frelik na ściółkę nie stosował słomy, bo jej po prostu nie miał, wskutek czego cielęta jak i warchlaki przebywały zupełnie w mokrym oborniku. Także stodoły, w których przebywał inwentarz znajdowały się w fatalnym stanie. Hodowane w tak złych warunkach i w dodatku niedokarmione cielęta już jesienią 1974 r. zaczęły chorować, a następnie zdychać. W okresie od jesieni 1974 r do końca kwietnia 1975 r w pomieszczeniach lub na polu padło 136 cieląt. Frelik wiedział, że o każdym przypadku zachorowania cieląt jest zobowiązany — co wynikało z umowy — zawiadomić najbliższą lecznicę weterynaryjną, a o każdym padnięciu niezwłocznie właściciela zwierząt. Frelik jednak tego nie robił. Każde niezwłoczne zawiadomienie służby weterynaryjnej stanowiło podstawę do wypłaty ich właścicielom odszkodowania z PZU. Pomimo jaskrawej winy Frelik wartością padłych sztuk nie został obciążony.

Powołani w toku śledztwa biegli — docent Lesław Kastylak i dr Jerzy Wolszczan z Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie w opracowanej opinii podali, że najważniejszą przyczyną padnięć inwentarza było niewłaściwe żywienie i złe warunki chowu Zwrócili także uwagę na zaniedbania w nadzorze nad przebiegiem kooperacji ze strony pracowników za nią odpowiedzialnych Polegały one głównie na niesolidnym sprawdzaniu danego do kooperacji materiału wsadowego, nieprzeprowadzaniu oceny stanu budynków, zasobów pasz i niezwracaniu uwagi na pielęgnację zwierząt.

„*Obywatel Stanisław Frelik* — czytamy w konkluzji ekspertyzy — *nie posiadał odpowiednich warunków gospodarczych, które uzasadniają podjęcie kooperacji w tak znacznym zakresie ze względu na: — brak zabezpieczenia odpowiedniej gospodarskiej bazy paszowej;*

— brak odpowiednich pomieszczeń inwentarskich, które nie odpowiadały podstawowym wymaganiom zoohigienicznym;

— stwierdzono również brak odpowiedniej obsługi zwierząt co odbiło się głównie na prawidłowej pielęgnacji i żywieniu zwierząt."

☆ ★ ☆

— *Sprawa jest skandaliczna* — powiedział mi na początku 1978 r. wiceprokurator wojewódzki w Olsztynie Czesław Wilczek. — *Frelik nigdy nie był rolnikiem, nie prowadził gospodarstwa, a mimo wszystko otrzymał ziemię, a także w kooperacyjny wychów bydło i świnie. Zaniedbania i niedopełnienia swoich obowiązków spotykało się na każdym kroku. Odpowiedzialne za realizację kooperacyjnych umów osoby nie sprawdzały ilości zwierząt, wskutek czego nie miały one orientacji co do liczby padłych sztuk warchlaków i buhajków. Także nie reagowały na złą kondycję i złe warunki hodowlane, a co było powodem licznych padnięć... Zaraz bezpośrednio po zakończeniu śledztwa wystąpiliśmy do dyrektora Wojewódzkiego Zjednoczenia PGR o wydanie podległym PGR odpowiednich zarządzeń, które w przyszłości wyeliminowałyby nieprawidłowości w kooperacji z rolnikami indywidualnymi. Wystąpiliśmy też do organów państwowych i spółdzielczych i szeregu innych instytucji. Oczywiście z myślą, by takie przypadki nie miały już miejsca.*

Stanisław Frelik został oskarżony przez prokuratora o zagarnięcie mienia społecznego wartości miliona złotych. W I instancji został przez Sąd Wojewódzki w Olsztynie skazany na 12 lat pozbawienia wolności. Potem w wyniku kilku rewizji obrony wyrok ten uległ znacznemu zmniejszeniu, przyspieszeniu też uległ termin — oznaczony prawomocnym wyrokiem — opuszczenia murów więziennych.

— *Wydawałoby się, że sprawa ta nigdy się nie powtórzy, a na osobę Frelika będą wszyscy baczyć* — mówi ppor. Marek Bonikowski z Komendy Wojewódzkiej MO w Olsztynie. — *Wydawało się też, że usunięte zostaną wszelkie niedociągnięcia ujawnione w toku tej sprawy w szeregu insytucji państwowych i spółdzielczych. Stanisław Frelik nie omieszka powtórzyć starych chwytów, nie bez pomocy tych samych instytucji.*

Zacznijmy od początku. Jesienią 1977 roku Urząd Gminny w Jonkowie przejął gospodarstwo rolne Kalinowskiego. Podanie o nabycie jego złożył Nieściór Pismem z dnia 11 listopada 1977 roku nr 8220/162/77 podpisanym przez kierownika służby rolnej Aleksandra Burlingę Urząd Gminny w Jonkowie powiadomił zainteresowanego o odmownym załatwieniu jego sprawy, ponieważ gospodarstwo, o które ubiegał się zostało już przyznane innemu rolnikowi. Zgodnie z przepisami kpa należało wydać decyzję, od której Nieściórowi przysługiwało odwołanie. Ponadto motywy podane w piśmie nie odpowiadały rzeczywistości, gdyż w tym czasie gospodarstwo,o które ubiegał się Nieściór nie było przyznane innej osobie. Naczelnik Gminy dopiero 25 listopada 1977 roku, a więc w dwa miesiące później zdecydował o przekazaniu gospodarstwa, ale innemu rolnikowi — Szczypińskiemu. Decyzja ustanowienia jego nabywcą wydana została w dniu 3 lutego 1978 roku W jej uzasadnieniu podany jest fakt nie odpowiadający prawdzie: „*wymieniony dzierżawi nabywane gospodarstwo od sześciu miesięcy podczas gdy w rzeczywistości umowa dzierżawy została zawarta w dniu 14 grudnia 1977 r.*". I już tu pojawia się Frelik, bowiem kolejna decyzja wydana 29 listopada 1978 r. nr 8224/48/78 dotyczy jego. Naczelnik w uzasadnieniu powołuje się na fakty, które przed jej wydaniem nie zostały sprawdzone. Z decyzji wynika, że podstawą przydzielenia gospodarstwa rolnego Frelikowi była opinia właściwej do spraw rolnych komisji gminnej, podczas gdy komisja ta, jak i kierownik gminnej służby rolnej — wypowiedzieli się już po uprawomocnieniu się decyzji. Także w chwili wydania przedmiotowej decyzji nie została uchylona decyzja odnośnie Szczypińskiego. Przez pewien czas obowiązywały więc dwie decyzje, a właścicielami tego samego gospodarstwa rolnego było dwóch niczym ze sobą nie związanych rolników indywidualnych.

— *Zastanawialiśmy się jak to możliwe* — mówi dalej ppor. Bonikowski — *że po raz kolejny w tak krótkim czasie Frelikowi przyznano ziemię, do której uprawy nie był w ogóle przygotowany. Przesłuchaliśmy wiele osób. Jasne było, że w pracy Urzędu Gminnego było — delikatnie mówiąc — wiele niedociągnięć. Naczelnik Gminy powiedział nam, że Frelik był dobrym rolnikiem, a po skazaniu i wyjściu z więzienia nie można człowieka przekreślać. Przekazał gospodarstwo Frelikowi dlatego, że nikt inny o to nie starał się — powiedział nam — a także interes gospodarczy tego wymagał. My zaś wiedzieliśmy, że jest to niezgodne z prawdą i dużo wcześniej nawet swojej ziemi Frelik nie uprawiał, a po otrzymaniu decyzji Naczelnika Gminy i tak leżała odłogiem. Naczelnik przesłuchany po raz drugi tłumaczył się już inaczej, zwalając wszystko na nieznajomość procedury przekazywania ziemi, jak i swoją niekompetencję. Zostawiam to ostatnie zdanie Naczelnika bez komentarza.*

Frelik w tym czasie zawiera z Zakładem Rolnym w Wenecji podległym PGR w Morągu aż osiem umów kooperacyjnych na dostawy 650 sztuk tuczników i 32 sztuki bydła. PGR bez dokładniejszego rozeznania i sprawdzenia czy rolnik jest w stanie wywiązać się z tak poważnych umów kooperacyjnych, wypłaca Frelikowi od razu milion osiemset tysięcy złotych. W przewidzianych terminach Frelik odstawia tylko 90 tuczników i 4 sztuki bydła. Owszem, pracownicy zakładu niby jeżdżą na kontrole i stwierdzają braki. Nie przeszkadza to jednak Frelikowi systematycznie pozbywać się sztuk wyrośniętych i wprowadzać na ich miejsce młode warchlaki. Kontrolerowi zaś mówi, że bydło pada. W tej sytuacji PGR przejmuje warchlaki i dokonuje komisyjnego przeważenia, zakolczykowania Wykazuje on brak 271 sztuk trzody, które sprzedał albo poszły do ziemi.

Przyjrzeliśmy się także Zakładowi Rolnemu w Wenecji. Sprawami kooperacji zajmował się Stankiewicz zatrudniony na stanowisku specjalisty d/s kooperacji. Stankiewicz był uprzedzony przez swego zwierzchnika o tym, żeby nie zawierać umów kooperacyjnych z Frelikiem, gdyż nie wywiązuje się on z kooperacji, posiada zadłużenie, a ponadto był w związku z nadużyciami karany sądownie. Stankiewicz uwagi te puścił koło uszu i umowy z Frelikiem podpisał, nie bez osobistej korzyści. Udowodniliśmy mu branie łapówek, za co został skazany...

☆ ★ ☆

Za rozwojem kooperacji przemawiają różnorodne korzyści, m. in pełniejsze wykorzystanie rezerw istniejących w gospodarce chłopskiej, umożliwiające zwiększenie produkcji rolniczej przy niższych kosztach społecznych. I trudno wyobrazić sobie dalszy dynamiczny wzrost produkcji zwierzęcej bez dobrze rozwijanej kooperacji. Przykład Frelika i innych wywołuje nie tylko fatalne skutki ekonomiczne, ale i prowadzi do asekuranckiego likwidowania kooperacji i zaprzepaszczania osiągniętych wyników gospodarczych.

WACŁAW OPACKI

„Cygańska sprawa" w Koninie

Dokończenie ze strony 1

wywlekane są na światło dzienne. Oskarża się Cyganów o to, że „nie sieją a mają". Głos z tłumu: „Złota mają pełno, samochody zmieniają co roku, siedzą w willach i nic nie robią. Ja też bym tak chciał!". Trochę wcześniej ktoś rozpuścił plotkę, że aresztowani przy bójce są bici, jeden jest „nawet postrzelony w kolano". Mediatorzy biorą ze sobą trzy osoby, które naocznie przekonują się o tym, że to nieprawda. Mówi o tym także lekarz, który dokonał obdukcji. Tłum jest zawiedziony, ktoś w dalszym ciągu usiłuje przekonać innych, że „sam niosłem rannego". Daje się jednak zauważyć oznaki znużenia, coraz mniej ludzi pozostaje na Placu. Całe zajście podsumowuje młody chłopak: „Od czasu do czasu wesoło musi być".

POPOŁUDNIE 10 WRZEŚNIA

przyniosło plotkę, że „na błoniach nad Wartą stoją Cyganie, którzy przyjechali zemścić się za wczorajszy dzień". Plotka stanowiła przysłowiową iskrę w kubeł benzyny. Tłumek, który gromadzi się na Placu Zamkowym z różnych powodów (jest tam i budka z piwem, i bar, i kilka przystanków autobusowych) pod przywództwem wczorajszych prowodyrów, karnie formuje się w kolumnę i rusza w kierunku obozowiska Cyganów. „Te gnidy trzeba wydusić, wywieszać to będzie spokój" — krzyczy tłuszcza. Po drodze, do kolumny maszerującej dołączają starsi i dzieci (sporo kobiet).

Na konińskich błoniach istotnie koczował cygański tabor, składający się z dwóch „warszaw". Było kilku mężczyzn i dwudziestoosobowa grupa kobiet i dzieci. Zatrzymali się w drodze do Katowic. Jedni jechali z Płocka, drudzy z Gdańska. O zajściach nie wiedzieli nic, choć kilka godzin wcześniej i milicja, i mediatorzy doradzali im szybki wyjazd z miasta. Nie mogli, bo — jak się później okazało — popsuł się jeden z samochodów.

Gdy na krańcach błoni pojawił się tłum, grupkę Cyganów ochraniało trzech funkcjonariuszy MO. Zdążyli chwilę wcześniej przyjechać radiowozem.

Z zeznań poszkodowanego Stefana G.: „...napadła na nas grupa około 300 ludzi (...) chcieli nas zabić. Krzyczeli „zabić Cyganów i podpalić ich wozy. W międzyczasie nadjechała czarna „wołga" z milicjantami...". Od tłumu oddziela się kilkudziesięcioosobowa grupa, która otacza samochody. Naprzeciw niej wychodzi por. Wesołowski. Ppor. Kapuściński wraz z innym funkcjonariuszem osłania grupę mężczyzn z taboru. Przez godzinę trwają pertraktacje. Wesołowski przekonuje, prosi, odwołuje się do ludzkich uczuć. Na szalę stawia swój autorytet i doświadczenie. Tuż przed wejściem tłumu „...jeden z MO — zeznał Stefan G. — zabrał wszystkie nasze dzieci do samochodu, bo ludzie chcieli je też zabić. Tłum także krzyczał, aby zabić tego porucznika, który nas bronił i udzielał pomocy oraz chcieli podpalić „wołgę" milicji..."

Dzieci były bezpieczne, gorzej wyglądała sprawa z pozostającymi pod opieką milicjantów pozostałymi Cyganami. Tłum stanowczo domagał się wydania ich w swoje ręce.

W końcu jedna z „warszaw" zostaje przewrócona na dach — uprzednio wybito w niej wszystkie szyby — i podpalona. Grupie podpalaczy przewodzi mała, drobna, starsza kobieta — Sabina B. Sekundują jej w tym dzielnie dwaj synowie — Andrzej i Zbigniew. Nie pozostawały w tyle Halina K. i Ewa A. Sabina B. przypomina sobie, że to Halina K. odkręciła bak samochodu. Zaś ona jeszcze odgarniała cygańskie rzeczy, aby się nie popaliły. Świadkowie widzieli, że drugą „warszawę" podpalała Ewa A. (za częste zmiany adresu bez powiadomienia prowadzących śledztwo osadzona w areszcie tymczasowym). Widziano także, jak Sabina B. odchodziła od pogorzeliska z zawiniątkiem pod pachą.

PO PODPALENIU

samochodów agresja tłumu skierowała się przeciwko grupce Cyganów stojących za wałem. I znowu funkcjonariusze MO, tłumaczą, przekonują. Dzięki temu, że wśród dyskutujących było wielu „znajomych", milicjantom udaje się odwieść tłum od krwiożerczych zamiarów. Byli tam między innymi Jerzy S., Krzysztof S. i Zbigniew B.

Gdy samochody stanęły w płomieniach, licznie zgromadzona na wale przeciwpowodziowym publiczność nagrodziła podpalaczy gromkimi brawami. Dopiero gdy z Parku Chopina wychodzą oddziały milicji tłum pierzcha. Nie na długo jednak. Po kilkudziesięciu minutach stoi na ulicy Żwirki i Wigury, pod Komendą Miejską MO. Tłum narasta, narasta także agresja. Ulicę przegradza kordon wojska i milicjantów. Przez pewien czas poza śpiewami nic się nie dzieje. Słychać także wypowiadane krzykiem przekleństwa. Śpiewa się: „Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy a Cyganów wyrżniemy...". Już po chwili w rękach wielu osób znalazły się kamienie, cegłówki, kawałki płyt chodnikowych. Słychać po pewnym czasie łoskot „pocisków" padających na tarcze ochronne. Rzucono także kilka butelek z benzyną. Byli tacy, którzy rozpoczęli budowę barykady. Grupa wyrostków chce opanować stację benzynową pobliskiego dworca PKS. Gwar ogromny, tłum faluje. Ale tym razem milicja i wojsko nie czeka dłużej. Sprawnie rozganiają zbiegowisko, wyciągając z niego 15 osób. Do rana w areszcie będzie jeszcze następnych 25.

NASTĘPNEGO DNIA

rano, do mieszkania Sabiny B. udaje się grupa operacyjna MO. Przez godzinę nikt nie otwiera drzwi, mimo że klucz tkwi w zamku od wewnątrz. Dopiero gdy na ponawiane wezwania nikt nie odpowiada, pada rozkaz wyważenia drzwi. W pierwszym pomieszczeniu nie ma nikogo. Dopiero w głębi mieszkania funkcjonariusze natknęli się na Sabinę B. i jej syna Andrzeja. Po pewnym czasie z tapczanów wyciągnięto resztę, która ukryła się sądząc, że będą niewidoczni. Jeden z nich ukrywał się, gdyż był poszukiwany przez milicję w związku z orzeczeniem przez sąd kary pozbawienia wolności.

W pewnym momencie jeden z zatrzymanych rzuca się z butelką w ręku na milicjanta. W porę jednak zostaje obezwładniony i odprowadzony do radiowozu. Drugi usiłuje popełnić „samobójstwo", podcinając sobie żyły w nadgarstkach. Okazuję się, że większość z zatrzymanych jest doskonale znana milicjantom. Spotkanie to nie należało do pierwszych w życiu.

Na podwórku posesji zabezpieczono wózek na dwóch kółkach, który swą zawartością przypominał średniowieczny jaszcz machiny oblężniczej: kamienie, butelki, połówki cegieł.

Wszyscy zatrzymani zostają przesłuchani przez prokuratora. Twierdzą, że o niczym nie wiedzą, niczego nie widzieli, poszli „tylko zobaczyć". Zaś Sabiny B. nie było w ogóle w domu, gdy przyszła grupa operacyjna. Akurat stała po zakupy w sklepie. Jerzy S. uczestniczył tylko dlatego w zajściach, że „...wszyscy poszli..." Nie czuł się także pijany. Podobnie zresztą jak Halina K., u której stwierdzono we krwi 0,74 promille alkoholu. Krzysztof S. był w tym czasie u teściowej w oddalonym o 5 kilometrów Brzeźnie. Marek M. pamięta, że rozmawiał z milicjantami na błoniach. Poza tym nic nie widział, nie słyszał, nie pamięta. Krzysztof S. przypuszcza, że „Cyganie też mogli podpalić". Tylko ciekawość była powodem tego, że Mirosław Rz. znalazł się na błoniach. Przyznaje się do tego otwarcie Andrzej B., który twierdzi iż poszedł zobaczyć co się tam dzieje i przez cały czas był 500 metrów od centrum zajść. „Tego mi nikt nie zabroni" — stwierdził w przesłuchaniu. „Miałem spalić „Garsiję" (pseudonim jednego z Cyganów — przyp. M.J.) — przyznaje ze skruchą Zbigniew B. — bo kiedyś gonił mnie z siekierą i krzyczał, że mnie zabije". Matka Zbigniewa ratowała cygańskie rzeczy przed ogniem, gdyż „ma pretensje do Cyganów, że dostają zapomogi, kartki i nie pracują, a ja jestem chora i nic nie dostaję".

Halina K. nie mogła odkręcić baku samochodu — „...nie pozwala mi na to stan zdrowia..." — podnosi roztrzęsione alkoholem ręce. Gdy przewodniczący pyta czy podejmie leczenie przeciwalkoholowe, odpowiada że nie — „...to nic nie daje i po tym piję jeszcze więcej...".

Sabina B. niechętnie odpowiada na stawiane jej pytania, „czuje się zmęczona i zaschło jej w gardle". „Wcześniejsze zeznania są nieprawdziwe, bo dzielnicowy i tak napisał co chciał". I nie zmienia zdania, gdy oskarżyciel publiczny przypomina jej, że przesłuchiwał prokurator.

Oskarżonym przysługuje prawo do zadawania pytań świadkom. Zamiast nich padają fakty, oskarżeni przekonują, że było inaczej. Sprawa ustalenia czy w obozowisku Cyganów paliło się ognisko przeciąga się w czasie. Co innego mówią protokoły wcześniejszych zeznań, co innego przesłuchiwani oskarżeni. Nie pytany oskarżony Zbigniew B. głośno opowiada swoją wersję wydarzeń: „...latali po łóżkach, bili nas k... mać...". Zostaje usunięty z sali. W momencie gdy jedni zeznają przeciwko drugim, dłonie zaciskają się w pięści, słychać szeptem wypowiadane przekleństwa, życzenia wszystkiego najgorszego. Oczy nabierają złowrogiego blasku.

Deprymuje to świadków, paru z nich odwołuje częściowo uprzednie zeznania. Większość oskarżonych nie rozpoznaje siebie na zdjęciach wykonanych w czasie zajść. Mimo, że są ostre,

ŚWIADKOWIE

potwierdzają, że Sabina B. podpaliła samochód. Drugą „warszawę" podpaliła Ewa A., którą widziano jak wrzucała do samochodu płonącą żagiew.

Nie ma stuprocentowego alibi Jerzy S., który twierdzi, że zajścia i podpalenie „fiata" Józefa W. obserwował z okien sklepu, w którym pracuje jego znajoma. Nie miał też zapałek, a papierosa przypalił od przygodnie spotkanego znajomego. Kierowniczka sklepu oraz koleżanka nie potrafią powiedzieć czy Jerzy S. miał zapałki — przede wszystkim było ciemno. Świadek Józef W. widział na błoniach prawie wszystkich oskarżonych. Czesław B. dokładnie widział jak Sabina B. przenosiła płonący namiot, „...miała też coś z rzeczy cygańskich...".

Mimo przesłuchania oskarżonych oraz prawie wszystkich spośród trzydziestu pięciu świadków, wyrok w tak zwanej „sprawie konińskich Cyganów" nie zapadł. Potrzebne są jeszcze opinie biegłych: psychiatrów o poczytalności Haliny K. i Zbigniewa B., socjologa i psychologa o zachowaniu się oskarżonych w czasie udziału w zajściach, a także wpływie tłumu na jednostkę i jednostki-przywódcy na tłum w określonych aktem oskarżenia sytuacjach. W tej sytuacji rozprawa, decyzją Sądu, została odroczona do 31 sierpnia bieżącego roku.

Wyjechali dziennikarze, przycichły dyskusje o całym zajściu. Większość mieszkańców Konina nie wie nawet, że odbywa się jakiś proces. Mają na głowie ważniejsze sprawy i tych siedemdziesięciu paru Cyganów nie przeszkadza im wcale.

MIROSŁAW JURGIELEWICZ

Życie bez Słońca

ERWAN CAP

Słońce jest już tylko wspomnieniem. „Cyana" — mała żółta, francuska łódź podwodna — opuściła powierzchnię Pacyfiku ponad godzinę temu. W stalowej półkuli znajduje się trzech ludzi — pilot, nawigator i biolog z muzeum, Michel Van Praet.

„Dno!" Łódź osiadła delikatnie na głębokości 2.620 metrów w łagodnym wyżłobieniu. Odwieczna ciemność oddziela trzech ludzi od powietrza zasobnego w tlen, od lekkiego marcowego passatu, a przede wszystkim od życiodajnego światła, które zanikło na głębokości kilkudziesięciu metrów. Ciśnienie: 260 atmosfer. Temperatura: 3 stopnie. Opad: wszystko to, co spada z powierzchni (mikroskopijne algi, odchody zwierzęce, wszelkiego rodzaju zwłoki).

W świetle reflektorów spodka należącego do Krajowego Ośrodka Eksploatacji Oceanów (CNEXO) dziwny bazaltowy krajobraz rozpadliny na wschodnim Pacyfiku, jednego z najaktywniejszych miejsc dryfu kontynentów. Kolumny o wydrążonej powierzchni — zakrzepłe pozostałości jezior wypływającej lawy. Wypukłości bazaltu w kształcie poduszek. Posępne skały łupkowe, pofałdowane, których monotonię rozbijają niekiedy rzadkie jasne osady.

Zbalansowany, postawiony w pozycji pływalności zerowej (poziomej), spodek rusza w drogę, prowadzony przez sygnały akustyczne. W półkuli dźwięczą tony — „Ping... ping... ping... ping...".Leżący na brzuchu, z nosem przyciśniętym do grubego iluminatora, Michel Van Praet ogląda dno.

— Mieszkańcy okolicy są typowymi zwierzętami głębin morskich — wyjaśnia. — Spotyka się tutaj anemony morskie, nieco dalej koralowce, strzykwy, wie pan, te anemony morskie. Od czasu do czasu trafi się ryba lub rozgwiazda na skałach osadowych mieniących się śladami szkła, spośród których wyłaniają się ukwiały. Na skalnych urwiskach tkwią piękne pojedyńcze gąbki, bądź liliowce na końcach swoich wydłużonych szypułek.

Ogólnie biorąc, ciemna i zimna pustynia, gdzie rozproszone istoty żywe wyczekują na niezbyt częstą mannę spadającą z morskiego nieba.

— Nagle, wszystko się zmieniło — wspomina młody biolog. — W smudze reflektorów „Cyany" pojawiła się biaława strefa, odcinająca się od ciemnego chaosu. Uczepione pagórka w kształcie termitiery było tam nagle kłębiące się życie.

I jakie życie!

Długie na dwa metry robaki, rozciągnięte na podłożu, z ciałami grubymi jak przegub ludzkiej ręki. Kończą się one czerwonawym zgrubieniem wypełnionym hemoglobiną. Inne robaki schroniły się bojaźliwie w wapniowych rozpadlinach. Pośród tej obfitej masy falującej w ciemnej wodzie pływają ryby przypominające krępe węgorze, kraby grube jak bochenki chleba oraz wspaniałe raki z odwłokiem wiecznie podwiniętym pod brzuch i kleszczami wysuniętymi do przodu. Kilka anemonów morskich, miliardy krewetek, a w odległości trzech metrów od wzgórka grube czarne omułki. Dziwne, ogromne zwierzęta w dziwnej oazie życia o średnicy 10 metrów zagubionej w rozległej pustyni głębinowej, w oazie, w którą „Cyana" i jej załoga zanurzyła się dość niespodziewanie w wyniku niepozornego manewru.

— Na przestrzeni kilometra zaobserwowaliśmy trzy podobne miejsca. Wśród ich fauny brakowało tylko gigantycznych mięczaków jadalnych, jakie amerykański okręt podwodny „Alvin" odkrył w 1977 roku nieopodal Galapagos, w rejonie innych źródeł termicznych.

Gorące źródła na głębokości 2.500 metrów pod powierzchnią morza? Tak, właśnie one. Wzdłuż osi rozpadliny wydobywająca się pod powierzchnię dna lawa stworzyła skomplikowany system pęknięć. W pęknięcia te wpływa morska woda, rozgrzewa się podczas kontaktu z lawą i przechodząc do góry wypłukuje skały z najłatwiej rozpuszczalnych elementów. Wypływając na powierzchnię dna, ma ona wówczas temperaturę około 350 stopni, wynosi z sobą czarnawy związek metalicznych siarczków. Ciała te, pochodne siarki, ochłodzone przez wodę na wielkich głębokościach, osadzają się. Gromadzą się one tworząc te dziwne kominy — „dmuchawy", jak je nazwali oceanografowie. Właśnie tam kłębi się życie.

Skąd się to wszystko bierze? Pierwsza odpowiedź: ponieważ źródła podmorskie ogrzewają niewielkie ilości wody w głębinach. To prawda. Nie wystarcza to jednak, żeby wyjaśnić tę bujność, jaką mógł wyobrazić sobie Juliusz Verne. Trzeba przecież pożywienia, żeby „wytworzyć" te gigantyczne robaki. Riftia czy też Alvinela. Trzeba przecież pożywienia, żeby wykarmić te potężne skorupiaki, gigantyczne omułki, ogromne skorupiaki jadalne oraz całą chmarę niezidentyfikowanych krewetek. Przecież ta prawie pustynia rozciągająca się wokół nie może wyżywić mieszkańców owych oaz.

Z drugiej strony, pośród tej wiecznej nocy nie ma żadnych roślin zdolnych do dokonania syntezy cukrów, białek i tłuszczów z dwutlenku węgla i soli mineralnych rozpuszczonych w wodzie morskiej. Wiadomo przecież, że na powierzchni Ziemi wszelkie życie zaczyna się dzięki Słońcu, które dostarcza „paliwa" do fotosyntezy. Następnie zwierzęta roślinożerne zjadają tę produkcję roślinną, nazwaną produkcją pierwotną czy też poziomem pierwszym. Roślinożerne są następnie pochłaniane przez mięsożerne, które są potem chrupane przez większe z nich, bądź bardziej żarłoczne. Jest to zasada każdego łańcucha alimentacyjnego. Jeden z nich kończy się w głębinach oceanów, gdzie opadają opady z powierzchni.

Widzieliśmy jednak, że stworzona w ten sposób żywa masa jest wyjątkowo mała. Tymczasem wokół źródeł gorących badanych od początku tego roku na Pacyfiku przez ekspedycję Cyatherm, ewolucja stworzyła system biologiczny, jedyny w swoim rodzaju ekosystem. Jest on całkowicie niezależny od Słońca. Tutaj są to bakterie, które pobierają energię z siarki a nie z fotonów słonecznych, potrafią dokonywać syntezy żywej materii z dwutlenku węgla i soli mineralnych z wody morskiej. Bakterie te są pożerane przez robaki, omułki, skorupiaki jadalne i bez wątpienia przez niektóre krewetki. Zwierzęta te, stanowiące poziom drugi łańcucha alimentacyjnego, są z kolei pożerane przez ryby i skorupiaki poziomu trzeciego tego niepowtarzalnego ekosystemu.

Co więcej, gigantyczne robaki, których znani dotychczas kuzyni mieli zaledwie kilka centymetrów długości, potrafią uprościć do granic możliwości problem odżywiania. Nie mają one ani jamy gębowej, ani żołądka, ani jelit. Stworzyły one sojusz ze sławetnymi bakteriami. Udzielając im schronienia na swojej skórze, gwarantują im bezpieczeństwo. W zamian za to owe mikroskopijne istoty, które „używają siarki w swoich motorach", dostarczają bezpośrednio owym leniwym gigantom środki niezbędne do wzrostu, dojrzewania i rozmnażania się. Na ciele tych węży morskich przyczepionych do siarkowych „termitier" umieściły się również czareczki (Patella L) nazwane chińskimi kapeluszami, które również korzystają ze skróconego obwodu produkcyjnego: pierwotniaki — konsumenci wtórni, co biolodzy nazywają symbiozą.

Występują też robaki, które *nie całkowicie* pasują do tego wzorca. Robaki te, posiadają również na skórze trochę bakterii, zachowały jednak jamę chłonną, która pozwala im połykać bezpośrednio kilka miliardów cudownych bakterii i i trawić je. Badacze amerykańscy usiłują właśnie wykraść tym użytecznym mikrobom tajemnicę mechanizmów biochemicznych, które pozwalają im zastąpić Słońce siarką.

Życie w oazach na dużych głębokościach jest jednak niepewne. Niech tylko źródło gorące w rozpadlinie Pacyfiku zaniknie, pociągnie to za sobą lodowatą śmierć całej żywej kolonii. Zwierzęta nie są jednak skąpe, jeśli idzie o jaja i nasiona. Rozsiewają one we wszystkich prądach oceanicznych niezliczone larwy. Większość z nich ginie pośród wiecznej nocy. Niektóre jednak docierają jakimś cudem do innego źródła cieplnego, które właśnie wytrysnęło. Kolonizują więc nową „dmuchawę". Ponieważ tego wymaga przetrwanie ekosystemu bez Słońca.

(„LE POINT")

Czy uliczka bez wyjścia?

EUGENIUSZ IWANICKI

Nielatwo jest pisać o losie współczesnym polskiej książki. Książka bowiem jest, obok chleba, jednym z artykułów pierwszej potrzeby. Tu mógłbym się powołać na wypowiedzi luminarzy naszego życia umysłowego, którzy zdając sobie sprawę z ważności edukacji społeczeństwa, przestrzegali przed dyskryminacją książki zalecając jednocześnie jej najszersze rozpowszechnianie. Książka w historii naszego narodu zawsze pełniła szczególną rolę, a w czasie rozbiorów stała się niemal instytucją, nośnikiem patriotyzmu i świadomości narodowej. I tak się składało, że była ona otaczana szacunkiem i czcią, stanowiła wartość jedyną i nieprzemijającą.

W dwudziestoleciu międzywojennym ruch wydawniczy rozwinął się żywiołowo, choć książka, myślę o tej wartościowej, nie zawsze mogła trafić pod przysłowiowe strzechy, gdyż najuboższe warstwy nie było na nią stać. Potem przyszła okupacja a z nią totalna zagłada wszystkiego co polskie w tym zagłada książki. Po pięciu latach, kiedy odzyskaliśmy niepodległość, ludzie nie tylko pragnęli chleba, ale i polskiego słowa drukowanego. Głód książki był ogromny. Stąd entuzjazm, jakim powitano, obliczone na szerokiego odbiorcę, pierwsze książki w cenie 2,40 zł, stąd świętowanie ukazania się narodowego wydania dzieł Adama Mickiewicza, stąd radość z zapowiedzi książek Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego... Potem szły lata jakby coraz tłustsze, książek przybywało, a wraz z nimi rósł apetyt czytelników.

Tak się złożyło, że w swoim życiu udało mi się być w różnych krajach Europy. Widziałem (i bywałem w nich) księgarnie w ZSRR, Rumunii, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgrzech, Jugosławii, Austrii, RFN... Z wymienionych krajów zamiłowaniem do książki mogą z nami konkurować jedynie Rosjanie. Tam także ludzie polują na nowinki, oblegają księgarnie, chciwie wyławiają wzmianki dotyczące zapowiedzi wydawniczych. W innych krajach bywa różnie, w niektórych całkiem źle. A mimo to, wszystkie te kraje biją nas na głowę pod względem ilości książek przypadających na jednego mieszkańca.

Lata siedemdziesiąte (pamiętamy ich eurofryczny początek) miały stać się przełomowymi w życiu kraju i narodu. Stały się takimi, ale w pejoratywnym znaczeniu. Jednakże u ich progu, kiedy do władzy doszła nowa ekipa, wśród zarzutów wobec swoich poprzedników, znalazł się i ten, że nie spełnili oni oczekiwań czytelników na książki i zamiast, powiedzmy 8 egzemplarzy na jednego mieszkańca, mogli mu dostarczyć zaledwie 3,7 egz. Po grudniu 1970 r. zaczęto „nadrabiać" zaległości. W 1974 r. osiągnięto aż 4,7 egz. na 1 Polaka, tzn., że wydrukowano 179 mln książek. Ale był to szczyt, którego nie udało się już później osiągnąć. Co prawda Ministerstwo Kultury i Sztuki zakładało, że w 1980 r. wydrukuje się 270 mln egz. książek i broszur, a w 1985 aż 350 mln., były to, jak się wkrótce okazało, pobożne życzenia. Bo oto w 1980 r. spadliśmy ponownie do ilości 2,9 egz. na 1 mieszkańca, co stawiało nas na ostatnim miejscu wśród krajów europejskich, gdy tymczasem nasi sąsiedzi z krajów socjalistycznych osiągnęli dwukrotnie wyższy poziom.

Pamiętam dyskusje jakie na temat książki toczyły się na ostatnim zjeździe Związku Literatów Polskich. Jestem także w posiadaniu protokołów z zebrania POP przy Oddziale Warszawskim ZLP, uczestniczyłem w podobnym zebraniu w łódzkim oddziale tegoż związku — ale poza uchwałami i rezolucjami sprawa nie posunęła się ku jakiemuś optymistycznemu rozwiązaniu. Przez parę lat bariera dla książki był papier (tak przynajmniej zapewniali o tym oficjalni decydenci od kultury), potem zaczęto mówić o kleju, lakierze i sznurku, wreszcie całą sprawę zwalono na poligrafię. Literaci domagali się, aby cykl wydawniczy skrócić do roku czasu, wydawcy niby ich popierali, natomiast o poligrafii zaczęto mówić jako o „wąskim gardle". Więc byłe Zjednoczenie Pracowników Poligrafii pokusiło się o liczbowe rozbicie czasu, jaki upływa od momentu oddania maszynopisu przez autora wydawcy do momentu ukazania się dzieła w księgarniach. Wygląda to tak: praktycznie średni cykl produkcyjny wynosi około 8 miesięcy. Ale sama struktura tego cyklu budzi zdziwienie. Bo oto udział kolejnych faz produkcji wyrażony w procentach jest następujący: przygotowanie do druku — 82 proc. (w tym oczekiwanie maszynopisu do wejścia do składu — 22 proc., skład tekstów — 23 proc., korekty wydawnicze — 24 proc., korekty w drukarni — 13 proc.) druk i oprawa książki — 18 proc. Natomiast w metryczkach umieszczanych w książkach, figurują zaledwie dane dotyczące przekazania maszynopisu do składu, podpisania do druku i ukończenia druku. Jest to bardzo mylące, gdyż droga maszynopisu od momentu jego złożenia u wydawcy do lady księgarskiej sięga w najlepszym przypadku dwóch lat.

Tak więc autorzy mają pretensje do wydawców, wydawcy zaś od lat tłumaczą się „wąskim gardłem" lub „niedostatecznymi mocami przerobowymi" poligrafii.

Chcąc bliżej przyjrzeć się tym „mocom" i „gardłom" zatelefonowałem do dyrektora STANISŁAWA NIEDZIELSKIEGO z ŁÓDZKIEJ DRUKARNI DZIEŁOWEJ. Na moje pytanie, czy zechce rozmawiać na ten temat, dyrektor odpowiedział, że chętnie, bo o poligrafii trzeba nie tylko rozmawiać, ale krzyczeć wielkim głosem.

Budynek ŁDD stojący przy ul. Rewolucji 1905 r. nr 45, nie robi najlepszego wrażenia: ciemny, bunkrowaty, ciężki, oddany w 1966 r. nosi nazwę Zakładu nr 1, bowiem ŁDD posiada jeszcze Zakład nr 2 w Pabianicach i nr 3 w Tomaszowie Maz. (ten ostatni ma jeszcze filię w Opocznie). Nie tak dawno, tuż po rozbiciu dzielnicowym Polski na 49 województw, kiedy zaczęły powstawać przeróżne giganty (jak np. sławetne połączenie Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego z Ruchem i Prasowymi Zakładami Graficznymi) ŁDD także znalazła się w tym kotle narodowej gigantomanii. Powołano wówczas Łódzkie Zakłady Graficzne dołączając do ŁDD zakład mieszczący się na ul. PKWN. Ta fuzja trwała krótko, dziś wszystko wróciło na swoje miejsca.

ŁDD mieściła się do 1966 r. na ul. Piotrkowskiej nr 86, w drukarni założonej w 1898 r. przez Jana Petersilgiego. Po wojnie drukarnię przejęła Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", potem „Książka i Wiedza", a w 1952 r. przeszła pod Centralny Zarząd Przemysłu Graficznego, który nadał jej nazwę ŁÓDZKA DRUKARNIA DZIEŁOWA. Rosnące potrzeby (w Łodzi drukuje swoje książki 30 wydawnictw) sprawiły, że w 1961 r. rozpoczęto budowę nowej drukarni i po pięciu latach stanął przy ul. Rewolucji 1905 r. ów niesympatyczny budynek.

Z Łódzkiej Drukarni Dziełowej wychodzi rocznie 315 tytułów w nakładzie 16 405 000 egz. (w tym książki beletrystyczne, popularno-naukowe, kalendarze bloczkowe, literatura młodzieżowa i dziecięca, słowniki i podręczniki do języków obcych oraz czasopisma). Głównymi kontrahentami są: „Nasza Księgarnia" — 3 mln egz., PIW — 1 930 000 egz., „Wydawnictwo Łódzkie" — 1 136 000 egz., „Książka i Wiedza" — 745 000 książek i 3 mln kalendarzy, „Czytelnik" — 900 000 egz., „Iskry" — 601 000 egz., PWN — Oddział w Łodzi — 462 000 egz., PAX — 338 000 egz. Reszta przypada na pozostałe wydawnictwa. Tu ciekawostka: wszystko, co ma powyżej 16 stron druku jest traktowane jako książka, stąd kalendarze bloczkowe których drukuje się tu ok. 6 mln szt. są wliczane do produkcji książkowej.

Ale to są plany i żeby je zrealizować, potrzeba już teraz wielu niezbędnych części do maszyn, do remontu linii do opraw bezszyciowych i do linii do opraw twardych, trzeba usprawnić rytmikę materiałów i surowców, szczególnie do druku techniką offsetową. Ale na to potrzebne są dewizy. ŁDD zaopatruje w nie „Technograf", który ma na głowie nie tylko Łódź. Dla przykładu są ogromne trudności z uzyskaniem blach offsetowych, które przygotowuje do druku „Grafmasz" a rozprowadza „Technograf". Dawniej takie blachy sprowadzano za dewizy i był spokój. Teraz zaczęliśmy robić je u siebie. Ale dopiero zaczęliśmy i nie nadążamy z zaspokojeniem potrzeb drukarń pracujących na offsecie. Skoro blach nie ma, w ŁDD przygotowano już listę wznowień i w przyszłym roku blachy, które już raz były użyte i zostały zachowane, będą wykorzystane powtórnie. Jest to oszczędność około 1 mln złotych. Ale jest to oszczędność dość przewrotna, będą książki, będzie ich więcej, ale przez to wcale nie zwiększy się ilość tytułów. Skądinąd wiem, że fachowcy z ŁDD nie tak dawno, by ratować produkcję, sami robili takie blachy ze starych karoserii samochodowych, ale na ten temat ani z-ca dyr. d.s. produkcji WIESŁAW WROŃSKI, ani z-ca dyr. d.s. technicznych LUCJAN JAGIELSKI nie chcieli za wiele mówić. Owszem, robiliśmy, ale nie ma czym się chwalić.

W zakładzie nr 1 została zorganizowana przygotowalnia offsetowa, są już trzy NRD-owskie aparaty reprodukcyjne, tylko pracować. Niestety, dotychczas nie udało się załatwić z „Technografem" zakupu rastrów kontaktowych. Jest to sprawa o tyle ważna i nagląca, że bez pracy wspomnianej przygotowalni będzie większe zużycie materiałów fotograficznych i produkcja zamiast ulec poprawie, stanie się dużo gorsza. Są także poważne kłopoty z taśmą do pakowania, choć są urządzenia do szybkiego pakowania książek. Dziś robi się to ręcznie, a to przecież 40 tysięcy paczek!

Papier. W tym roku nie było jeszcze postoju maszyn z powodu jego braku. Szczególnie dobre jest zaopatrzenie w papier rolowy z Myszkowa i Skolwina. Są to jednak papiery V klasy, niższe gatunkowo, nadające się wyłącznie do masowych, wielonakładowych książek. A na czym drukować słowniki i poezje?

Obserwujemy, że coraz częściej pojawiają się w księgarniach książki ze smutnymi, szarymi, matowymi kolorami na okładkach. Jest to wynik tego, że ŁDD nie ma własnej lakierni, a korzysta od przypadku do przypadku z pomocy Łódzkich Zakładów Graficznych i Łódzkiej Drukarni Akcydensowej, jeśli tamci mają akurat lakier i rozpuszczalnik. Niestety, ŁDD nie posiada w swoich planach modernizacyjnych własnej lakierni, co wzięło się stąd, że do lipca ubiegłego roku ŁDD i ŁZG stanowiły jeden zakład i wówczas, planując modernizację, nikt nie przypuszczał, że wyjdzie nowe zarządzenie, które te dwa zakłady rozdzieli. Dziś można jedynie ponarzekać, że tak się stało, ale jak powiedział któryś z dyrektorów, po co nam lakiernia, skoro w kraju nie ma lakieru? Czyli po pierwsze: nie mamy armat...

Dziś ŁDD przeżywa wielką modernizację, polegającą na zmianie techniki i technologii druku z typograficznej na offsetową. Modernizacja jest prowadzona w oparciu o techniczno-technologiczne założenia opracowane przez Biuro Projektów w Lipsku (NRD) z gwarancją dostawy wszystkich niezbędnych maszyn i urządzeń wynikających z planów modernizacyjnych. Ta koncepcja zrodziła się jeszcze w 1979 r., a w rok później były już gotowe założenia i nadeszły pierwsze maszyny rolowe offsetowe. Rok później — kolejna maszyna i niezbędne urządzenia do nowo organizowanej przygotowalni form offsetowych oraz niektóre urządzenia do introligatorni.

W roku przyszłym mają nadejść maszyny offsetowe arkuszowe pełno i półformatowe, a także linia do opraw. Ale „Varimex" zwleka z podpisaniem umowy z NRD na sprowadzenie linii opraw, a czas ucieka. ŁDD złożyła w warszawskim „Varimexie" 15 zamówień na 37 różnych, niezbędnych w drukarni maszyn do druku i opraw książek. No i tu doszliśmy do owego „wąskiego gardła". Jest nim wprowadzenie szybkobieżnych maszyn rolowych b e z l i n i i do opraw. Introligatornia została dosłownie zatkana. Spiętrzone stosy książek czekają w kolejce. Tak więc możliwości samego druku, są duże, natomiast oprawy mocno ograniczone. Gdyby nie to „wąskie gardło" introligatorni, Łódzka Drukarnia Dziełowa mogłaby zwiększyć produkcję książek o całe 30 proc. Wspomniana już linia o symbolu LBW-653 będzie miała zastosowanie do masowych opraw bezszyciowych, jak również do wykonania bloku książki do twardej oprawy. Będzie ona sprzężona z urządzeniem VBF, na którym będzie wykonywana dalsza obróbka bloku łącznie z wstawieniem w okładkę. Ale wszystko to pieśń nieokreślonej przyszłości, a tymczasem wydrukowane książki czekają w długich kolejkach na oprawę.

I jeszcze jedno usprawnienie: system fotoskładu. W ŁDD czekają na niego z niecierpliwością, bowiem tradycyjny skład „na gorąco" na linotypach, jeśli chce się go wykorzystać do druku offsetowego wymaga dodatkowych procesów: odbitek na papierze kredowanym, przefotografowania ich w celu uzyskania diapozytywu tekstowego do kopiowania na blachę offsetową... System fotoskładu nie tylko przyspieszy proces przygotowawczy tekstowej formy drukowanej, ale eliminuje szkodliwy dla zdrowia ołów i inne uciążliwości wynikające ze składu „gorącego". Ale wszystko to dopiero będzie. Na dziś pozostają stare metody wraz ze wspomnianym „wąskim gardłem" introligatorni.

Poprosiłem zatem o wypowiedź dyrektora naczelnego ŁDD STANISŁAWA NIEDZIELSKIEGO, będącego jednocześnie z-cą prezesa nowo powstałego ZRZESZENIA PRZEDSIĘBIORSTW PAŃSTWOWYCH „POLIGRAFIA". Oto co powiedział na temat stanu polskiej poligrafii i ŁDD:

„W tej chwili polska poligrafia odstaje co najmniej o 10 lat od poligrafii europejskiej. W latach 1970—1980 nie została zrealizowana żadna z uchwał Biura Politycznego dotyczących książki. Niby było zielone światło, ale nie odbywał się przy tym świetle żaden ruch. Jedynie co zrobiono, to rozpoczęto budowę Zakładów Graficznych w Gdańsku, które oddano dopiero w tym roku. Czyli mówiąc dokładniej, poligrafia była i jest niedoinwestowana, park maszynowy jest bardzo zróżnicowany, gdyż kiedyś brało się to wszystko, co ktokolwiek nam oferował, a właściwie to, na co, w różnych okresach, było nas stać. Kryzys, który dotknął naszą gospodarkę, nie ominął także poligrafii. Gwarancje się skończyły, a zaczęły się kłopoty z częściami zamiennymi. Kupować? Nie ma za co. Dorabiać? Nie ma gdzie, bo nie ma warsztatów i nie ma takich zakładów. Znaleźliśmy się w uliczce bez wyjścia. Nie ma dewiz i nie ma możliwości robienia części zamiennych w kraju. Na przykład tylko dla ŁDD potrzeba dziś dla jednej linii do opraw broszurowych 38 tys. franków szwajcarskich, dla linii do opraw twardych VBF — 96 tys. marek RFN, dla maszyny offsetowej rolowej „Solna" ze Szwecji — 10 tys. koron, a czekamy na te części już siedem lat. To, że te wszystkie maszyny jeszcze pracują, to zasługa warsztatowców, którzy domowym sposobem utrzymują je przy życiu. Ale jak długo można reanimować chorego?

Ta sytuacja, ti niedoinwestowanie, braki, kłopoty z częściami zamiennymi i kłopoty zaopatrzeniowe surowcowo-materiałowe — determinuje ten stan, w jakim znajduje się polska poligrafia. Dziś dyrektorzy drukarń, a także członkowie Zrzeszenia chcieliby wiedzieć bodaj jedno: czy zostanie opracowany program wyjścia z tej ślepej uliczki. Taki program winien być opracowany przez resort kultury i sztuki, któremu podlega poligrafia a rząd musiałby go zatwierdzić. Dopóki tego nie będzie, będziemy jedynie egzystować, łatać dziury, wiązać koniec z końcem. Ale za rok, dwa przecież te maszyny staną i wtedy już będą potrzebne nie wspomniane 10 tys. koron, a kilka milionów. Z drugiej strony, wiem że książki muszę drukować i... drukuję. Jest to cierniowa droga, ale przyświeca nam cel najwyższy: dobro polskiej kultury.

A teraz parę słów o cenach. Pokutuje przekonanie, że książki są drogie i większość ludzi winą za ten stan obarcza drukarnię. Rzeczywistość jest inna. Posłużę się przykładami: dwa tomy „Maga" Johna Fowels'a kosztują 220 zł. Z tego drukarnia wzięła jedynie 31 zł za egzemplarz nie wliczając w to papieru. „Faraon" Prusa w dwóch tomach — także 220 zł. Drukarnia wzięła sobie 40 zł (bez papieru). „Klaudiusz i Messalina" Roberta Gravesa — 180 zł, drukarnia wzięła 24,14 zł (bez papieru) itd. Mówię, że bez papieru, ponieważ za papier drukarnia płaci zakładom papierniczym, a więc na papierze drukarnia nie zarabia (średnio w ŁDD papier dolicza się jako 100 proc. ceny produkcji). Tak więc reszty ceny należy szukać poza drukarnią.

Teraz o ludziach. W ŁDD pracują 1.052 osoby, a brakuje 12 proc. do pełnego zatrudnienia. Stało się to w wyniku odejścia wielu fachowców na wcześniejszą emeryturę, a także z racji przeprowadzonej modernizacji. Na dobrą sprawę wszyscy dyrektorzy mieli także te możliwość. Ale zostali. Po prostu nie potrafili zostawić przedsiębiorstwa w tym stanie, w jakim ono się dziś znajduje. Nie jest to żadne bohaterstwo, ani tani gest. Ja przepracowałem w poligrafii 42 lata, mój zastępcy: Jan Telega — 42 lata, Lucjan Jagielski — 45 lat, Wiesław Wroński — 36 lat... To nas zobowiązuje. Jest to zespół zżyty ze sobą i dlatego ciężar kłopotów rozkłada się równomiernie. Odmładza się natomiast załoga, co nas bardzo cieszy, choć adaptacja rozciąga się w czasie.

Czego oczekuję od Zrzeszenia Przedsiębiorstw Państwowych „Poligrafia"? Otóż zakładając to dobrowolne zrzeszenie, stawialiśmy sobie takie podstawowe cele: nie chcemy być rozproszeni, ale zintegrowani i w interesie 35 jednostek poligraficznych stworzyć względnie równe warunki pracy i płacy. Nie chcemy, aby było podejmowane 35 różnych decyzji, ale jedna dla wszystkich. Chcemy także przedstawić naszą sytuację i znaleźć dla niej zrozumienie wszędzie tam, gdzie winno to dotrzeć, tzn. chcemy odbyć rozmowę z Ministrem Kultury i Sztuki, z Wydziałem Kultury KC. Chcemy, aby prawda o poligrafii trafiła do Rady Ministrów. Chcemy także z wydawcami, księgarzami i wszystkimi sojusznikami książki stworzyć dobry klimat dla pracy poligrafii. Jesteśmy realistami. Dziś wydajemy 3 książki na jednego Polaka, ale tak przecież nie może pozostać.

Czy mam coś co mnie cieszy? Oczywiście. Gdy przychodzę w poniedziałek do pracy i widzę, że jest papier pod wiatą, to cieszę się, że maszyny będą się kręcić, że ludzie będą mieli robotę. Cieszę się, jeśli mi nic się w zakładzie nie wali, nie palą się silniki, a samochody mogą wyjechać za bramę...".

Tyle dyrektor Łódzkiej Drukarni Dziełowej. Oczywiście, wszystko co tutaj zostało napisane, to zaledwie część prawdy i część problemów czekających na rozwiązanie. Myślę, że dyrektor zapomniał o jednym, winien być sporządzony jak najrychlej „Raport o stanie poligrafii".

Foto: Janusz Kubik

Moskwa 1962, sala kolumnowa Domu Zw. Zawodowych. Osiemdziesiąta rocznica śmierci Kupały i Kołasa. W imieniu delegacji Zw. Literatów Polskich przemawia Jan Huszcza.

Dwaj poeci

W roku bieżącym nasi białoruscy sąsiedzi obchodzą dwie setne rocznice urodzin, tak ważkie w życiu kultury białoruskiej, rocznice, których znaczenie przekracza daleko obszar języka, dlatego też patronuje im UNESCO — Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Wychowania, Nauki i Kultury.

Jako tako oczytani w poezji sąsiadów (a z tym nie jest najlepiej) domyślą się zapewne, iż chodzi o dwóch poetów, z których każdy odegrał po swojemu wielką rolę w formowaniu się świadomości narodowej, we wzbogacaniu środków wyrazu artystycznego, w wytyczaniu dróg rozwoju dla literatury i kultury.

Różne były szlaki życiowe tych twórców, aczkolwiek pracowali w tym samym słowie, te same — przynajmniej w okresie późniejszym — stawiali sobie zadania, przez wiele lat mieszkali w Mińsku.

Obaj urodzili się w tym samym roku. Janka Kupała (vel Jan syn Dominika Łucewicz) ur. 25 czerwca 1882 roku w folwarku Wiazynce (ówczesny powiat wileński) w rodzinie dzierżawcy, pochodzącego z drobnej szlachty. Jakub Kołas (Konstancin syn Michała Mickiewicz) ur. 22 października w zaścianku Akińczycy (ówczesny powiat miński) w rodzinie gajowego.

Życiorysy obu poetów są bogate, ich działalność pisarska splatała się z działalnością obywatelską. Twórczość Kupały to przede wszystkim poezja (liryka i poematy), ale i sztuki. Twórczość Kołasa to poezja, ale i proza, sztuki i poematy. Wśród tych ostatnich chyba jak dotąd najwybitniejszy w poezji białoruskiej poemat „Nowaja ziamla", pisany w latach 1910—1923.

Pismem towarzyszącym ich rozwojowi była wileńska „Nasza Niwa". Nic tedy dziwnego, że w tym mieście licznych kultur z przewagą polsko-litewskiej, byli oczytani w literaturach sąsiadów, wiele przekładali, młody Kupała zaczął od pisania wierszy po polsku, zaś Kołas po rosyjsku. U obu jednak łatwo spotkać przede wszystkim wpływy Adama Mickiewicza.

Nie tu miejsce ani na większą ilość faktów z życia poetów, ani na wyszczególnienie ich różnorodnej a obfitej twórczości, która miała swoje wzloty, ale i upadki. O źródle tych ostatnich krótko, powołując się na hasło „Białoruska literatura" (**Krótka encyklopedia literacka**, tom I, Moskwa 1962). Czytamy w nim: „Białoruska literatura, szczególnie poezja, doświadczyła wpływów kultu osoby J. W. Stalina i panującej w pierwszych latach po wojnie **teorii bezkonfliktowości...**"

Pierwszy zbiorek poezji Kupały „Żalejka" (Fujarka) ukazał się w Petersburgu w 1908 roku, pierwszy zaś Kołasa „Pieśni żałby" (Pieśni skarg) w 1910 w Wilnie.

Janka Kupała zm. w Moskwie w 1942 r., Jakub Kołas zm. w Mińsku w 1956 roku.

Muzea, pomniki, rezerwaty w miejscach związanych z życiem poetów, wznowienia w różnych edycjach oraz opracowania krytyczne — oto co świadczy o miłości i szacunku Białorusinów dla swoich klasyków.

Pierwszy polski przekład z Kupały ukazał się w 1912 roku. Był to słynny wkrótce wiersz „A chto tam idzie" (A kto tam idzie) — śpiewany niekiedy jak hymn budzącego się narodu.

Po wojnie pierwszy zbiorek wierszy Kupały po polsku wydał Bogdan Żyranik, w ostatnich zaś latach najwięcej przyczynili się do popularyzacji poezji białoruskiej wszystkich okresów liczni poeci — tłumacze łódzcy.

Tak czy inaczej — białoruskie święto poezji jest i naszym świętem.

J. H.

Janka Kupała

Czarny bóg

Kołtuniasty i omszały
Aż do samych stóp,
Z bagien, z parowów zdziczałych
Wybiegł czarny bóg!

Z nim morowce i nocnice,
I różne roidła;
Gasi nowych gwiazd mgławice,
Niech się nie rozwidnia!

Pazurów rozcapierzonych
Raniące ościenie —
Chce gnać w różne świata strony,
Budząc przerażenie.

Z nim zaguba i ciemnica
Zgodnie się zmówiły,
By się w tajniach — tajemnicach
Dusze zatraciły.

Z kobuzami przez rozstaje
Wszystko w dzikim pędzie!...
Czarny bóg w płomieniach staje,
W ognistym odmęcie.

Rozpłomienia się i zwęgla
Czarnożmijny bóg —
Próżno po białego sięgał,
Znów go biały zmógł!

Przeł.: JAN HUSZCZA

Mój dom

Mój dom — przestrzeni gwiezdnych dale,
Obszar mierzony orła lotem,
Gdzie bitwy toczą wiatrów fale
Z kosmatych chmur podniebnym
splotem

Mój dom — to puszczy głębie mroczne,
Jesionów, sosen pnie omszałe,
Gdzie sen wieczysty w ciszy nocnej
Płoszy śmiech elfów i rusałek.

Mój dom — piaszczyste to rozłogi,
Mróz trzaskający, skwar bez cienia,
Lemiesz, co skiby tnie wzdłuż drogi
I pot, co w kwiaty się zamienia.

Mój dom — ziołami wiatr wymościł,
Gdzie na kurhanie drży osina,
Tam, gdzie pradziadów leżą kości
I płacze nocka we mgle sina.

Jakub Kołas

Głos ziemi

Słyszę wołanie niemilknące —
To mnie przyzywa ziemi głos
I rani serce. A na łące
Wydzwania je brzęczenie kos.

I puszczy jęk, i szum dąbrowy,
I rzeki szloch ginący gdzieś,
I niemy wzrok rozlewisk płowych
Przynosi o najeźdźcach wieść.

Widzę postaci tych wandali —
Obca mi litość, obcy żal,
Kamienne twarze w hełmów stali
I nienawistny wzrok jak stal.

Gdybyż mieć, ziemio, takie ręce.
By ciebie objąć z całych sił,
By ulżyć twej niedoli, męce
I krew ci oddać z własnych żył!

O, ziemio moja! Wciąż od nowa
Słyszę twój dzwon z krainy łez.
Przyjmij od syna chociaż słowa —
Niewoli twojej bliski kres.

Już szumią gniewnie twoje bory,
Pragnieniem zemsty puszcza drży.
Rozpędzi mrok wolności poryw —
Wszak bohaterów nie brak ci!

Przeł.: IGOR SIKIRYCKI

Na górze zamkowej

Fragment poematu „Nowa Ziemia"

(...) Na sam szczyt góry się wdrapali
Kumowie, lecz się zasapali
I nogi same ich wstrzymały,
Zwłaszcza, że widok tak wspaniały,
Gdzie spojrzysz, w dole się roztacza,
Iż się zamieniasz w podziwiacza!
Więc od stóp góry zakrętami
Niczym miedze między zbożami
Piękne drożyny wytyczono,
A przy nich drzewka posadzono.
Z drzewek uplotły się szałasy,
Znikąd nie dojdą tu hałasy.
Oświetla wszystko słońca jasność:
Ogromne miasto, czasem ciasno,
Zajmuje szczyty i doliny,
Gdzie stoją domy jak wiciny
To wzdłuż, to w poprzek lecz rzędami;
To otoczyły się sadami,
A gdzieś się zboczem osłoniły
Albo jak waćpan same tkwiły.
Jak dla pana na dużym placu
Zrobiono miejsce dla pałacu.
Budowle ściśle w rzędach stały,
Rzekłbyś, nawzajem się wspierały,
Gdyż może coś im zagrażało
I tak na wieki już zostało.
Pośród wysokich domów — grządek
Co miały jakby swój porządek,
Biegły zaułki w różne strony
Niczym wzór z tkanin przeniesiony.
W górze wysoko nad domami
To złotem kopuł to krzyżami
Świeciły cerkwie i kościoły:
Sięgając nieba wieżycami,
Igrały słońca rozbłyskami,
A dzwonów zewsząd dźwięk wesoły
Rozlegał się jak dziwne fale,
Aż wszystko pochłaniały dale.
Na lewo, gdzie gór strome stoki,
Jak żmijka w brzegach swych wysokich
Wilenka głazy wymijała,
Zwinna, parskała i szumiała,
Ażeby nagłym na zakręcie
Za górą znaleźć się wygięciem.
Od prawej w dół jak na skinienie
Drugie cię czeka zaskoczenie:
Stal sprężynową przypomina
Wilia kręta, Litwy dziecina...

Przeł.: JAN HUSZCZA

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Krytyk czasu kryzysu

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Twórczość Krzysztofa Nowickiego stanowi klasyczną triadę — w jednakim stopniu zajmuje go poezja, proza oraz krytyka.

Osobiście najbardziej lubię Nowickiego jako krytyka. Należy do tych nielicznych, którzy powściągliwą rzetelność sądu łączą z niedbałą elegancją stylu, którzy porzuciwszy wiarę w kreacyjne możliwości aktu krytycznego, nie starają się nawet uprawiać krytyki towarzyszącej, czyli w jakimś sensie usługowej, upowszechniającej wyobrażenia pisarza o świecie, dominującej przecież w naszym życiu literackim od dawna. Straciwszy nadzieję, by krytyk mógł rzeczywiście uczynić coś skutecznego dla literatury, wycofał się Nowicki z pierwszej linii frontu i okopał w „okopach św. Trojcy", czyli w szańcach swego dziennika krytycznego, ogłaszanego przeważnie na łamach bydgoskiego tygodnika „Fakty".

Można paradoksalnie powiedzieć, iż brak wiary w krytykę jest właśnie krytycznym wyznaniem wiary jednego z bardziej doświadczonych komentatorów naszej literatury. Nie znaczy to jednak, by Krzysztof Nowicki negował wszelką działalność krytyczną, dostrzega po prostu niemoc (a w ślad za tym i nieobecność) krytyki postulatywnej, systemowej, światopoglądowej, czyli krytyki z a s a d n i c z e j. O przyczynach prawie nie pisze, ale i tak są one znane. Pozostają w ścisłym związku z kryzysem całej współczesnej formacji humanistycznej, zajętej raczej drobiazgami i szczegółami, dezintegrującej. Kogo stać w tej sytuacji na s c a l a n i e literatury, skoro ciągle jawi się ona nam w rozproszeniu zwłaszcza teraz, gdy przecież w księgarniach jest tyle książek, a jakoby żadnej nie było? Zmiana tej sytuacji w niewielkim stopniu zależeć może od działalności krytyka literackiego, niech pisze i gada on ile tylko zechce, i tak pozostaje to głosem wołającym na puszczy. Salwują się krytycy ucieczką w p r y w a t n o ś ć, coraz bardziej cenią intymność obcowania z tekstem literackim. U Krzysztofa Nowickiego przejawia się to w formule „dziennika krytycznego", którego autor poprzez tekst utworu literackiego stara się ujawnić osobowość twórcy, czyli szuka przede wszystkim znaczeń pozaartystycznych, rzeczywistych wartości godnych upowszechnienia.

Autor „dziennika krytycznego" należy do krytyków dyskretnych: niewiele mówi wprost, raczej każe się domyślać, czytać między wierszami. I nie jest to bynajmniej rezultatem stosowania autocenzury. Wynika raczej z niewiary w możliwość sformułowania jednoznacznych, czy jedynie słusznych wniosków, z niechęci do proponowania jednokierunkowych rozwiązań. Chce on inspirować, przedłużać działanie utworu, o którym pisze, a nie zamykać go w mniej lub bardziej zgrabnej formułce. Postawie takiej sprzyja zresztą felietonowy charakter większości jego wypowiedzi, ulotny, luźny, ogólnie przystępny.

Mimo całej dyskrecji i subtelności rozważań wnioski muszą być jednoznaczne: żyjemy w czasie kryzysu, przy czym nie chodzi wcale o karierę tego słowa-klucza w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, ani o naszą złożoną sytuację społeczno-gospodarczą, chodzi o coś innego, mianowicie o kryzys literatury, znajdującej się bez przerwy w położeniu oblężonego miasta, skazanej na różnego rodzaju ograniczenia. Chodzi o kryzys literatury traktowany przez Nowickiego jako pars pro toto, jako znak rozpoznawczy zachwiania postaw moralnych, jako świadectwo postaw zafałszowanych (świadomie i nieświadomie), jako ciągle poszerzany rejestr klęsk i porażek w tęsknocie do stworzenia arcydzieła na miarę czasu. Przypominam ten przewrotny stereotyp, bo w jakiś sposób tłumaczy on porażki większości pisarzy. Zawierzenie stereotypowi, niemożność oderwania się od liczmanów i liczmaniątek — to jeden z grzechów głównych naszego pisarstwa, rozumianego zresztą szeroko, bo obejmującego również publicystykę. Kiedy za przesłanki w myśleniu bierzemy stereotypy, jakże wyglądać mogą wnioski? Jakże więc odejść od myślenia spetryfikowanego, w jaki sposób porzucić wygodne, przetarte koleiny? Nowicki odpowiedzi nie udziela. Chyba się nawet do jej udzielenia nie poczuwa. Widzi bowiem swą rolę w uświadamianiu sobie i innym pewnych sytuacji literackich, a nie w ich r o z w i ą z y w a n i u. Wymagałoby to bowiem aktywnego współuczestnictwa przemawiającej większości, położenia nareszcie kresu grze pozorów. „Byłoby dobrze" — powiada — „gdybyśmy umieli znaleźć tyle sił i środków, by uciec z tego piekielnego raju nieszczerości, uciec przed pozorami, czyli sztuką komplementów. Oczywiście jest to możliwe tylko wówczas, gdy traktować będziemy literaturę poważnie: nie tyle jako interes, ile jako sposób istnienia". Dodajmy: sposób istnienia całego narodu.

Czy w naszym powikłanym świecie krytyk może wybić się na absolutną samodzielność i niepodległość? Czy może porzucić grę słów, świadczenie usług, wymianę grzeczności, być nie tyle agentem autora, co jego mentorem? Chciałbym wierzyć, że może, a przynajmniej chciałbym uwierzyć, iż będzie próbował.

K. Nowicki, Dziennik krytyczny, Krajowa Agencja Wydawnicza, Gdańsk 1981, s. 320, nakład 7.500 + 250 egz., cena zł 45.

PROSTO Z KINA

Trzy możliwe wersje

Zaskoczenie. Ogromne zaskoczenie — to pierwsze uczucie, jakie ogarnęło mnie po obejrzeniu najnowszego filmu *Jerzego Kijowskiego* — „Głosy". Reżyser, okrzyknięty swego czasu sztandarowym twórcą „kina moralnego niepokoju", autor niezapomnianych, choć ponoć publicystycznie doraźnych, obrazów: „Indeks" i „Kung-fu", zrealizował film... fantastyczno-naukowy! A może jednak film: o poszukiwaniu wartości podstawowych, pierwszych, a może film: polemikę z przeciwnikami kina publicystycznego? Zanim zdecydujemy się na jedną z możliwych wersji, jak wytrawni detektywi, chcąc odkryć (własną) prawdę, nie lekceważmy żadnego z zasygnalizowanych tropów.

Science — fiction. Przypominacie sobie państwo „Indeks"? Bohater z zasadami drogo musi zapłacić za wierność samemu sobie, swoim ideałom. Józef Moneta *(Krzysztof Zaleski)* zdobywa się na gest niezgody i oddaje indeks po relegowaniu z uczelni jednego z kolegów (wypadki marcowe). Pozostaje całkowicie niezrozumiały przez swoje środowisko, które wyznaje tylko jedną prawdę: ludzie wartościowi powinni trwać na swych pozycjach, czytaj: stołkach, mimo wszystkich przeciwieństw i zaskoczeń historii, bo inaczej na ich miejsce przyjdą kanalie, które dla kariery zrobią największe świństwo.

A „Kung-fu"? Grupa rówieśnicza podejmuje walkę o powrót do działalności zawodowej jednego ze swoich. Przyjmuje przy tym reguły gry obowiązujące w środowisku: klikę można zwalczyć tworząc kontr-klikę.

Pobieżne omówienia wystarczają chyba na to, żeby twórcę takich obrazów uznać za demaskatora, twardo i bezpardonowo stąpającego po śliskim gruncie polskiej rzeczywistości lat 70. Tymczasem trzeci film Kijowskiego stanowi całkowite zaprzeczenie dwóch poprzednich. Chwila oddechu? Niewiara w publicystyczne możliwości kina? Próba sprawdzenia się w czymś zupełnie innym?

W każdym razie oglądamy rzecz bliską „Bliskim spotkaniom III stopnia" o, podjętej przez istniejące gdzieś we wszechświecie istoty rozumne, próbie nawiązania kontaktu z naszą cywilizacją. Młoda obiecująca chemiczka *(Ewa Dałkowska)* zaczyna nagle słyszeć głosy — tajemnicze, przeraźliwe, swą intensywnością sprawiające fizyczny ból. Na spotkanie z tajemnicą wyrusza nonkonformistyczny inżynier-elektronik *(Krzysztof Zaleski)*, który przy pomocy skomplikowanych urządzeń stara się uchwycić, a następnie określić pochodzenie i charakter głosów. Zadanie okazuje się niewykonalne, gdy bohaterce usunięta zostaje z zęba kwarcowa plomba, służąca za swoisty przekaźnik. Chociaż... niespodziewanie dla samego siebie głosy zaczyna słyszeć nasz niepokorny elektronik. Zamknięte wnętrza: dom, instytut, uczelnia, szpital, w których poruszają się bohaterowie, specyficznie filmowane, antropomorfizują się, wypełniając, swą zaborczą innością wobec przebywających w nich ludzi, całą przestrzeń — co nadaje filmowi posmaku grozy niewiadomego, przeczuwanego lecz trudnego do racjonalnego zinterpretowania.

Wersja następna — poszukiwanie... Zmierzające do odnalezienia, odkrycia poprzez niecodzienną przypadłość, humanistycznych wartości pierwszych, podstawowych — przyjaźni, miłości. W świecie komputerów, doktoratów, laboratoriów, cynicznych partnerów o proste i szczere uczucia najtrudniej. Poszukiwania zagubionej arki wywołują, o ironio!, dopiero tajemnicze głosy — tak, pochłonięci codziennością, nasi bohaterowie (także i my?) nie mieliby czasu na rozmowy z sobą samym, z drugim człowiekiem. Mijaliby się w tym zimnym, betonowym „tu i teraz", jak istoty z różnych galaktyk — dalekie i obce. Film zdaje się głosić, iż winniśmy zdać się na nasze uczucia — wtedy odkryjemy prawdziwie ludzki świat, stanowiący jedyną alternatywę dla świata układów, zaszczytów, pochwał, sukcesów i porażek.

I wreszcie — polemika. „Głosy" po tajemniczym kosmiczno-metafizycznym prologu, rozwijają się całkiem „normalnie" — tak jak większość filmów „kina moralnego niepokoju". Oto młodzi pracownicy nauki, patrzący trzeźwo na świat, krytyczni i niepogodzeni z rzeczywistością przeżywają ostre kryzysy uczuciowe — Jego opuszcza żona, Ja już dawno porzucił mąż. Stop! W tym miejscu wątki dotyczące intymnych spraw bohaterów powinny zejść na daleki, niewidoczny plan, ustępując miejsca bezkompromisowej analizie współczesności.

Kijowskiego, Falka, Kieślowskiego i Holland oskarżano o publicystyczną doraźność, wysuwając jako koronny zarzut: całkowite bagatelizowanie spraw uczuciowych! Kijowski podejmuje własną, żartobliwą, filmową polemikę z tymi sądami. Pokazuje, świadomie przejaskrawiając (głosy z zaświatów), przez co zbliża się wręcz do parodii, do czego może doprowadzić wysunięcie wątka uczuciowego na pierwszy plan. Otwiera furtkę prowadzącą na ścieżkę znaną i uczęszczaną, tak że stała się już promenadą — melodramat. Dzięki głosom — Ona odnajduje tego jedynego, ale Jego fascynują tylko tajemnicze dźwięki. Ona zrezygnowana oddaje rękę innemu. W tym czasie On odkrywa w sobie uczucie. Wzywa Ją do siebie. Ona nie bacząc na sytuację — moment ślubu z innym — idzie za głosem miłości i wraca do Niego. Odtąd będą już na zawsze razem. A że w domu wariatów i dlatego, że usłyszeli głosy — to tylko dodatkowe atrakcje wprowadzone do tradycyjnego tematu. Film, stanowiący swoiste ostrzeżenie, powstał w roku 1980, czy dziś jego głos jest równie słyszalny?

Zaprezentowałem państwu trzy możliwe interpretacje. Sądzę, że może być ich więcej. A zatem radzę wybrać się do kina i spróbować na swój sposób zrozumieć ten dziwny film.

PAWEŁ STRZELECKI ■

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Nie ma lekko czyli na co wydaję?

Wreszcie rozpoczynam pisanie na ten temat dość ostatnio powszechny. O wydatkach mówi się głośno nawet przed kamerami i mikrofonami telewizji, dlaczego więc i ja nie miałbym sobie pofolgować przedstawiając niektóre fragmenty własnego budżetu, szczególnie te, które są udziałem ludzi uprawiających moją profesję, a równocześnie są niezauważalne przez innych jako koszty własne wykonywania zawodu.

Tak się złożyło, że znów — jak i w poprzednich dziesięciu materiałach — właśnie autor tego artykułu wystąpić ma w roli głównej, ale cóż... Zarzutów, że kreuję się co tydzień do tej roli spotkałem pod swoim adresem już sporo, ba, określono mnie nawet mianem kabotyna. Nie zmienia to jednak faktu, że nikt tak dobrze nie zna moich problemów jak ja sam, a z kolei nie czuję się — choć są to w wielu wypadkach sprawy wspólne — na siłach z równą kompetencją opisywać zjawiska na przykładzie kogoś innego z estradowej branży. Nie mówiąc już o tym, że opisywanie innego autora poczytano by być może za nieprawdziwą plotkę, a on sam miałby prawo wytoczyć mi proces o zniesławienie lub po prostu bardzo prozaicznie obić mordę (choć od dłuższego czasu „chodzę w wadze ciężkiej"). Zatem dzisiaj, zwłaszcza, że temat jest dosyć śliski, odbędzie się samoobnażania ciąg dalszy.

Chcę zasygnalizować, że nie wszyscy z „branży" mieszkamy we własnych luksusowych willach z basenami, fontannami i ogrodami, po których od rana do wieczora spacerujemy z psem wąchając kwiatki. To też kursujące w społeczeństwie mity, tylko mity. Niektórzy z autorów i kompozytorów posiadający tzw. „kominy" czyli wysokie konta w ZAIKS zostali w swoim czasie właścicielami segmentów czyli willowych domków, ale jest takich ludzi stosunkowo niewielu. Na dobrą sprawę na pięciu członków ZAKR czterech mieszka w mieszkaniach nie odbiegających od powszechnego standartu, najczęściej w blokach. A milionerzy, ci z „kominami"? Dzisiaj o tak wysokich wpływach można jedynie pomarzyć, spadek tantiem jest bowiem w obecnej sytuacji znaczny.

Teraz pragnę się skupić na różnicach, jakie występują — z racji mej twórczej działalności — pomiędzy mną a innymi typowymi użytkownikami lokali mieszkalnych. Będzie to — jak sądzę — porównanie pod hasłem „ja więcej" Stosunkowo nieduża jest różnica w opłacie za energię elektryczną, chociaż dość często mam okazję pracować w nocy. Ale już telefon zaliczyć należy do narzędzi pracy w moim (a właściwie — w naszym, bo piszę to w imieniu dość licznej grupy piosenkotwórców) fachu niezbędnych. Stąd też dziwiło mnie niejednokrotnie, gdy ktoś (ja osobiście takich kłopotów na szczęście nie miałem) z piszących kolegów otrzymywał odmowę na swoje podanie w sprawie założenia telefonu, a później numer z centrali dostawał ktoś inny, kto bez telefonu swobodnie mógłby się obejść. Dzisiaj nie wyobrażam sobie pracy bez tego jakże pomocnego urządzenia, z którego korzystam obustronnie.

Pisałem już kilka tygodni temu jak to „rybką" tekstu była do mnie dyktowana z Warszawy, a gotowy tekst przekazywany tą samą drogą z powrotem. Tego rodzaju przypadki są nagminne. Zresztą często przez telefon przegrywana jest melodia, do której ma powstać tekst. Przy użyciu telefonu dyskutuje się o wszelkiego rodzaju zmianach w utworze, załatwia sprawy nagrania piosenki, utrzymuje kontakt z kompozytorami, autorami, aranżerami, wykonawcami, reżyserami... Słowem: bez telefonu, jak bez ręki. A rachunki wystawiane przez komputer rosną. Do dziś pamiętam — a dzwoniłem wówczas do Warszawy z publicznej rozmównicy na łódzkiej poczcie — jak zabolała mnie kieszeń po zakończeniu blisko dwugodzinnej rozmowy z Krzysztofem Krawczykiem, gdy przyszło do płacenia. O czym tak długo rozmawialiśmy? Właściwie tylko ja mówiłem, a Krzysiek notował. W przygotowaniu znajdowała się płyta długogrająca Krawczyka zawierająca utwory do słów Sergiusza Jesienina, a ja częściowo dokonywałem wyboru wierszy. I oto zaistniała potrzeba przedyktowania do Warszawy trzech utworów celem ich natychmiastowego przepisania i złożenia w „Polskich Nagraniach". Wszystko z pewnością trwałoby krócej, gdyby nie fakt, że trzeba było je przekazać i zapisać w wersji... oryginalnej, a to była raczej robota dla absolwenta filologii rosyjskiej.

Jedna rzecz wyjaśniła się: wydaję na telefon. Sporo — choć brzmi tutaj pozorna śmieszność — pochłania również utrzymanie własnego prywatnego biura, które jest wątpliwym przywilejem wolnego zawodu. Jednakże bez tego trudno sobie wyobrazić prawdziwie profesjonalne działanie twórcy zwłaszcza jeśli w sprawach „papierkowych" ma on pedantyczne nawyki. Zresztą w tej puli wydatków mieści się — jakby w przedłużeniu sprawy telefonu — korespondencja. I bez takiej możliwości komunikowania się i przesyłania materiałów współczesny, działający na skalę krajową autor czy kompozytor nie mógłby sobie dać rady. A dodać muszę, że konieczne jest także stworzenie i wyposażenie swego stanowiska pracy w domu. Albowiem i nasz zawód wymaga posiadania pracowni, w której powinny się znajdować: instrument muzyczny (najczęściej jest to pianino), maszyna do pisania (a propos: może ktoś wie gdzie można nabyć papier maszynowy?), magnetofon kasetowy, magnetofon szpulowy, gramofon, aparatura odsłuchowa itp. Proszę mnie dobrze zrozumieć: mówię o tym, co powinno się tam znaleźć, a jest to — na pewnym etapie — minimum wyposażenia konieczne do kontynuowania wydajnej pracy na określonym poziomie artystycznym, którego nie trzeba się wstydzić. A to wszystko, to dopiero pierwszy krok w kierunku idealnej pracowni, o której na dobrą sprawę w dzisiejszych czasach nie ma nawet co marzyć.

Jak widać wydatków zawodowych sensu stricto jest sporo, a byłoby — gdyby nie bariera finansowych możliwości — jeszcze więcej. Teraz kolejna niebagatelna sprawa: samochód. W środowisku jest dosyć popularny nie tylko ze względu na wygodę, czy dla zachowania „szpanu". Przede wszystkim funkcjonuje jako jeszcze jedno narzędzie pracy, narzędzie szczególnie potrzebne. Nie będzie w tym nic przesady, gdy powiem, że dla wielu ludzi z branży estradowej ich prywatny samochód osobowy jest drugim domem, za kierownicą spędzają po kilka godzin dziennie. Na potwierdzenie przytoczę fakt, że — na przykład — niektórzy zaprzyjaźnieni reżyserzy telewizyjni i estradowi mają w swych wozach zainstalowane dyktafony pozwalające na automatyczny zapis pomysłów czy uwag nasuwających się im w czasie jazdy samochodem. Większość znajomych posiada również w kabinie założone na stałe magnetofony kasetowe (mojego małego „Philipsa" niestety ktoś wymontował mi bez mojej wiedzy, włamując się do samochodu na parkingu strzeżonym przed moim blokiem) i to nie tylko dlatego by sympatyczną muzyczką uprzyjemniać sobie czas podróży. Oni także w czasie jazdy pracują: wokalista „puszczając" sobie podkład instrumentalny rozśpiewuje się, aranżer słuchając prymki stara się usłyszeć brzmienie całej orkiestry, autor szuka punktu zaczepienia dla nowego, rodzącego się tekstu do gotowej melodii.

Przyznam się, że i mnie zdarzyło się napisać kilka tekstów w ten właśnie sposób (należy do nich choćby piosenka „Podaj mi swój adres" z repertuaru grupy „Tragap" czy też wchodzące właśnie na radiową antenę „Uśmiechnij się jeszcze raz" w wykonaniu Iwony Niedzielskiej i zespołu „Arianie"). Poza tym własny samochód pozwala na swobodne poruszanie się po kraju, na utrzymywanie stałego kontaktu nie tylko ze współpracownikami, ale także z wieloma instytucjami i organizacjami, z którymi siłą rzeczy autor czy kompozytor współdziałać musi. Prywatny pojazd mechaniczny w funkcji wehikułu służbowego daje możliwość rozszerzenia aktywności twórcy przy jednoczesnym zaoszczędzeniu przez niego czasu.

W świetle tego co napisałem wyżej łatwo będzie sobie wyobrazić w jakiej sytuacji znaleźli się wraz z wprowadzeniem ścisłej reglamentacji paliwa ci z autorów i kompozytorów, którzy są nigdzie nie zatrudnionymi na etacie „wolnymi strzelcami" (bynajmniej nie Webera). Są oni członkami związku twórczego ZAKR, a poza tym nikt za nimi nie stoi. Przez pół roku każde ubieganie się z ich strony o dodatkowy przydział paliwa było precedensem; to nic, że autor jest rzemieślnikiem słowa — w Urzędzie Miasta traktowano nas jedynie jako osoby prywatne usiłujące coś tam wyłudzić. Trudno było komukolwiek wytłumaczyć, że od tego czy pojadę tam, czy nie, zależą moje dochody. Na marginesie dodam, że w ciągu czterech pierwszych miesięcy bieżącego roku, a więc wtedy, gdy nie jeździłem, bo nie miałem praktycznie czym, moje dochody wyniosły słownie: jeden tysiąc siedemdziesiąt osiem złotych. Do sprawdzenia. Dla porównania powiem, że w okresie przed reglamentacją w sprawach zawodowych robiłem miesięcznie w granicach trzech tysięcy kilometrów samochodem. Jego utrzymanie kosztowało sporo — to fakt, ale przecież jednak zarabiał na siebie, co mogą potwierdzić panie z Wydziału Finansowego naliczające mi podatek wyrównawczy.

Obecnie po raz któryś z rzędu — przy zmienionych zasadach reglamentacji — ubiegam się o uzyskanie zezwolenia na dodatkowe comiesięczne tankowanie paliwa w ilościach pozwalających utrzymać choć w części dotychczasowy rozmach w mojej pracy. Jest to jeden z nielicznych wypadków, kiedy chcę więcej wydawać. Czy zrozumieją to należycie w Urzędzie Miasta Łodzi? Zobaczymy, a ja do sprawy powrócę być może w przyszłości, gdy będziemy rozważać inne sprawy związane z funkcjonowaniem piosenki w dzisiejszych czasach. ■

OD REDAKCJI: Wyliczając swoje życiowe potrzeby Autor zapomniał — jak nam się zdaje — o babciach, niezbędnych do stania w kolejkach... *Foto: Mirosław Zajdler*

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Ty mnie wykołyszesz a ja ciebie będę opluwał...

120 dusz miejscowego środowiska plastycznego dorobiło się w ciągu ostatnich pięciu lat kilkunastu pracowni. Chyba nieźle. Pani Stanisława Strachanowska kierująca zakopiańską kulturą od dziewięciu lat uważa jednak, że to mało. W ogóle do zadowolenia jej daleko, chociaż z plastyką i tak zawsze było najlepiej.

Starsze — społecznikowskie — pokolenie, wysiłkiem którego jest w znacznej mierze stan dzisiejszy: salon BWA (około piętnastu wystaw rocznie), kwietniowy (obecnie co dwa lata) przegląd filmów o sztuce, Tatrzańska Jesień ze zwiedzaniem pracowni mieszkających w Zakopanem plastyków — rokrocznie przyjeżdża wielu stałych bywalców, którzy odwiedzają tych samych artystów; więc to starsze pokolenie się wykrusza. Młodzi zaś są jakby trochę bardziej merkantylnie nastawieni. W sumie byłby to drobiazg, gdyby nie ogólnie kiepska sytuacja w plastycznym światku.

Na wystawie okręgowej początkowo miało wystawiać osiemdziesięciu artystów, ostało się dwudziestu. W książce wpisów pozostał po niej jedynie tytuł, chociaż każda inna prezentacja owocuje licznymi uwagami. Niektórzy wybitni twórcy zamykają się w zaciszach pracowni, zdobytych nie bez pomocy państwowego mecenasa, inni — może mniej wybitni, a może tylko mniej przez społeczeństwo uznani — swoje wysiłki ograniczają do starań o państwowe — ironio — do bogatych krajów stypendia. Wychodzi na to, że mecenas — mówi się: państwo, ale to przecież w gruncie rzeczy my, społeczeństwo i nasze pieniądze — ma pieścić i hołubić nic w zamian nie dostając.

Ale pozostawmy tę gorycz. W końcu są i tacy artyści, którzy cenią bardziej fakt, że ich sztuka istnieje w obiegu, w świadomości społecznej, niżby miała czekać na jakieś „lepsze" czasy pod kluczem.

Nawiasem — polecam tym, którzy jeszcze przed końcem września zawitają pod Tatry, wystawę prac Władysława Hasiora.

Zaś co do innych spraw ze sztuką zakopiańską związanych. Promieniejące niegdyś sławą Liceum Plastyczne im. A. Kenara, tak bardzo zasłużone w umacnianiu i rozwijaniu artystycznych tradycji Podhala od dobrych kilku lat jest w „dołku". Na trzydzieści miejsc do egzaminu wstępnego przystąpiło w tym roku tylko dwudziestu chętnych, we wrześniu planuje się drugi nabór. Wprawdzie zmieniła się dyrekcja, jest nadzieja, że szkoła znowu przyciąganie wybitnych plastyków — pedagogów, już tegoroczna wystawa prac uczniów świadczyła dowodnie, że w liceum coś wreszcie drgnęło, ale do dawnej świetności naprawdę jeszcze daleko. Nadzieje — a podzielam je z szefową wydziału kultury — że proces ten nabierze tempa, budzi utworzenie w zakopiańskiej budowlance klas — szumnie to się nazywa technikum — budownictwa regionalnego i konserwacji zabytków. Wyrasta więc pod bokiem „konarówki" konkurencja, co zwykle działa ożywczo na wiedzących monopolistów. Budownictwu miejscowemu pilnie potrzebni są ludzie rozumiejący tutejsze tradycje, bo nie jedynym tych tradycji wspomnieniem pozostają spadziste dachy domów.

Kilkupiętrowe kamienice rosną jak grzyby po deszczu, w ścisku i chaosie przestrzennym, przy niedostatkach kanalizacyjnych. Nie przybywa przy tym mieszkań dla samych zakopiańczyków, z których wielu właśnie z powodu braku dachu nad głową musi opuścić rodzinne strony.

Przepraszam, ale mimo chęci nie mogę wyzbyć się goryczy. 40 tys. podtatrzańskich obywateli ma na głowie miliony przyjezdnych. Miasto tego nie wytrzymuje, pęka w szwach i niknie w spalinach. W tatrzańskich schroniskach, tych do których dostęp nie wymaga zbyt wiele czasu ani wysiłku, turystów traktuje się jak natrętów zrażając ich nie tylko jakością obsługi, ale i nie wiadomo z jakiej kalkulacji wziętymi cenami. Wprawdzie z plastyką ma to bezpośrednio niewiele wspólnego, jednak trzyma się w nurcie ogólnego obniżenia kulturalnych lotów.

Z przyjezdnych zdziera się na Podtatrzu zawsze. Szkoda jednak, że do dziś nie udało się napływu gotówki wykorzystać z pożytkiem dla regionu. Poza Zakopanem istnieją jeszcze peryferie tej państwowej gminy. Zakątki zapomniane przez PKS i handel, ciągle dla miejscowych władz mniej ważne, niż samo miasto. Powinnam się właściwie z tego cieszyć. Mam dzięki temu miejsce na tanie — jak na dzisiejsze czasy — urlopy, gdzie nie przeszkadzają mi spaliny i tłumy szlifierzy kurortowych bruków. Ale trudno jednocześnie pogodzić się z tym, że mieszkający w owych zakątkach ludzie pozbawieni są niemal wszystkiego co ma mieszkaniec Zakopanego czy urlopowicz, chociaż nikt tak na dobre nie wykazał, iż jest im to niepotrzebne. Tam nadal jedyną kulturalną imprezą jest odpust w miejscowej parafii.

Z czasem i tu zaczną dojeżdżać autobusy, do sklepów dotrze każda dostawa, nie zaś co druga, kamienice ze spadzistymi dachami porosną tak gęsto jak przy drodze z Poronina do Zakopanego i pogotowie przyjedzie bez szemrania na każde wezwanie. Wtedy jednak nikt już nie będzie pamiętał, że góralskie chaty wywodzą się z dworków szlacheckich i pasterskich szałasów, zdarte też będą ostatnie we wsi cyfrowane portki.

Wciąż mam wątpliwości czy kryzys gospodarczy zwalnia nas z obowiązku chronienia i rozwijania kulturowej tożsamości jakiegokolwiek regionu. Na Podhalu przebiegają te procesy ostro i drastycznie. Przyglądam się temu od wielu lat i sądzę, że nie potrafimy godziwie zapełnić przestrzeni pomiędzy skansenem i muzeum, a artystycznym „high lifem". Wydaje mi się również, że w tym akurat wypadku wyjątkowo niekorzystne okazały się skutki zerwania wieloletnich administracyjnych powiązań Zakopanego z Krakowem. Nowy Sącz, prężny niegdyś powiatowy ośrodek, nie udźwignął ciężaru województwa. Nie udźwignął przede wszystkim podtatrzańskiej odrębności, gdzie na niewielkiej przestrzeni trzeba pogodzić zupełnie różne interesy i potrzeby wybitnych nieraz przedstawicieli świata nauki i kultury jak i również — w swojej dziedzinie — wybitnych hodowców owiec, nie wspominając już o bywalcach sezonowych.

Nie wiem, czy gdyby Zakopane pozostało w krakowskim macierzu rozwój gminy budziłby mniej zastrzeżeń. Podejrzewam jednak, że niektóre zjawiska, jak choćby te rejestrowane obecnie w środowisku plastycznym Podhala mogłyby mieć łagodniejszy przebieg.

To nie akceptacja, ani rozgrzeszenie istniejącego stanu rzeczy. Nic bowiem nie zmieni faktu, że do budżetu państwa trafiają pieniądze wypracowane przez całe społeczeństwo i — lepiej lub gorzej — dzielone, wspierają twórców w ich działalności również tych którzy dziś zamykają się w swoich pracowniach. Cisną się w takim momencie pytania o tytuł do zamkniętych drzwi jak i o racje wspierania. Ale tych pytań nie chciałabym już zadawać.

Pozwolę sobie jedynie na koniec pomarzyć, że przyjadę któregoś roku na Podhale i będę mogła w Zakopanem kupić to, co dziś jest dostępne jedynie w Paryżu czy Londynie, a co wychodzi spod rzeźbiarskich rąk chałupników skupionych wokół Zakopiańskich Zakładów Wzorcowych. Tylko, że realizacji tych marzeń nie sprzyjają zamknięte drzwi pracowni.

K. NAMYSŁOWSKA ■

W kręgu fantastyki

STRESZCZENIE PIERWSZEJ CZĘŚCI: Młody nauczyciel, Grzegorz Zawada, spotyka „pomarańczowego ludzika" imieniem Tarak, który w kilku językach — w tym również kiepską polszczyzną — prosi o ułatwienie kontaktu z przedstawicielami ziemskiej cywilizacji. Grzegorz zabiera Taraka do mieszkania, gdzie wraz ze swoją żoną Joanną podejmują go z całą gościnnością, między innymi jarzębiakiem. Dzwoni też gdzie się da, wszyscy traktują jednak jego telefony jako pijacki wybryk.

Gdy rano skacowany Grzegorz budzi się, Taraka już nie ma. Jego latający pojazd też zniknął.

2

ZEPSUTY TELEFON

W klasie było cicho. Chudy Jurek Magdoń patrzył w sufit, jakby się spodziewał, że tam znajdzie odpowiedź na klasówkowe pytania. Ewa Jaworówna śpieszyła się, aby odpowiedzieć przed Kasią Michalską. Obie były prymuskami, ale każda chciała być lepsza od koleżanki. Już miałem Jurkowi Magdoniowi poradzić, żeby odpowiedzi szukał nie na suficie, a w głowie, kiedy cicho otworzyły się drzwi i wszedł dyrektor.

— Siedźcie, siedźcie — powiedział do klasy, która poderwała się na jego powitanie. — Nie przeszkadzajcie sobie. Robi pan klasówkę? — zwrócił się do mnie.

— Tak, właśnie...

— A w kancelarii jest do pana jakiś bardzo pilny telefon. Musi pan iść.

— Ale, panie dyrektorze...

— Niech pan szybko idzie, ja tu chwilę zostanę.

Pobiegłem.

Panna Krysia, nasza szkolna sekretarka, pokazała oczyma odłożoną słuchawkę.

— Do pana — dodała ustami pełnymi jedzenia, bo właśnie jadła kolejne śniadanie.

— Słucham. Zawada.

— Jest pan wreszcie — rozległ się męski, zupełnie mi nie znany głos.

— Jestem, a z kim mówię?

— Z monterami — powiedział ten sam głos, choć był to głos jednego tylko człowieka. — Co się tam dzieje, u licha, z pana telefonem? — zapytał ten głos ze zniecierpliwieniem.

— Z moim telefonem? A co się ma dziać?

— Z pana, z pana.

— Jest zepsuty. Przecież zgłosiłem. Dziesięć dni temu.

— No i dobra — powiedział głos w słuchawce. — My właśnie usiłujemy go zreperować, ale tam się stale ktoś odzywa.

— U mnie?

— U pana. Gdzież by? Przecież mówię wyraźnie, no, nie?

— Niby tak, ale to niemożliwe, tam nikogo nie ma w domu. Ja jestem w pracy i żona też.

— To my wiemy. Ale tam ktoś bez przerwy chrypi o jakimś kontakcie.

— O czym?

— Przecież mówię, no nie? O kontakcie Magnetofon pan podłączył, czy co?

— Nic nie podłączyłem. Ja się na tym zupełnie nie znam.

— Już my takich widzieli, co się nie znają, a cuda robili.

— Ależ, proszę pana!

— Dobra, dobra! My musim wejść do pana. Kiedy będzie pan w domu?

Zastanowiłem się chwilę. Teraz będzie przerwa, mam jeszcze jedną lekcję...

— Za półtorej godziny. Odpowiada panom?

— Bezwzględnie. Czekaj pan nas. Przyjdziemy.

— Będę czekał. Do widzenia panom.

Pobiegłem do klasy. Zbliżał się koniec lekcji. Zebrałem zeszyty i rozległ się dzwonek. Wtedy coś mnie tknęło.

Poszedłem do dyrektora.

— Panie dyrektorze monterzy reperują mój telefon. Coś im nie gra. muszę być w domu.

— Ale ma pan jeszcze jedną godzinę — powiedział dyrektor, patrząc na rozkład zajęć.

— Tak. Może jednak zastąpiłaby mnie koleżanka Brykas, ja ją zastępowałem w ubiegłym tygodniu.

— Proszę to załatwić z nią. Trudno. Ale ja takich zastępstw nie pochwalam.

Koleżanka Brykas nie była zachwycona. Obiecałem jej jedno zastępstwo bez wzajemności, żeby się tylko zgodziła. Westchnęła ciężko i powiedziała:

— Niech już będzie.

Po schodach wbiegłem na górę, ale przed drzwiami mieszkania zatrzymałem się, aby się wysapać. Cichutko otworzyłem drzwi, cichutko wszedłem do przedpokoju. Nic. Bez zmian. Powolutku otworzyłem drzwi do pokoju. No, tak. Na tapczanie spał, przykryty kocem, pomarańczowy ludzik. Oczywiście, Tarak.

— Hej! — krzyknąłem.

Pomarańczowy poruszył się, otworzył oczy, spojrzał na mnie i skrzywił się.

— Dzieeendobry!

— Dzień dobry. Skąd tu się wziąłeś?

Pomarańczowy pokazał pomarańczowym palcem na sufit. Podniosłem oczy w tym kierunku, ale sufit był cały.

— Aha! — domyśliłem się i szybko wybiegłem na korytarz. Wspiąłem się na dach. Stał tam pojazd kosmiczny, podobny do poprzedniego, tylko znacznie, dużo mniejszy. Wróciłem do mieszkania.

Nasz „przyjaciel" siedział na tapczanie. Miał na sobie bluzę typu półwojskowego, jakby rodem z „Próchnika", spodnie granatowe, nie wiem czy nie z „Odry", trampki. Ale trampki były chyba z „Pewexu", takie bardziej wymyślne. W każdym razie nie nasze.

— Wróciłeś, Tarak — powiedziałem z rezygnacją w głosie i usiadłem na krześle.

— Tarak nie, ja Oak — powiedział pomarańczowy i wykrzywił się.

Przyjrzałem mu się uważniej. Rzeczywiście był jakby inny. Ale do tej pory widziałem tylko jednego pomarańczowego ludzika i wszyscy inni byli z natury rzeczy do niego podobni. Po bliższych oględzinach okazało się, że pomarańczowy jest jakby ciemniejszy, spojrzenie miał mniej ogniste. Wyjął zresztą z kieszeni ciemne okulary i włożył je na nos. Okulary były zbyt duże i wyglądał w nich jak małpa przedrzeźniająca człowieka.

— Gdzie jest Tarak?

— Uczy.

— Uczy się, czy uczy innych?

— Uczy tam — Oak pokazał sufit.

W gruncie rzeczy było mi wszystko jedno, co robi Tarak. Dla mnie zaczynały się nowe kłopoty.

— Cholera! — wyrwało mi się.

— Masz baba placzek — uzupełnił Oak i szybko dodał — Chorera to choroba, epidemia, przecinowyc, wynalazł Rober Koch w jeden osem osem try. Tu ne ma. U nas ne było.

— Skąd to wiesz?

— Tarak uczy.

— Czego chcesz?

— Kontakt.

U drzwi rozległ się dzwonek.

— Oak, szybko uciekaj do łazienki!

— Co to azenki?

— No tam — i wepchnąłem go do łazienki. — Siedź cicho — szepnąłem.

Zamknąłem drzwi od łazienki. Otworzyłem drzwi wejściowe. Ale to nie byli monterzy. To była Joanna.

— Mamy gościa.

— Kogo? — zapytała szeptem Joanna.

— Zobacz sama — i otworzyłem drzwi do łazienki.

— Tarak! — ucieszyła się Joanna.

— Tarak nie, ja Oak — poważnie powiedział Oak i wykrzywił się.

— To nie jest Tarak? — zapytała Joanna.

— Przecież ci mówi, że nazywa się Oak.

— Ale wykapany Tarak. Jaki podobny!

— Oni wszyscy są podobni.

— Do Taraka?

— Nie, do siebie.

— Skąd wiesz?

— W ogóle nic nie wiem. Jak do tej pory, na szczęście zresztą, znam ich dwóch. Inni może są inni.

— A gdzie jest Tarak?

— U nich. Uczy ich.

— Czego?

— Cholera ich wie!

— Chorera to choroba — zaczął Oak, ale mu przerwałem:

— Dobra dobra! Co my z nim zrobimy? — zwróciłem się do Joanny. Zaraz przyjdą monterzy od telefonów.

— Nie stójmy tak w przedpokoju — powiedziała zupełnie słusznie. — Chodźmy do pokoju.

Weszliśmy. Oak usiadł na tapczanie i zaczął majdać nogami.

— Jakie ma ładne trampki — powiedziała Joanna.

— Ładne, ale co my z nim zrobimy?

— A czego on chce?

— Kontaktu.

— Kontakt, kontakt — zawtórował mi Oak.

Znów rozległ się dzwonek.

— Do azenki! — wykrzyknął Oak i sam pobiegł.

Poszedłem otworzyć drzwi. Przed drzwiami stało dwóch dryblasów obwieszonych drutami, torbami i aparatami telefonicznymi.

— Pan Zawada? — zapytał starszy.

— Tak.

— I co?

— Nic.

— Nikogo nie było.

— Mówiłem, że tu nikogo nie może być.

— A gadało. Prawda, Janek, że gadało?

— Prawda — potwierdził młodszy. — Gadało.

— No, widzi pan.

— Nic nie widzę, bo i nic nie mogłem widzieć.

— Zaraz się zobaczy — powiedział starszy i obaj weszli do pokoju.

Dość długo grzebali w aparacie, kogoś wywoływali, coś łączyli, ale widać im nic nie wyszło, bo starszy powiedział:

— To musi być na linii.

— Ale gadało — przypomniał młodszy.

— Gadało, ale już nie gada. Co tu miało gadać? — rozejrzał się po pokoju.

Młodszy też popatrzył, a potem, nic nie mówiąc, poszedł do łazienki. Nawet nie zdążyłem zaprotestować. Spojrzałem tylko bezradnie na Joannę, a ona patrzyła na starszego montera, który pakował manele.

— I co? — zapytała.

— Nic nie będzie — powiedział starszy monter. — Musim jeszcze sprawdzić na linii.

— Więc nie będziemy mogli dzwonić? — jakby się ucieszyła Joanna.

— A, nie.

— To, kiedy będziemy mieli czynny telefon?

— To się zobaczy.

Młodszy wyszedł z łazienki.

— Ale ten pański chłopak cały pomazał się dżemem pomarańczowym.

Zatkało mnie.

— Taak. Trzeba go będzie wykąpać.

— To może on gadał? — z nadzieją w głosie zapytał starszy monter.

— Niemożliwe — powiedziałem zdecydowanie. — Przyszedł razem ze mną.

— I go pan nie upilnował?

— Ano, nie.

— Daj mu pan w dupę, to się mu dżemu odechce na resztę życia. A gdzie pan dostał dżem pomarańczowy? Moja stara bardzo lubi taki dżem.

— W „Delikatesach" na Placu był — powiedziała Joanna.

— Janek, zwijamy majdan i skaczem na Plac, może dostaniem.

— A nasz telefon? — zapytałem.

— Musimy jeszcze sprawdzić na linii. Do końca tygodnia będziesz pan miał.

I poszli.

Usiedliśmy i popatrzyliśmy na siebie.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Joanna.

— Nie wiem.

Z łazienki wyszedł Oak.

— Kontakt — powiedział.

— Tak, tak, kontakt.

— A jak to załatwisz? — zapytała Joanna.

— Nie wiem.

— Ty tylko nic nie wiesz. Wymyśl coś.

— Co?

— Teraz, to ja nie wiem.

— Telefon mamy przecież zepsuty, gdzie zadzwonię?

Oak patrzył na nas przez cały czas.

— Kontakt — powtórzył.

— Ten ciągle swoje.

— Po to tu przyleciał — powiedziała Joanna. — Nie ma rady. Musisz coś zrobić!

Machinalnie spojrzałem na zegarek.

— O, cholera! — wykrzyknąłem.

— Masz baba placzek! — powiedział Oak.

— Mam zaraz kółko zainteresowań, muszę iść.

— Ja też muszę wyjść — powiedziała Joanna.

Oboje spojrzeliśmy na Oaka. Siedział sobie spokojnie na tapczanie i majdał nogami.

— Oak — powiedziałem — my musimy wyjść z domu. Ty tu zostaniesz sam. Siedź cicho, nic nie ruszaj i czekaj.

Oak patrzył na mnie gorejącymi oczyma. Jego pomarańczowa twarz ani drgnęła.

— Zrozumiał? — zapytała Joanna.

— Chyba tak.

Uczniowie już czekali. Poszliśmy do pracowni.

— Co będziemy robili? — zapytał Władek Łuszczykiewicz.

— Co? — nie dosłyszałem w pierwszej chwili. — Aa, pytasz, czym będziemy się dziś zajmowali?

— Tak.

— Wiecie, mam dla was propozycję nie do odrzucenia. Weźcie sobie piłkę i idźcie pograć na boisku. Ja tu trochę uporządkuję różne rzeczy i przygotuję plan na inne zajęcia.

Chłopcy ucieszyli się, a ja chciałem być sam, żeby zastanowić się, co zrobić z Oakiem, który siedzi w domu i czeka na kontakt. Ze mną mu, cholera, kontakt nie wystarcza, musi jeszcze mieć z władzami, żeby było oficjalnie. Czego on od nas chce?

Nie wiem jak długo rozmyślałem. Z boiska dochodził mnie radosny gwar chłopców grających w piłkę. Gwar cichł lub nasilał się. Nie zwracałem na to uwagi, pochłonięty własnymi myślami. Snułem plany, jak polecę z Oakiem jego pojazdem do stolicy i zaprowadzę go do PAN, niech się uczeni dalej martwią. Wylądujemy na Placu Defilad, przed Pałacem Kultury i Nauki, ale będzie sensacja. Telewizja, kronika filmowa, zagraniczni korespondenci, wywiady w prasie. Polak pierwszy nawiązał...

Ktoś wszedł do pracowni. Podniosłem głowę. Przy drzwiach stał Staś Maćkow.

— Nie grasz w piłkę?

— Oni już nie grają, proszę pana.

— A ty z nimi nie grałeś?

— Oni mnie nigdy nie biorą.

— Dlaczego?

— Bo mówią, że ja konus i że się tylko pod nogami niepotrzebnie plączę. A Sybis ze Śląska też mały, a jak gra. Piłkarz wcale nie musi być duży. Tylko musi umieć dobrze grać. Prawda, proszę pana?

— Pewnie, że prawda. A oni dlaczego nie grają?

— Bo tam jest mały Indianin.

— Kto?!!!

— Mały Indianin, proszę pana.

— Skąd on się wziął?

Nie czekałem jednak na odpowiedź. Szybko wybiegłem z pracowni. Już przez okno mogłem dostrzec w kącie szkolnego boiska grupę moich chłopców. Stali zbici w zwartym kole. Co było w kole, mogłem się tylko domyślać. „Mały Indianin". Już ja mu dam.

Nie zdążyłem. Na boisko weszliśmy jednocześnie z dyrektorem.

— Co tam się dzieje? — zapytał. — Dlaczego pan nie prowadzi zajęć? Teraz ma pan kółko zainteresowań. Chłopcy powinni być w pracowni. Całą godzinę hałasowali.

Nie odpowiedziałem. Podbiegłem do grupy, aby wyprzedzić dyrektora. Ale on mi nie ustępował. Tuż za sobą słyszałem jego sapanie.

— Co tu się dzieje? — zawołałem.

Odwrócili się wszyscy do mnie. Gęby mieli roześmiane. W środku koła stał oczywiście Oak.

— Prze pana, my tu mamy małego Indianina. On po polsku umie, ale tak śmiesznie — pochwalił się Jurek Zimniak.

— Skąd on tu się wziął?

— Mówi, że chce z nami nawiązać kontakt.

Obejrzałem się na dyrektora. Patrzył na Oaka zupełnie nic nie rozumiejąc.

— Kto to jest? — wydusił wreszcie z siebie.

— Słyszy pan przecież. Młody Indianin.

— Skąd on tu się wziął?

— Skąd tu się wziąłeś, chłopczyku? — zapytałem Oaka.

— Do azenki! — powiedział Oak i wykrzywił się.

— Co on mówi? — zapytał dyrektor.

— Nie rozumiem — skłamałem.

— Gdzie są twoi rodzice? — zapytał dyrektor Oaka, nachylając się nad nim troskliwie.

— Ne rozumem — powiedział Oak.

— Trzeba go wziąć do szkoły — zadecydował dyrektor. — Zawiadomimy milicję, niech szukają jego opiekunów.

— Jak ty się nazywasz? — zapytał Oaka.

— On nam mówił, że nazywa się tak śmiesznie Oak — odpowiedział za Oaka Krzyś Wilczek.

— Oaku, chodź z nami! — rozkazał dyrektor.

Oak wykrzywił swą pomarańczową twarz i spojrzał na mnie jakby porozumiewawczo.

Poszliśmy. Dyrektor kroczył pierwszy, Oak za nim, Ja na końcu. Za nami szli zbitą gromadką chłopcy. Weszliśmy do szkoły. Odwróciłem się i powiedziałem do chłopców.

— Poczekajcie tutaj.

Dyrektor nie odwrócił się. Nie zaprzeczył. Nie pochwalił. Dumnie kroczył w stronę kancelarii. Oak za nim.

Przed drzwiami swego gabinetu dyrektor odwrócił się i powiedział:

— Niech go pan wprowadzi do pokoju nauczycielskiego i przyjdzie do mnie.

Kiwnąłem na Oaka. Poszedł za mną posłusznie.

— Do azenki — szepnął, gdy byliśmy sami.

Nie odezwałem się. Weszliśmy do pokoju nauczycielskiego.

— Ne ma kontakt — powiedział Oak jakoś tak smutno. — On ne chce.

— Ty durniu — zasyczałem. — Kazałem ci siedzieć w domu i nie ruszać się, ale narobiłeś bigosu. Kretynie boży, a niech to jasna cholera.

— Masz baba placzek — wyrecytował Oak.

— Co ja teraz zrobię, ty pomarańczowa małpo!

— Zrób kontakt — spokojnie rzekł Oak.

Tryptyk

KAMIL MIECZYSŁAW KRAJEWSKI

— Siedź tu i nie ruszaj się!

Dyrektor popatrzył na mnie surowo.

— Panie Zawada, ja od dawna patrzę przez palce na pańskie wybryki, na pana głupie pomysły. Ja pana lubię. Pan wie, jak teraz jest w naszym zawodzie. Same baby. Jak tak dalej pójdzie, to zaginie dobry zawód nauczycielski. Baby go doszczętnie zniszczą. Patrzę na pana różne głupie eksperymenty i sobie myślę, niech się chłopak wyszumi, zmądrzeje, to po mnie obejmie schedę. Jak dyrektorem jest kobieta, to nie ma żadnego porządku i uważania w szkole, sam pan przecież widzi. Te ciągłe płacze, plotki, zawiści, choroby, ciąże, dzieci, zwolnienia. Panie, głowa mnie od tego boli. Jakby nie było tu mocnej, męskiej ręki, to działyby się tu straszne rzeczy. Ja tak na pana liczę. A pan, co pan robi? Co to za nowy pomysł z tym Indianinem? Jakieś badania? Eksperyment? Znów pan coś wymyślił. Słyszałem, że kilka tygodni temu też pan robił eksperyment. Dzwonił pan do różnych ludzi, że pana Kosmici nawiedzili. Że wódkę z panem pili. Nic nie mówiłem, choć mi było przykro. Jak wy się tam, młodzi, teraz bawicie, to wasza sprawa, ale żeby dzwonić do profesora Michalskiego, naszej chluby, nestora nauki i opowiadać po pijanemu różne bzdury. Panie Grzesiu! Czy tak się godzi? Czy to jest godne nauczyciela? Pan jest wychowawcą. Pan powinien świecić przykładem. Pan jest jednym z tych nielicznych, którzy podjęli się trudu utrzymania męskiej tradycji w zawodzie nauczycielskim. Ja na pana tak liczę, ja pana proszę. Niech pan przestanie. Panie Grzesiu, po co panu te eksperymenty?

Milczałem.

— Niech pan coś powie — zniecierpliwił się dyrektor.

— Panie dyrektorze. To wszystko zupełnie nie tak.

— Co, nie tak?

— No, z tymi telefonami. Kiedy ja naprawdę...

— Niech pan zostawi — dyrektor machnął ręką. — Pomówmy lepiej o tym chłopcu. Trzeba go umyć. Że też pan nie wie, że Indianie mają skórę czerwoną, a nie pomarańczową. Czerwonej farby nie mógł pan dostać czy co?

— Ja go w ogóle nie malowałem.

— To kto?

— On wcale nie jest malowany.

— Chce pan przez to powiedzieć...

— Właśnie!

— ...że to jest prawdziwy Indianin. Może być, ja przecież Indian widziałem tylko na obrazkach. No, i w kinie. Ale w czarno-białym. Co tam widać?

— Ale nie! Panie dyrektorze, to nie jest Indianin.

— To kto?

— Jeszcze pan się nie domyśla?

— Czego? Czego mam się domyślać?

— Przecież to jest autentyczny Kosmita.

— Co pan za bzdury opowiada. Właśnie kończę czytać książkę, gdzie autor, czarno na białym, udowadnia, że nie ma życia w Kosmosie, i że my stanowimy tylko chlubny wyjątek.

— Może on to i udowadnia, ale on jest skończonym idiotą, a pan też, skoro nie może pan pojąć, że widział pan na własne oczy prawdziwego Kosmitę.

— Panie Zawada, niech się pan liczy ze słowami. Mnie pan może nie szanować. Pana sprawa. U nas na ogół nie lubi się zwierzchników, ale profesor Kazimierz Michalski jest uznanym autorytetem. To członek Akademii Nauk.

— Panie dyrektorze. W dupie mam takich akademików.

Złapałem dyrektora za rękę i pociągnąłem go za sobą.

— Niech pan idzie za mną! Sam pan się przekona.

Dyrektor dał się prowadzić.

Otworzyłem drzwi do pokoju nauczycielskiego.

— Oak! — zawołałem. — Oak! Gdzie jesteś? Gdzie się znów schowałeś?!

— I co? — zapytał triumfująco dyrektor.

Bezradnie rozglądałem się po pokoju. Oaka nigdzie nie było.

— Cholera! Masz babo placek! Gdzie się ta menda podziała?

— Sam pan widzi!

— Właśnie, że nic nie widzę.

— Sam pan widzi do czego prowadzą pana głupie eksperymenty. Uciekł pana pomocnik. I co pan chciał przez to udowodnić! Oj, panie Grzesiu. Niech pan się zastanowi. Naobrażał mnie pan. Akademika Michalskiego też pan obraził. Ale niech tam! Zapomnimy. Przeprosi mnie pan i wszystko będzie dobrze. Przeprosi pan?

— Przepraszam — wyszeptałem i nagle zmieniłem zamiar. — Wcale nie. Wcale nie przepraszam. Nie mam za co. Podtrzymuję swoje słowa. Dlaczego pan nie chce mi uwierzyć? Przecież mówię wyraźnie: **to był prawdziwy, autentyczny Kosmita.** Pomarańczowy ludzik, z których wszyscy się tak śmiejecie. Nie zielony, a pomarańczowy. I po polsku trochę umie, choć oni innymi językami też mówią! I am messenger — zacytowałem nagle Taraka.

— Co pan powiedział?

— Ten poprzedni, który tu był, a w którego pan nie chce wierzyć, mówił po angielsku i po rosyjsku. On powiedział po angielsku, że jest wysłannikiem. Oni są wysłannikami i chcą z nami nawiązać kontakt. Więc za co mam przepraszać. Mogę tylko za to, że się uniosłem i używałem brzydkich słów. Tak, tego nie powinienem robić. Trzeba spokojnie dowodzić swoich racji. Ale pan i inni mi nie wierzycie.

— W co mamy wierzyć?

— Jak to w co? Przecież sam pan widział. I dzieci widziały.

— Dzieci niech pan w to nie wciąga. Widziałem, nie widziałem. Ale teraz widzę, że nie widzę. Jak pan go odnajdzie i przyprowadzi, to może uwierzę. Może nawet panu pomogę.

Dyrektor odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Stałem chwilę bezradny. Jeszcze raz uważnie obejrzałem pokój nauczycielski. Oaka nigdzie ani śladu. Przeszukałem całą szkołę. Obszedłem wszystkie okoliczne podwórka. Łaziłem tak do późnego wieczora. Potem powlokłem się do domu.

Joanna siedziała na tapczanie i czytała gazetę.

— Co z nim zrobiłeś?

— Z kim?

— Oj zadajesz głupie pytania. No, z Oakiem. Przygotowałam kolację, a was nie ma.

— Tutaj też go nie było?

Nie czekając odpowiedzi, wybiegłem na schody. Wspiąłem się na dach. Nic. Pojazdu nie było.

Wróciłem do mieszkania i powiedziałem:

— Odleciał.

— Nie zostawił żadnej kartki?

— Chyba widzisz.

Joanna rozejrzała się po pokoju.

— To już chyba nie wrócą — powiedziała z żalem w głosie. —

W kręgu fantastyki

Szkoda. Mili są.

Usiadłem na tapczanie.

— Nie wrócą — powiedziałem — a ja dostanę za swoje.

I zrobiło mi się strasznie smutno, źle i żal Joanny.

3

PRZED OBLICZEM AUTORYTETÓW

Miałem teraz dużo wolnego czasu. Joanna szła rano do pracy, a ja na spacer. Łaziłem po kinach, siadywałem w parku z książką albo opalałem się na balkonie. Początkowo mnie to bawiło. Wszyscy pracują, a ja nie. Bo ja mam prawie wariackie papiery.

Niby nic się nie stało. W kilka dni po incydencie z Oakiem wezmartwić, że wszystko będzie w porządku. Wzięła nawet urlop i pojechaliśmy na tydzień na wieś. Tylko na tydzień, dlatego, że liczyła się z tym, iż wszystko się wyjaśni, wrócę do szkoły i potem będą wakacje, więc wyjedziemy razem na dłużej.

Po powrocie wszystko wróciło do złej normy. Pismo odwołujące z urlopu nie przychodziło, a ja ciągle czekałem.

Któregoś dnia zadzwonił Wojtek Ludwiczak.

— Cześć stary?

— Cześć.

— Mogę wpaść? Mam coś do pogadania. Nie będę przeszkadzał?

— Możesz. Kiedy przyjdziesz?

— Zaraz. Będę za kilka minut.

Przyszedł za piętnaście

— Jestem — powiedział i usiadł na tapczanie. — Mam sprawę do ciebie. Tylko nie wiem, jak zacząć.

— Od początku. O co chodzi?

— Nie o co, tylko o kogo! O ciebie.

— O mnie?

— Przecież mówię, o ciebie. Chcą ci zrobić sprawę.

— W sądzie? Za co? Co ja zrobiłem?

— Miałeś te różne historie. No niby z tymi pomarańczowymi. Miałeś? Do mnie też dzwoniłeś

łem, aby znaleźć się przed szkołą tuż przed dwudziestą piętnaście.

Dyrektor siedział za biurkiem i coś pisał.

— Niech pan siada — wskazał mi ręką duży fotel.

Chwilę panowało milczenie.

— Poprosiłem pana — odezwał się wreszcie — żeby wyjaśnić pańską skomlikowaną sytuację. Jest pan formalnie na urlopie dla poratowania zdrowia, chociaż były z tym poważne kłopoty. Władze zwierzchnie zgodziły się wyjątkowo na taką sytuację, ale trzeba wreszcie coś w pana sprawie postanowić.

Przerwał i zaczął czegoś szukać w papierach.

— Przedłużyć panu urlopu nie możemy. Trzeba więc podjąć decyzję. I w tym właśnie jest delikatność całej sytuacji. Moje władze poleciły mi odbyć z panem rozmowę i na jej podstawie podjąć decyzję.

— Proszę bardzo — powiedziałem, ucieszony tą wiadomością — możemy porozmawiać. Tylko o czym?

— Rzecz nie w tym, o czym, bo znalazłoby się. Rzecz w tym, że ja chcę być obiektywny. I dlatego, po naradzie z... No, powiedzmy, po naradach z różnymi ludźmi, doszliśmy do wniosku, że

pukałem do gabinetu dyrektora. Byli już wszyscy. Dyrektor mnie przedstawił i zaproponował, abyśmy się przenieśli do pokoju nauczycielskiego, gdzie będzie nam wygodnie rozmawiać.

— Pozwolą państwo — zagaił dyrektor — że rozpoczniemy naszą rozmowę. Może pan — zwrócił się do docenta Zenobiusza Wrońskiego — jako człowiek zupełnie obcy, ale zorientowany w sprawie, zreferuje nasze stanowisko.

— Nie jest to najsympatyczniejsza misja — zaczął docent. — Ale nie mam wyboru. Dlatego nie będę przypominał wszystkich incydentów, jakie miały tu miejsce za przyczyną obecnego tu pana Grzegorza Zawady, powiem tylko w czym rzecz. Chodzi więc o to, aby pan Zawada przeprosił wszystkich, których naraził na nieprzyjemności swoimi żartami, aby przyznał się do nich i cała sprawa przestanie istnieć. Oczywiście pozostanie jeszcze kwestia stanowiska władz. Ale to już inna sprawa. Myślę, że ich stanowisko zależy od tego, co zrobi pan Zawada.

— Przepraszam, a co ja mam zrobić?

— Nie zrozumiał pan? — zapytał dyrektor.

— Przyznam się, że nie bar-

profesor Michalski po chwili milczenia.

— Czy to byłoby niemożliwe? — nie ustępował Rychcik.

— Do tej pory nauka nie potwierdziła takiej możliwości. Czy wie pan, jak długo światło leci do najbliższej nam gwiazdy?

— Cztery lata, a nawet więcej niż cztery lata — wtrąciłem.

Profesor spojrzał na mnie niechętnie.

— No, właśnie — potwierdził. — A my jeszcze nie umiemy latać z szybkością światła. I w ogóle nie jest to możliwe.

— Nie jest powiedziane, czy inni tego nie potrafią — wtrąciłem.

— Jacy oni? — zdenerwował się profesor.

— Panowie zadecydowali — zacząłem — że ja robiłem głupie kawały. Ale załóżmy przez chwilę, że ja nie robiłem kawałów, że istotnie miałem wizytę pomarańczowego Kosmity, który nazywa się Tarak, że chciał on pomocy w nawiązaniu kontaktu z kimś oficjalnym z Ziemian.

— W jakim języku panowie rozmawiali? — zapytał ironicznie docent.

— Proszę sobie wyobrazić, że po polsku. Ale zna on również angielski i rosyjski, a może i inne języki. Dlaczego miałby ich nie znać? Skoro przygotowywał się do kontaktu z nami, to musiał on i jemu podobni dłużej nas obserwować. Czy w tym jest coś dziwnego?

— Dziwnego? Nie. Śmiesznego! — prychnął docent. — I my mielibyśmy uwierzyć w takie bzdury. Pan żartuje! A może pan wie, skąd oni przybyli?

— Nie. Przyznam, że nigdy mnie to nie zainteresowało.

— No, proszę — ironizował docent. — Sam pan nie wie, a chciałby, żebyśmy uwierzyli. Tylko w co?

— A gdybym powiedział, że przybyli oni — postanowiłem zabłysnąć erudycją — z gwiazdy Epsilon z gwiazdozbioru Wolarza, to wtedy pan mi uwierzy?

— Czy wie pan, w jakiej odległości od nas znajduje się gwiazda Epsilon? — zapytał profesor.

— Wiem. 103 lata świetlne.

— No, właśnie — uśmiechnął się profesor Michalski — rakieta „Saturn V" leciałaby tam dwa miliony lat. A innych, szybszych rakiet, jak do tej pory, nie znamy.

— Ale oni może znają.

— Panowie — odezwał się niespodziewanie Michał Skowronek, mój kolega z pracy — proszę zastanowić się nad tym, że celem naszego spotkania jest pomóc tu obecnemu Grzegorzowi Zawadzie, a nie spierać się o rzeczy mało istotne.

— Przeciwnie — zaprotestowałem. — To są sprawy bardzo istotne, bo od tego zależy mój los.

— Słusznie — wtrącił dyrektor. — Nie ma co się spierać o coś, co nie istnieje. Pan profesor i pan docent, jako autorytety naukowe jednoznacznie stwierdzili, że niemożliwe jest jakiekolwiek lądowanie obcych istot na Ziemi. Nauka czegoś takiego nie potwierdza, a więc nie pozostaje nic innego, jak przyjąć naszą propozycję. Czy panowie się ze mną zgadzają?

Profesor, docent i mój kolega z pracy skłonili głowy, potwierdzając milcząco opinie dyrektora. Tylko Marek Rychcik patrzył gdzieś w bok.

— A pan, redaktorze? — zapytał go dyrektor.

— Ja? No, cóż, pozwolę sobie nie zgodzić się z panami. Uważam, że należy wysłuchać Zawadę. Przedyskutować z nim całą sprawę dokładnie, bo jeśli istnieje cień podejrzenia, że on może mieć rację, że mówi prawdę, nic nie zmyśla, to bardzo go skrzywdzimy, uważając za pomylonego albo łgarza.

— Wykluczone — odezwał się profesor Michalski. — Wykluczone — powtórzył. — Nauka ma w tej sprawie jednoznaczne stanowisko. O żadnym życiu we wszechświecie nic nam nie wiadomo. Nie wyklucza się takiej możliwości. Ale kontaktu nie udało się jeszcze nikomu nawiązać...

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju nauczycielskiego. Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. Drzwi przez chwilę stały otworem, później ukazał się w nich Tarak.

— Joreraa! — zawołał radośnie — Mas baba placzek! Jest kontakt — i zaśmiał się po swojemu. — Ihaha!

— Co to jest? — zapytał z najwyższym oburzeniem dyrektor. — Znów jakieś kawały?

— Nie, panie dyrektorze — powiedziałem z całą powagą — Nic podobnego. Teraz się wszyscy panowie mogą przekonać. Oto właśnie jest mój kosmiczny gość, o którym wam chciałem opowiedzieć. Nazywa się Tarak.

— Tarak — zwróciłem się nagle do Kosmity — skąd właściwie pochodzisz?

w kolorze pomarańczowym

opowiadanie SF niezbyt serio

wał mnie dyrektor i powiedział bardzo spokojnie:

— Panie Grzegorzu, proszę mnie dobrze zrozumieć. Po ostatnich pana wyczynach zmuszony jestem dać panu urlop zdrowotny. W porozumieniu z władzami postanowiliśmy umożliwić panu wypoczynek i powrót do równowagi. Niech pan może gdzieś wyjedzie. Może do sanatorium. Pomożemy panu. Ale sam pan rozumie... Pana... powiedzmy „przygody"... stały się już zbyt znane. A pan jest nauczycielem, wychowawcą. Sam pan rozumie. To może mieć złe skutki, zły wpływ na młodzież.

Też byłem spokojny. Spodziewałem się nawet czegoś gorszego. Wywalą mnie — myślałem — na zbity łeb i będą mieli po kłopocie. A ja dopiero będę miał kłopot. Ach, gdybym mógł wtedy dorwać tego cholernego Oaka. Już ja bym mu pokazał.

Skłoniłem głowę.

— Jakie muszę załatwić formalności?

— Nic nie trzeba — powiedział dyrektor. — Dostanie pan pismo pensję będzie pan brał normalnie. A potem, zobaczymy.

Joanna była nawet zadowolona.

— Ty, głupi. Co będziesz się przejmował. Forsę dostaniesz. Odpoczniesz. W domu porobisz różne rzeczy. Może nawet malowanie zrobimy. A wszystko powoli ucichnie i będziemy mieli po kłopocie. Może nawet cię awansują.

— Mnie? A to niby dlaczego?

— No, wiesz, jak ktoś jest niewygodny na jednym stanowisku, to przenosi się go na inne wyższe oczywiście. Może ci jakąś szkołę dadzą. W innym mieście, oczywiście.

Wzruszyłem ramionami. Babskie marzenia.

Minęły długie, nużące dwa miesiące. Joanna już się nie cieszyła. Coraz częściej pytała, jak się czuję, pocieszała, żeby się nie

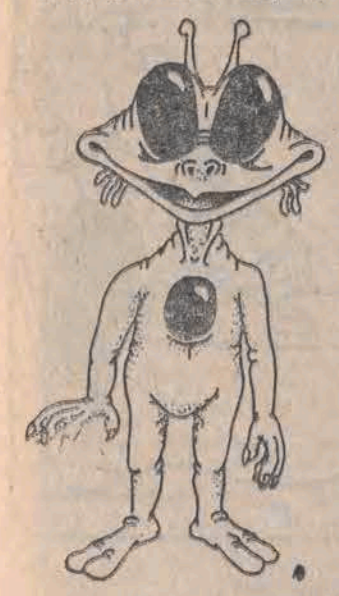

po pijaku. Skąd mogłem wiedzieć, że nie wygłupiasz się. Może, jak bym wtedy przyjechał, to bym sam zobaczył i teraz wszystko wyglądałoby inaczej. A tak nic ci nie mogę pomóc.

— No, dobrze. Stało się. Nie ma o czym mówić. Powiedz lepiej o tej sprawie.

— Mówię przecież. Więc miałeś te różne historie. Różnych ludzi naobrażałeś. Nawet w szkole zrobiłeś chryję z dyrektorem. Było tak?

— Wcale nie. To było...

— Czekaj. Ale tak wszyscy myślą. Wszyscy uważają, że Zawada to fajny chłopak, zdolny, sympatyczny, ale coś mu odbiło. Wygłupił się. Żeby jeszcze po pijanemu przez telefon, no to pół biedy, ale wygłupił się w szkole. Ośmieszył dyrektora przy dzieciach. Jakiegoś przebierańca im podstawił i kazał wierzyć, że to przybysz z kosmosu. Taki jest pogląd. Dyrektor przez to stracił autorytet.

— On tak myśli?

— Ja nie wiem, co on myśli. Ja słyszałem, co się o tym mówi.

— Poczekaj, Wojtek, to wcale nie jest takie proste. To w końcu o mnie chodzi. I dlatego chciałbym jednak wiedzieć, kto tak mówi. Dla mnie to ma znaczenie. Jak rozstawałem się z dyrektorem, to on był raczej dla mnie życzliwy. Urlop mi przecież załatwił, abym doszedł do siebie.

— Może on i był ci życzliwy, może i urlop ci załatwił, ale to było dawno. Teraz jest inaczej.

— Dlaczego?

— Czy ty nie wymagasz ode mnie zbyt wiele? Skąd ja mogę wiedzieć, dlaczego. Ja wiem, co usłyszałem i przyszedłem cię ostrzec.

— Przed sprawą.

— Aha!

— Ale, jaka to ma być sprawa?

— Tego do końca to ja nie wiem. Coś w rodzaju komisji.

— Dyscyplinarnej?

— Ee, to nie. To by było coś w rodzaju takiej rady, konsylium więcej, na którym będą z tobą rozmawiać. Wiesz, taka dyskusja, abyś się mógł wyzbyć swoich głupot.

— A kiedy to ma być?

— Nie wiem. Wiesz, będę leciał. Mam coś jeszcze do zrobienia. Cześć!

Minęło kilka dni. Życie stawało się nieznośne. Wiedziałem że coś się wokół mnie dzieje ale co i gdzie, kto i po co prowadzi jakąś sprawę, tego nie wiedziałem. Byłbym nawet z kimś porozmawiał na ten temat. Ale z kim?

Aż któregoś dnia zadzwonił telefon.

— Słucham.

— Czy mógłby pan wpaść do szkoły — usłyszałem w słuchawce głos dyrektora.

— Mógłbym — powiedziałem, starając się zachować całkowity spokój. — Jak pan wie, mam teraz dużo wolnego czasu. Kiedy miałbym przyjść?

— O, to nic pilnego. Gdyby zechciał pan wpaść jutro około dwudziestej.

Następnego dnia długo spacerowałem po mieście i tak chodziłem, aby znaleźć się przed szkołą tuż przed dwudziestą piętnaście.

Dyrektor siedział za biurkiem i coś pisał.

— Niech pan siada — wskazał mi ręką duży fotel.

Chwilę panowało milczenie.

— Poprosiłem pana — odezwał się wreszcie — żeby wyjaśnić pańską skomlikowaną sytuację. Jest pan formalnie na urlopie dla poratowania zdrowia, chociaż były z tym poważne kłopoty. Władze zwierzchnie zgodziły się wyjątkowo na taką sytuację, ale trzeba wreszcie coś w pana sprawie postanowić.

Przerwał i zaczął czegoś szukać w papierach.

— Przedłużyć panu urlopu nie możemy. Trzeba więc podjąć decyzję. I w tym właśnie jest delikatność całej sytuacji. Moje władze poleciły mi odbyć z panem rozmowę i na jej podstawie podjąć decyzję.

— Proszę bardzo — powiedziałem, ucieszony tą wiadomością — możemy porozmawiać. Tylko o czym?

— Rzecz nie w tym, o czym, bo znalazłoby się. Rzecz w tym, że ja chcę być obiektywny. I dlatego, po naradzie z... No, powiedzmy, po naradach z różnymi ludźmi, doszliśmy do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli będzie to rozmowa, w której weźmie udział kilka osób. Zaraz panu powiem, kogo proponujemy — spojrzał na kartkę, widać była tam wypisana lista moich rozmówców — ale ważniejsze jest w tej chwili to, czy pan się na taką rozmowę zgodzi? Bo ma pan pełne prawo odmówić. Nie musi się pan godzić na taką rozmowę. Ale, jeśli coś mogę doradzić, to radziłbym jednak wyrazić zgodę.

— A czy mógłbym przedtem spojrzeć na listę osób, które będą ze mną rozmawiały. Może ta lista mi nie odpowiada. Przecież muszę chyba najpierw wiedzieć, z kim będę rozmawiał, żeby zgodzić się na rozmowę.

— Ma pan rację. Więc tak. W takiej rozmowie wzięliby udział: profesor Kazimierz Michalski, przeciw niemu chyba pan nic nie ma, to wielki autorytet.

Milczałem.

— Dalej, pański kolega z naszej szkoły, pan Michał Skowronek, do tego docent Zenobiusz Wroński, jego pan nie zna, ale to też wysoki autorytet. I... ja.

— Tak... Jeżeli już panowie dobrali sobie taki skład, aby mnie sądzić, to może i ja zaproponowałbym kogoś ze swej strony, aby mieć obrońcę. Każdy oskarżony ma prawo do obrony.

— Z panem trudno się rozmawia — oburzył się nagle dyrektor. — To nie jest żaden sąd. To rozmowa, ot, taka sobie konsultacja, aby wyjaśnić pana sytuację.

— Ależ moja sytuacja nie wymaga żadnego wyjaśniania. Jestem zdrów. W pełni władz umysłowych. Nawet jutro mogę wracać do pracy.

— To pana zdanie. Nie kwestionuję pana zdrowia, ani poczytalności, ale sytuacja nie jest normalna i wyjaśniona. Skoro się jednak pan upiera... Dobrze. Kogo pan proponuje?

Zaskoczył mnie tym. Nie miałem kandydata. Trzeba byłoby się zastanowić. Ale skoro zaproponowałem kogoś ze swej strony, to właściwie wyraziłem zgodę. Niech się dzieje, co chce!

— Proponuję redaktora Marka Rychcika z „Wieczornego Echa".

— Zgoda — dyrektor zapisał sobie nazwisko na liście i wstał.

Już z ręką na klamce odwróciłem się i spytałem.

— A kiedy to ma być?

— Powiadomimy pana. Do widzenia!

Następnego dnia wybrałem się do biblioteki. Obłożyłem się książkami traktującymi o UFO, życiu w kosmosie, o hipotezach na temat pobytu kosmitów na Ziemi. Teraz całe dnie spędzałem w bibliotece. Zacząłem coraz bardziej orientować się w złożonej wiedzy astronomicznej, choć do opanowania jej było mi jeszcze daleko.

Wróciłem właśnie z biblioteki, kiedy Joanna powiedziała:

— Był do ciebie telefon. Dzwonił dyrektor.

A więc to już.

— Mam do niego zadzwonić?

— Nie, czekać na telefon.

Zadzwonił następnego dnia rano.

— Od kilku dni pana szukam. Gdzie się pan chowa?

— Nie chowam się. Po prostu przesiaduję w bibliotece. Czytam różne ciekawe rzeczy.

— To ładnie że nie marnuje pan czasu. Spotkamy się pojutrze. U nas w szkole. Proszę przyjść punktualnie o osiemnastej.

Przyszedłem punktualnie. Za-

Galeria kosmostworków Andrzeja Biedrzyckiego

Posłowie do „Tryptyku"

Posłowiem opatruje się zazwyczaj dzieła klasyków, autorów o niezachwianej renomie, bądź też książki pisarzy bardzo znanych, którzy niejako na marginesie swej szacownej twórczości machnęli jeden czy kilka utworów Science Fiction i trzeba ich potem z tej ekstrawagancji przed czytelnikami tłumaczyć. Poczynając od przyszłego tygodnia rozpoczniemy na przykład cykl artykułów Jerzego Kwiecińskiego poświęconych takim zapomnianym, a interesującym pozycjom; otóż każdą z nich, gdyby została dziś wznowiona, wydawca byłby opatrzył posłowiem właśnie.

W przypadku debiutanta „posłowie" będzie recenzyjną notką raczej. Pełne przekornego wdzięku, żartobliwe opowiadanie Kamila M. Krajewskiego było, jak sądzę przynajmniej, sympatyczną, choć nie wolną od niedostatków lekturą. Za zgodą autora dokonaliśmy w nim — zwłaszcza w trzeciej, ostatniej części — pewnych skrótów. Gdy dwie części pierwsze rozwijały się dynamicznie, wartko, przede wszystkim bawiąc wprawdzie, ale i pozwalając spodziewać się wciąż nowych niespodzianek, część trzecia jak gdyby „siadła", straciła na tempie i barwności narracji. Mogę się mylić, lecz tak mi się coś zdaje, że autor — mając może jakieś własne, niezbyt miłe doświadczenia — chciał tu spróbować satyrycznych „rozliczeń" z myślowym skostnieniem pewnej przynajmniej części kadry nauczycielskiej i pewnych przynajmniej kręgów naukowców.

Miał niby do tego prawo, gdyż na przestrzeni stuleci — a i w czasach najnowszych — doprawdy niezliczona ilość wysoce utytułowanych naukowych person, z wysoce niezachwianą powagą, wygłosiła niezliczoną ilość wysoce autorytatywnych i ostatecznych opinii, i które już niezadługo miały okazać się bzdurą zupełną. Zarazem owa zmiana tonacji, przejście od historyjki żartobliwej, do podmalowanej satyrą historii serio — jako że Grzegorza chcą naprawdę wyrzucić z pracy — z niemal zupełnym zagubieniem wątku fantastycznego, który powraca dopiero w poincie: otóż ta zmiana tonacji chyba się utworowi nie przysłużyła. I gdyby autor chciał go kiedyś wprowadzić do jakiegoś książkowego zbioru — którego oby się dopracował — całkiem szczerze radziłbym mu trzecią część napisać na nowo.

Teraz dwa wyjaśnienia. Wesoły ludzik, który i dziś ozdabia opowiadanie, pochodzi z „Galerii kosmostworków" Andrzeja Biedrzyckiego i nie był zamyślony jako ilustracja do tekstu. Rysownik — którego bardzo prosimy o dalsze kosmostworki — w ogóle nie znał opowiadania, tak jak autor opowiadania na oczy nie widział rysunku. Mariażu, chyba szczęśliwego, dokonaliśmy na własną rękę, jedno pasowało po prostu do drugiego.

Jednocześnie kolegom z warszawskiego SFAN-CLUBU proponujemy przeczytanie na str. 15 felietonu „Kogo bije ZAiKS i kto dostał Niderlandy", tłumaczy on bowiem, dlaczego — sądzimy, że tylko czasowo — przestaliśmy ich przedstawiać jako współgospodarzy tych kolumn.

A ponieważ tekst felietonu — z przyczyn, powiedziałbym, zasadniczych — podpisuję pełnym imieniem i nazwiskiem, tych kilka słów sygnuję jedynie literkami.

J. P.

ADAM OCHOCKI

Początek dały czworaczki

Zgodnie z zapowiedzią wznawiamy dziś druk fragmentów przygotowanej przez Adama Ochockiego książki pt. „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę". Kolejne odcinki — w numerach następnych.

— Redakcja „Expressu"? Nowina, panowie! Czworaczki w Łodzi! — Czworaczki?! Można pana poprosić o szczegóły? — oczyma wyobraźni ujrzałem już tę sensację na pierwszej stronie jutrzejszej gazety. Usłyszawszy nazwisko szczęśliwej mamy — zdębiałem. Przecież to ta sama kobieta, u której byłem półtora roku temu i winszowałem jej z okazji powicia trojaczków! Ta sama, która w okresie Powstania Warszawskiego wydała na świat dwojaczki! I nazwisko i adres zgadzały się. Rewelacja na skalę światową!!!

W mieszkaniu przy ul. Wschodniej, tuż za Narutowicza, przyjął mnie rozradowany ojciec, pracownik PKP. Potwierdził otrzymaną przeze mnie telefonicznie wiadomość.

— Żona obdarzyła mnie czterema chłopcami!

— Czy pozwoli pan złożyć gratulacje mamie?

— Wywiozłem ją z dziećmi na wieś pod Łowicz. Po tak skomplikowanym porodzie musi odpocząć.

Nazajutrz Łódź zatrzęsła się. Prasa w całym kraju powtórzyła za nami sensacyjną wiadomość. Dwojaczki, trojaczki, czworaczki! Nienotowany w kronikach lekarskich całego świata rekord łodzianki!

Sprawa czworaczków nie schodziła z naszych szpalt. Utrzymywałem stały kontakt z tatą. Chętnie mi przekazywał wiadomości o samopoczuciu żony i dzieci. Telefony redakcyjne obrywały się. Dzwoniono nie tylko z miasta. Śląsk, Wybrzeże — cały kraj żądał szczegółów z życia szczęśliwej rodziny. Posypały się dary. Wśród ofiarodawców nie zabrakło i żony ministra Dąbrowskiego.

Po tygodniu opadły mnie wątpliwości. Dlaczego tata tak uparcie sprzeciwia się memu wyjazdowi na wieś? Chciałem odwiedzić mamę, przekazać jej życzenia w imieniu łodzian, obejrzeć maleństwa. Gdy moje perswazje nie odniosły żadnego skutku, uderzyłem na alarm. MGŁA TAJEMNICY NAD CZWORACZKAMI! — napisałem artykuł na cztery szpalty i zadzwoniłem do Władka Orłowskiego, uprawiającego wówczas reporterkę w „Dzienniku Łódzkim".

— Nie podoba mi się ta historia. Może zajmiemy się razem wyświetleniem zagadki?

Do dziś nie mogę zrozumieć, jak ja, stary „ekspresowiec", walczący zawsze o monopol dla mojej gazety, mogłem wejść w konszachty z konkurencyjnym dziennikiem, ukazującym się wcześniej na mieście niż nasza popołudniówka. Niewątpliwie zaważyła sympatia, jaką od pierwszej chwili czułem do Władka. Ujął mnie taktem, wysoko ceniłem jego warsztat dziennikarski. Dziś nie żałuję tej „spółki". Zapoczątkowała nasze przyszłe stosunki towarzyskie i owocną współpracę.

Po moim artykule zatelefonował tata i zaprosił „Express" do siebie: proszę bardzo, możecie panowie obejrzeć nasze czworaczki. Poszedłem z Władkiem. Przybył też fotoreporter „Głosu Robotniczego". Maks Szarfharc. Tata pokazał nam świadectwo lekarskie, podpisane przez dr Brzozowskiego: „Zaświadczam niniejszym, że ob. P. urodziła w poniedziałek, 3 maja 1948 r. czterech noworodków donoszonych płci męskiej...".

Zerknąłem na datę: 10 maja! Z tego wynikałoby, że lekarz przybył do położnicy w tydzień po porodzie. Hipotezy, że wystawił zaświadczenie po tygodniu, nie dopuszczałem do siebie. Coś mi tu wyraźnie nie grało. Kto odbierał noworodki?

Gdy Szarfharc robił zdjęcia dzieci, przyjrzałem im się uważnie. Wzbudziły we mnie konkretne podejrzenie. Każde wyglądało inaczej, ani cienia podobieństwa! Poza tym jak na czworaczki wydawały mi się za duże.

Odciągnąłem Władka na stronę.

— Idziemy do tego lekarza.

Dr Brzozowski mieszkał na Kilińskiego 78. Nie przyjął nas. Żona jego powiedziała, że jest niedysponowany i potwierdziła wersję, zakomunikowaną nam przez tatę. Nasze pytanie, gdzie jej mąż odbierał noworodki zbyła milczeniem. A przecież tak niecodzienny poród nie mógł przebiegać w mieszkaniu! Obielieliśmy wszystkie kliniki położnicze. W żadnej pani P. nie rodziła. Skontaktowaliśmy się z organizacją zawodową położnych. Nikt nic nie wiedział o czworaczkach, poza tym co drukowały gazety.

Tymczasem w sprawę wkroczyła prokuratura. I pękła bomba! Pani P. przyznała się, że nie urodziła czworaczków, ani trojaczków, ani dwojaczków. Wskutek wrodzonej wady fizycznej nie mogła mieć własnych dzieci, postanowiła więc wychować cudze. Wzięła je z przytułków łódzkich, ze szpitala „Betleem". Ponieważ stwierdzono, że nie działała z chęci osiągnięcia korzyści materialnych, lecz pod wpływem niezaspokojonego instynktu macierzyńskiego, dochodzenie przeciwko niej umorzono. Czy zastosowano jakieś sankcje wobec lekarza, będącego już na emeryturze — nie pamiętam.

Nasze ścieżki — Władka i moja — zeszły się po paru latach w jednej redakcji. W specyficznych okolicznościach powstała w Łodzi nowa gazeta, której poświęcam następny rozdział mej książki. Codzienne kontakty zbliżyły nas do siebie. A że mieszkaliśmy w bliskim sąsiedztwie, w drodze z redakcji do domu mieliśmy dodatkowy czas na rozmowy. Władek opowiedział mi jak zdobył ostrogi dziennikarskie. Zadebiutował w gazetce powstańczej „Rzeczpospolita" relacją o potyczce z hitlerowcami w okolicy pl. Żelaznej Bramy, pisywał do gazety wojskowej „Na straży", po zdemobilizowaniu przeniósł się do Łodzi w listopadzie 1945 r. podjął pracę jako reporter w „Dzienniku Łódzkim".

W nowo utworzonej gazecie Władek został kierownikiem działu kulturalnego. Sprawy związane z tą dziedziną życia były najczęściej tematem naszych dyskusji i wymiany poglądów. Dobrze nam się współpracowało. Najmniej kłopotów miałem w sekretariacie redakcji z tekstami dostarczanymi przez Władysława Orłowskiego. Wpływały na czas, starannie zaadiustowane, sprawdzone.

Zbliżały się wybory do rad narodowych. Bodaj w sierpniu 1954 r. szef spytał mnie czy chcę, ewentualnie z kimś razem, napisać broszurę, ukazującą dorobek naszego miasta po wojnie i perspektywy dalszego rozwoju Łodzi. Wyraziłem zgodę i na współautora zaproponowałem Władka. Dotychczas tego rodzaju wydawnictwa propagandowe rozdawano bezpłatnie, mimo to znaczne ilości egzemplarzy szły na makulaturę. Naszą broszurę „Spacerem po Łodzi" wydrukowaną w nakładzie 35 tys., sprzedawno i rozeszła się błyskawicznie. Zawierała sporo ciekawostek, napisaliśmy ją przystępnym językiem, urozmaiciliśmy atrakcyjnymi, wyszperanymi z archiwów zdjęciami.

Przejęci swym posłannictwem wzięliśmy za duży rozpęd. W bajkowych kolorach odmalowaliśmy wizję przyszłej Łodzi. Otoczyliśmy miasto siecią nowych obwodowych linii kolejowych z reprezentacyjnymi dworcami, pobudowaliśmy wspaniałe autostrady, gmachy itd. Na szczęście nasze zapędy w porę utemperował ówczesny sekretarz propagandy KŁ PZPR, Tadeusz Daniłowicz. Należał do tych działaczy partyjnych, którzy realnie oceniali możliwości. Wytłumaczył nam niestosowność takiej hurra propagandy. Dziś możemy mu być za to wdzięczni. Wiele obiektów z perspektywicznego planu rozbudowy miasta nie doczekało się dotąd realizacji.

Po jakimś czasie znowu zaproponowano nam napisanie broszury o podobnej tematyce. Szefem propagandy w „Białym domu" już nie był kulturalny, taktowny towarzysz Daniłowicz. Jego następca wezwał nas do siebie. Poszedłem sam, Władka zatrzymała na mieście jakaś narada. Sekretarz, siląc się na dowcip, powiedział, że broszurę mamy napisać „na wczoraj", czas bardzo pili. Obiecałem maksymalny pośpiech i ex promptu przedstawiłem szkielet konstrukcyjny. Staniemy — Władek i ja — na szczycie „wieżowca" przy zbiegu ulic Narutowicza i Sienkiewicza, stąd patrząc niby przez lunetę na miasto opiszemy co w nim powstało, co się buduje i co zostanie zbudowane.

Pomysł przypadł sekretarzowi do gustu. Jak zwykle w tego rodzaju wydawnictwach potrzebne były konkretne dane: projekty, liczby statystyczne z różnych dziedzin życia, wykresy. Szef propagandy obiecał dostarczyć je w ciągu kilku dni. Przez dwa tygodnie codziennie dobijaliśmy się do niego. To wyszedł, to miał ważną konferencję, to znowu coś innego wypadło. Machnęliśmy ręką — widocznie zrezygnowano z broszury.

Wreszcie sekretarz dał znak życia o sobie. Zadzwonił i spytał... czy maszynopis gotowy, bo właśnie drukarnia ma luzy produkcyjne. Aż mnie zatkało.

— Nie rozumiem... Jak mogliśmy napisać broszurę bez żadnych pomocniczych materiałów? Dzień w dzień dzwoniliśmy do was, podawaliśmy nazwiska, mówiliśmy w jakiej sprawie, a wyście nie mieli dla nas chwili czasu!

— To co będzie?

— Doprawdy nie wiem.

— Aha. Czy to znaczy, że odmawiacie komitetowi?

— Niestety, wobec takiego potraktowania nas musimy zrezygnować.

Trzask rzuconej na widełki słuchawki. Poszedłem do naczelnego wylać przed nim żale. Rozmawiał przez telefon.

— Tak, tak... Co ja mogę zrobić? Chciałem jak najlepiej... Tak, dobrze, powtórzę mu... — skinął do mnie palcem, żebym nie wychodził z gabinetu.

Domyśliłem się z kim prowadził rozmowę.

— ...i powiedział, żeś mu się podłożył i żeby cię zawiadomić, że samochodu nie dostaniesz.

Zabiegałem wtedy o przydział używanego wozu spośród wycofywanych z ruchu przez komitet. Sekretarz, zanim jeszcze wynikła sprawa tej nieszczęsnej broszury, solennie przyrzekł mi to załatwić.

Po krótkim okresie czasu, gdy Władek, oddelegowany na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego „Kuriera Szczecińskiego", wrócił w 1956 r. do Łodzi — nasze drogi znowu się skrzyżowały. Orłowski awansował na naczelnego wskrzeszonego „Expressu", który po trzech latach znowu miał być popołudniówką. Ja, choć bardzo tego pragnąłem, nie dostałem tam etatu. Kto ciekaw dlaczego — niech czyta następny rozdział „ŁEI, MOJ I INNI". Poszedłem do innej redakcji, ale sercem lgnąłem do „Expressu". Władek namawiał mnie do współpracy. Zaproponowałem druk moich wspomnień dziennikarskich z okresu przedwojennego. Już po paru dniach „Express" zapowiedział je na pierwszej stronie. Ukazywały się regularnie pod stałym nadtytułem „Historie dawnej Łodzi". Napisałem ich ponad pół setki. Przychodziły listy od czytelników, podpowiadali mi tematy, zachęcali do kontynuowania cyklu. Drukowane w „Expressie" odcinki stały się zalążkiem pierwszego tomu „Reportera przed konfesjonałem". Chyba więc słusznie uważam Władzia Orłowskiego za ojca chrzestnego tej książki.

Nie bacząc na dąsy nowego szefa, patrzącego krzywym okiem na tę „kolaborację", coraz owocniej współpracowałem z „Expressem". Tłumaczyłem nowelki, pichciłem różne michałki. Popołudniówka podjęła kampanię domagając się występu w naszym mieście wielkiego łodzianina Artura Rubinsteina. Wyszukałem z archiwum nieznany, nie publikowany w żadnym zbiorku, wiersz Juliana Tuwima do genialnego pianisty. Wyszperałem reprodukcję portretu Iry Aldridge'a, Murzyna, najwspanialszego odtwórcy „Otella". Portret — jak ustaliłem — namalował Taras Szewczenko, którego łączyła z aktorem zażyła przyjaźń. Reprodukcja portretu w „Expressie" wywołała duże zainteresowanie. Niewtajemniczonym wyjaśniam: Ira Aldridge przed pierwszą wojną światową występował przejazdem w Łodzi, tu zachorował i nagle zmarł. Pochowano go na cmentarzu przy ul. Ogrodowej.

Z satysfakcją, choć i pewnym żalem, że nie mogę w tym czynnie uczestniczyć, obserwowałem osiągnięcia wznowionej popołudniówki. W okresie odnowy październikowej 1956 r. redakcja starała się szerzej, obiektywniej naświetlać pewne procesy polityczne i społeczne. Miał temu służyć m. in. własny serwis depesz z nasłuchu radiowego i agencji światowych — tak jak to robił „Express" w pierwszych latach po wyzwoleniu. Chodziło również o niedublowanie porannej prasy. Po kilku numerach zredagowanych na nową modłę Władka wezwano w trybie pilnym do Biura Prasy KC PZPR i zmyto mu głowę. A przecież kontrola prasy działała i gdyby coś „niebłagonadiożnego" dano do gazety, jak amen w pacierzu nie obeszłoby się bez ingerencji.

„Express" stanął w obronie „dzikich" lokatorów. Grupa zdesperowanych ludzi zajęła mieszkania w nowo wzniesionych blokach. Jak ustalili reporterzy, petentów długi czas odsyłano od Annasza do Kajfasza, mimo ich uzasadnionych pretensji. Naczelny znowu wysłuchał gorzkich słów na dywaniku. Jednakże sprawiedliwości stało się zadość: dzięki „Expressowi" część spośród pokrzywdzonych mieszkania otrzymała.

Podejmowane przez redakcję próby reform witali czytelnicy z zadowoleniem, rosła poczytność gazety, do której społeczeństwo nabierało coraz większego zaufania. Niestety, ilość zapisów w cenzurze, o tematach „tabu", po zmniejszeniu ich w Październiku, znowu poczęła niepokojąco rosnąć. Redakcja musiała zrezygnować z wielu cennych inicjatyw.

Łodzianie do dziś z sentymentem wspominają popularną akcję „Expressu", mającą na celu umuzykalnienie młodzieży. W Łodzi i w miasteczkach naszego rozległego wówczas województwa urządzano imprezy pn. „Spotkajmy się z polską piosenką". Ich inicjatorem, organizatorem i kierownikiem artystycznym w jednej osobie był dziennikarz „Expressu", Cezary Juszyński. Gazeta zamieszczała słowa i nuty, uczestnicy wspólnych zabaw śpiewali razem z aktorami. O powodzeniu akcji świadczą liczby: ponad 1000 spotkań w okresie dziesięciu z górą lat. Wkrótce kilka popołudniówek w kraju poszło za przykładem Łodzi.

Juszyński jest nieprzytomnie zakochany w piosence — bynajmniej nie platonicznie. Teksty dla naszych śpiewaczek i śpiewaków pisze już z górą trzydzieści lat, początkowo tworzył je sam, potem również do spółki ze swym kolegą redakcyjnym, Jerzym Panasewiczem, autorem wielu musicali i sztuk lalkowych dla dzieci, doskonałym szachistą, w którym fachowcy, po zdobyciu przez niego mistrzostwa w naszej narodowej kadrze młodzieżowej, upatrywali swego czasu przyszłego mistrza seniorów. Spółka autorska egzystowała długo jako „Jan Gwóźdź" napisała około setki piosenek oraz sporo tekstów estradowych. Sumptem jej ufundowana została nagroda w postaci wazonu w kształcie gwoździa, przyznawana corocznie z okazji festiwali piosenki. Ciekawa historia. Autorzy potraktowali ową nagrodę z przymrużeniem oka, ale od werdyktu jury III Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu w 1964 r., mocą którego ważono-gwóźdź przypadł Włodzimierzowi Sokorskiemu, ówczesnemu prezesowi Komitet do Spraw Radia i Telewizji, za... popularyzowanie polskiej piosenki na podległych mu falach eteru i ekranach tv — uczestnicy następnych festiwali poczęli ubiegać się o trofeum im. Jana Gwoździa.

Po trzech latach moje kontakty z „Expressem" ustały. Nawiązałem je z łódzkim ośrodkiem tv, dokąd przeniesiono Władka na stanowisko redaktora naczelnego. Wymagało to od niego konieczności przekwalifikowania się, poznania zupełnie nowej dziedziny. Dał sobie radę, Łódź coraz częściej trafiała ze swymi programami na antenę ogólnokrajową.

Do podjęcia przeze mnie współpracy z telewizją przyczynił się właściwie Adaś Bieńkowski, wówczas sekretarz redakcji „Expressu", autor popularnych postaci Polikarpa i Pelasi, występujących w jego wykonaniu i reżyserii na łamach popołudniówki. Telewizja nadawała cotygodniową, lokalną audycję pn. „Telesfor i Balbina". Adaś wykonywał rysunki, ktoś inny teksty. Ale ów „ktoś" nawalił i Bieńkowski poprosił mnie o doraźną pomoc. Starałem się wtedy o garaż. MZBM postanowił wznieść go na ul. Źródłowej, lecz gdy na miejsce przybyli robotnicy, żony milicjantów z sąsiednich bloków postawiły veto. Na placu mają się bawić nasze dzieci! Nie pomogły interwencje, przecież teren pod budowę garaży uzyskał legalną lokalizację — kobiety nie chciały o niczym słyszeć. Napisałem piosenkę na melodię przedwojennego szlagieru: „A ja ciebie nie oddam nikomu". Śpiewała ją na srebrnym ekranie Balbina, tańcząc jak czarownica na miotle:

A ja nie dam budować nikomu,

Choćbyś prosił na klęczkach, zaklinał,

Bo ja jestem panią w tym domu,

To mój teren, powietrze i glina..

Nazajutrz spotkałem znajomego oficera MO.

— To pan napisał te kuplety do telewizji, redaktorze?

— Tak.

— A o jakiej glinie pan wspomniał? — zrobił do mnie oko oficer.

— O normalnej. To bardzo gliniasty teren, łopaty nie można wsadzić. Proszę tam zajść i sprawdzić.

Jakoś uszło mi na sucho. Potem, za namową Władka, spreparowałem teksty do telewizyjnego kabaretu „A ku-ku?", prowadzonego przez Polę Wert. Audycję nadano w programie ogólnopolskim. Jak wynika z zachowanych przeze mnie recenzji, podobała się.

Ciągłe przetasowywanie przez propagandę kierowniczych stanowisk nie pozwoliło Władkowi na długo zagrzać miejsca w tv. Skierowano go do Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, też na szefa. Wytwórnia poszukiwała scenarzystów. Miałem już pewien dorobek. Łódzki „Sematar" zrealizował według moich scenariuszy pierwsze odcinki filmu animowanego dla dzieci „Zaczarowany ołówek". Władek zaproponował: pomyśl o czymś dla nas. Napisałem fabułkę średniometrażowego filmu aktorskiego pt. „Zawody, które umarły" O kataryniarzach, nauczycielach kaligrafii, posłańcach, zapowiadaczach kinowych (przy wyświetlaniu pierwszych filmów tłumaczyli oni publiczności przebieg akcji na ekranie), piławaczach drewna, wędrujących od mieszkania do mieszkania, szwaczkach reperujących w domu klienta bieliznę... Tym razem nic z tego nie wyszło. Realizacja filmu rozbiła się o... brak katarynki, mającej grać jedną z głównych ról.

Potem nasze drogi rozeszły się. Ja pozostałem przy warsztacie dziennikarza, satyryka, scenarzysty. Władek wszedł na ścieżki literackie. Zadebiutował sztuką teatralną „Sprawiedliwość w Kioto", wydał kilka powieści. Niedawno spytałem go o dalsze plany. Trzy następne pozycje książkowe złożył w wydawnictwach i myśli o nowych tematach, choć nie ma zbyt wiele wolnego czasu. Przyjął zaproponowane mu stanowisko redaktora naczelnego w Wytwórni Filmów Oświatowych, gdzie pracował przed kilku laty, poza tym udziela się społecznie, przez jakiś czas jako wiceprezes łódzkiego oddziału Zw. Literatów Polskich.

Kiedyś, gdy Władek Orłowski jako pierwszy wśród nas stał się właścicielem samochodu, sprezentowanego przez wuja z zagranicy, znaleźli się tacy, co mu pozazdrościli. To prawda, pierwszy zdobył samochód, ale też i pierwszy z licznego zastępu łódzkich dziennikarzy osiągnął coś cenniejszego: zaszczytny tytuł naukowy doktora nauk humanistycznych. Nie ukrywam mojej sympatii, uznania i szacunku dla Władysława Orłowskiego. Nasze kontakty, poczęte od lipnych czworaczków, utrwaliły się przez lata i okrzepły w najprawdziwszej, szczerej przyjaźni.

— *Nie dosiadajmy się, on jest radioaktywny.*
— *To straszne, skąd wiesz?*
— *Każdemu, kto chce czy nie, opowiada „rewelacje" z „Wolnej Europy".*

— *Chcielibyśmy coś zjeść...*
— *Już nic nie ma.*
— *To poproszę piwo.*
— *Niestety piwo podajemy tylko do potraw!*

Miasto aniołów i rozpusty

ERICH FOLLATH

Stolica Tajlandii — Bangkok, czyli po tajsku Khrung Thep — zyskała sobie już wiele przydomków i nazw. Mówi się o niej „Miasto Aniołów", co jest dosłownym tłumaczeniem oryginalnej nazwy, ale także „miasto występku", „stolica rozpusty", czyli mniej pochlebnie. Od wielu lat Bangkok zasługuje chyba jednak w pierwszym rzędzie na nazwę „stolica heroiny", a to z racji ogromnych ilości narkotyków w stanie surowym lub półprzetworzonym, przemycanych tędy na cały świat z osławionego „Złotego Trójkąta", leżącego na styku granic Tajlandii, Birmy i Laosu.

W „Złotym Trójkącie, u zbiegu granic Laosu, Birmy i Tajlandii, zbiera się co roku około 650 ton surowego opium. Narkotyk ten, przerobiony na silniejszą w działaniu heroinę, szmugluje się potem przez Bangkok na cały świat. Policja nie nie może wskórać przeciwko handlarzom z branży narkotykowej, ponieważ nie sposób zahamować całego procesu u źródła — nie można w żaden sposób przeszkodzić chłopom w uprawianiu opium, którego sprzedaż stanowi dla ich podstawę utrzymania. A metody działania handlarzy i przemytników szmuglujących narkotyki stają się coraz bardziej wyrafinowane i coraz okrutniejsze.

W dzielnicy nędzy — Khlong Toey — policja łapie narkomana, który ma przy sobie raptem trzy gramy heroiny. Mała płotka, ale może naprowadzić na jakiś większy ślad. A więc areszt śledczy i przesłuchania. Facet robi wrażenie cwaniaka. W porządku — chcesz wydostać się z tego śmierdzącego interesu, znasz jakiegoś znaczniejszego handlarza, czyli — mówiąc gwarą policji amerykańskiej — „pushera"? Gra jest warta świeczki — postanawia pułkownik Bamroong Kheourai ze specjalnej jednostki policyjnej do zwalczania handlu narkotykami oraz narkomanii. Decyduje się na wypuszczenie tego człowieka — ale jako informatora policji.

Po czterech tygodniach facet melduje się z powrotem u oficera śledczego, pracującego dla niepoznaki po cywilnemu. Zeznaje, że już wie, gdzie można kupić większą ilość „śnieżku". Rzuca na biurko śledczego zatłuszczony karteluszek z adresem i znika bez słowa — musi się ukrywać. Wie, że od tej chwili będzie żył w strachu, ponieważ syndykat przestępczy w Bangkoku nie ma ani cienia litości dla zdrajców. Ostatni informator pułkownika Bamroonga został przecież znaleziony na dnie Czao Phraja (właściwa nazwa rzeki Menam) z dziurą w plecach.

Po następnych dwóch tygodniach czekamy z pułkownikiem Bamroongiem i czterema jego ludźmi przed jednym z domków, dokąd pięć minut wcześniej udał się jeden z agentów, aby kupić heroinę, podając się za drobnego handlarza. Chodzi o to, aby „dealera" przyłapać na gorącym uczynku handlowania narkotykami.

Tropikalna ulewa bije w kładki łączące małe domki. Dzieci bawią się w szlamie u stóp nasypu kolejowego. W barze „Mosquito" po przeciwnej stronie ulicy — jednym z najsłynniejszych punktów handlu narkotykami — interesy idą już pełną parą.

— Teraz — mówi płk Bamroong i na jego rozkaz agenci wpadają do obstawionego domu. „Dealer" jest całkowicie zaskoczony. Szczęka na jego przegubach kajdanki. Na stole widnieje sześć małych tubek wypełnionych drobno sproszkowanym „śnieżkiem". Jest to heroina nr 4, czyli najlepszy gatunek — stopień czystości wynosi 90 proc. Ale chociaż policjanci ze specjalnej jednostki w następnych godzinach rozbierają cały dom dosłownie na kawałki, to ku swemu rozczarowaniu nie znajdują niestety ani śladu heroiny, poza tym, co już było na stole, czyli raptem 12 gramami heroiny. „Dealer" okazał się jednak płotką, bo cały towar nie jest więcej wart niż ok. 180 marek.

Pułkownik jest rozczarowany. Nie chce łapać takich płotek, ale wielkich handlarzy, mających międzynarodowe powiązania. W ciągu kilku ostatnich miesięcy tajlandzka służba do zwalczania przemytu narkotyków aresztowała pewną liczbę Australijczyków, Szwajcarów i Włochów, którzy kilogramami przewozili białą truciznę. Ale i tak nie udało się zastopować handlu „białą śmiercią", ani nawet dotkliwie go zredukować. W pułapkę wpadł również pewien tajlandzki handlarz, a jego przypadek dowiódł do jakiego stopnia perfekcji doprowadzono produkcję narkotyków: miał on przy sobie „towar" opatrzony znakami firmowymi wytwórni narkotyków i swojego syndykatu — był to znak pegaza — przy czym „towar" był ostemplowany przez... kontrolę jakości — stempel stwierdzał: „Kontrola jakości — gwarantowana czysta heroina nr 4".

Bangkok zawsze był jednym z najważniejszych punktów w światowym handlu narkotykami. Zajęcie w tej konkurencji pierwszego miejsca wiązało się jednak z rekordowymi zbiorami opium w rejonie „Złotego Trójkąta". W dżungli, na terenach mało dostępnych, chłopi z plemion Akha, Szan, Meo i Jao w 1980 i w 1981 roku zbierali rocznie po 650 ton tego „surowca" — surowego opium uzyskiwanego z suszonego soku makowego. Za pomocą stosunkowo prostych metod chemicznych można z tej ilości uzyskać 65 ton czystej heroiny, czyli ponad 10 razy tyle, ile potrzebuje co roku ok. 100 tys. narkomanów w RFN. Ten „towar" zagraża całej Azji Południowo-Wschodniej, Europie i Ameryce. Również we Frankfurcie i w Berlinie coraz częściej pojawia się „śnieżek" z Dalekiego Wschodu, obok tradycyjnie dostarczanych substancji narkotycznych z Turcji.

Od kilkudziesięciu lat rządy, organizacje międzynarodowe i eksperci od spraw narkomanii próbują doprowadzić do wstrzymania uprawy maku w rejonie „Złotego Trójkąta". W kilku pokazowych wioskach ekspertom ONZ udało się przekonać chłopów, aby zamiast maku uprawiali raczej krzewy kawowe lub groch. Również RFN włączyła się do tej akcji pomocy. Efekty wszystkich przekonywań są jednak niewielkie, ponieważ akcjami ONZ nie objęto nawet jednej czwartej spośród ok. 250 wiosek, w których mieszkają hodowcy makówek, a ponadto chłopom nadal zezwala się na dalsze uprawianie maku na małych poletkach. Przeciwko zniszczeniu pól makowych środkami chemicznymi wypowiada się natomiast rząd Tajlandii, ponieważ — jego zdaniem — chłopi produkujący opium, po utracie źródła zarobku mogą przyłączyć się do komunistycznej partyzantki.

Przez całe lata władze Bangkoku przyglądały się bezczynnie, jak syn chińskiego generała Khun Sa kierował całym handlem heroiną w „Złotym Trójkącie". Niektórzy politycy tajlandzcy zresztą nieźle na tym zarabiali. Dopiero pod koniec stycznia 1982 roku armia tajlandzka zaatakowała wreszcie główną twierdzę przemytników i siedzibę króla opium. Kilka dni trwała nieustanna walka między żołnierzami tajlandzkimi a prywatną armią Khun Sa; po obu stronach padło kilkunastu ludzi. W sumie jednak uderzenie armii tajlandzkiej okazało się ciosem zadanym w próżnię, ponieważ większość laboratoriów znajduje się obecnie po birmańskiej stronie granicy, gdzie również przeniósł się król heroiny z trzema tysiącami po zęby uzbrojonych ludzi. Stamtąd, nie nękany przez władze birmańskie, nadal kieruje całym handlem „białą śmiercią".

O rządzie Laosu mówi się, że współuczestniczy w międzynarodowym handlu heroiną poprzez rozmaitych pośredników, aby w ten sposób zdobyć potrzebne dla kraju dewizy. Takie podejrzenia słyszy się wśród wielu specjalistów od ścigania handlarzy i przemytników.

— Żaden interes na świecie nie jest równie lukratywny jak handel narkotykami! — podkreśla pierwszy sekretarz ambasady amerykańskiej w Bangkoku, Richard Hart, a zarazem wylicza, że: za kilogram surowego opium syndykat przestępczy płaci około 600 marek; po rafinacji otrzymuje się z tej ilości opium ok. 100 gramów heroiny, która na ulicach Bangkoku kosztuje ok. 2000 marek. Za tę samą ilość heroiny uliczni handlarze otrzymują w Europie ok. 50 tysięcy marek. Właściwy „konsument" płaci natomiast za tę heroinę ok. 250 tysięcy marek, przy czym do rąk dostaje na ogół zaledwie pięcioprocentowy roztwór. Ostatnie żniwa makowe w rejonie „Złotego Trójkąta" przyniosły dochód w wysokości ok. 160 miliardów marek.

Przy tak krociowych zyskach głównie handlarze i bossowie stają się coraz bardziej pomysłowi. W nocy i we mgle ładuje się heroinę u wybrzeży Birmy z małych łodzi rybackich na tankowce; heroina znika w bagażach turystów, którzy spędzają urlop na wyspie Penang lub w Phukhet; heroina przekracza też granice bez żadnej kontroli w bagażu dyplomatycznym. Niekiedy przewozi się heroinę w kontenerach wielkich firm spedycyjnych, innym razem w wydrążonych nogach od stołów z trzciny, kiedy indziej w okładce bestsellera. Wielu handlarzy negabuje turystów na lotnisku w Bangkoku i prosi o „małą przysługę" — przekazanie „przyjacielowi za granicą" małej paczuszki.

Dla potrzeb specjalnych transportów bossowie z Hongkongu i Amsterdamu wysyłają swoich zawodowców, którzy mają swoje sposoby: chowają heroinę w wydrążonych i na powrót zaszytych owocach lici (odmiana śliwki, ale znacznie większa), ukrywają „towar" w brzuchu rzekomo ciężarnej, w perukach lub we własnym żołądku połykając specjalnie spreparowane pojemniki z narkotykami. Ta ostatnia metoda jest jednak niebezpieczna — niedawno jeden z przemytników zmarł na skutek przedawkowania heroiny, ponieważ pojemnik rozpuścił się pod wpływem działania kwasów żołądkowych.

Najpotworniejszym ze wszystkich sposobów jest ten, jaki odkryto niedawno przez przypadek: handlarze porywali małe dzieci — uśmiercali je, patroszyli jeszcze ciepłe zwłoki i wypełniali pojemnikami z heroiną. Z takimi niby śpiącymi dziećmi próbowali następnie przekroczyć granicę między Tajlandią a Malezją. Syndykat przestępczy stale wynajduje nowe metody szmuglu. Nawet nowe połączenie lotnicze między Bangkokiem a Kantonem w ChRL zostało już przez przemytników odpowiednio „zainaugurowane", m.in. dlatego, że władze w Chinach nie miały dotąd żadnego doświadczenia w zwalczaniu takiego procederu.

Prawie wszystkie kraje zachodnie mają w Tajlandii swoich specjalistów z dziedziny walki z narkomanią i handlem narkotykami. Nie wysłała takich fachowców tylko Republika Federalna Niemiec, chociaż ambasada już od dłuższego czasu dopomina się o takiego specjalistę. Amerykanie twierdzą, że nie rozumieją takiego podejścia, skoro w RFN setki ludzi umierają na skutek nałogu narkotycznego. Wśród handlarzy i przemytników przyłapanych przez władze tajlandzkie obywatele RFN są jednak prezentowani — jest dziesięciu na ogólną liczbę 140 cudzoziemców odsiadujących wyroki w tajskich więzieniach za wykroczenia i przestępstwa związane z narkomanią.

Wyroki ferowane przez tajlandzkie sądy są bardzo surowe jak na europejskie normy prawne: samo zażywanie heroiny może pociągnąć za sobą karę od 6 miesięcy do 10 lat pozbawienia wolności. Jeśli ktoś ma przy sobie więcej niż 20 gramów heroiny, jest uważany za handlarza i musi liczyć się z tym, iż dostanie ponad 20 lat więzienia. Jeśli natomiast zostanie złapany ze 100 gramami heroiny, to dostaje albo wyrok dożywotniego więzienia, albo karę śmierci. A dostać się w Tajlandii do pudła oznacza nie telewizję, radio i książki w bibliotece — w Tajlandii więzienie to piekło.

Odwiedzamy więzienie Bang Kwang w Bangkoku, będące ośrodkiem penitencjarnym o najbardziej zaostrzonym reżimie i zarazem najbardziej ze wszystkich strzeżone. W celach mierzących 8 do 10 metrów przebywa 24 ludzi. Powietrze jest gęste, duszne i wilgotne, komary aż bzykają z uciechy. W nocy przychodzą szczury. Wszyscy więźniowie uskarżają się na złe jedzenie: codziennie mało wartościowy ryż i zupa na rybich ościach. Wielu więźniów jest chorych, a w budżecie więziennym przewiduje się na ochronę zdrowia przeciętnie 4 marki na rok per capita. Szczególnie ciężko odczuwają to nałogowcy. Nie ma żadnego programu odwykowego; stosuje się kurację radykalną — żadnych narkotyków ani leków, co oczywiście powoduje wrzaski, drgawki, majaki. Przed kilkoma miesiącami skazani cudzoziemcy zorganizowali strajk głodowy, domagając się lepszych warunków. Władze tajlandzkie pozostały nieugięte wskazując, że cudzoziemcom i tak powodzi się lepiej niż miejscowym więźniom: obcokrajowcy mogą bowiem zamawiać za własne pieniądze artykuły żywnościowe i pitrasić na kuchenkach gazowych. Odpowiedzialny za sprawy więźniów Herman Brecheisen z ambasady RFN w Bangkoku wskazuje: jesteśmy w kraju rozwijającym się — 30 milionów Tajów na wsi nie jada niczego oprócz ryżu i rybnej zupy. Dla wielu europejskich więźniów ośrodek penitencjarny w Bangkoku jest ostatnim miejscem na ziemi — lekarz więzienny ocenia, że dłużej niż 10—15 lat żaden z nich w tajskim więzieniu nie wytrzyma...

„DER STERN" ■

Być konsjerżką w Paryżu

ANNE CORBETT

Poczta od listonoszki — odebrana. Pudel — uciszony. Gość do któregoś z lokatorów — poinformowany, gdzie ma iść. Tak, Lucyna Pelergin opanowała sztukę robienia kilku rzeczy naraz i niewpadania w popłoch z powodu którejkolwiek z nich. Czyli ma tę właśnie umiejętność, jakiej oczekuje się od paryskiej konsjerżki.

Pani Pelegrin, 48-letnia Hiszpanka, mieszka przy bocznej ulicy odchodzącej od bulwaru Hausmanna, jednej z głównych arterii w centrum Paryża. Ona i jej mąż nie muszą na szczęście mieszkać w takich warunkach, jakie tu i ówdzie mają konsjerżki, tzn. w klitkach mało co większych od szafy, czy w pomieszczeniach, gdzie jest wieczna wilgoć. Pelegrinowie mają spory pokój, w którym można przyjmować gości, mają sypialnię, no i oczywiście „lożę", jak w Paryżu nazywa się pomieszczenie, w którym urzęduje konsjerżka. W budynku jest nowoczesna kanalizacja. Na drzwiach od ulicy zainstalowano elektronicznie zakodowany dzwonek. Jest to dobrodziejstwo. Nie daje wstępu włóczęgom. Pani Pelegrin musi doglądać dostojnego gmaszyska. Są tam boazerie i marmury. Pani Pelegrin zdaje relację:

— 4 klatki schodowe, każda ma 6 kondygnacji, na każdej dywan na schodach, nadmiar wszystkiego — bardzo duże okna (w utrzymaniu czystości pomaga mąż).

Jest 35 lokatorów, w tym 2 sklepy, drukarz, biura adwokackie. I wszystko trzeba dojrzeć. Pani Pelegrin wystawia pojemniki ze śmieciami o 6 rano, 3 razy w ciągu dnia roznosi pocztę. Odbiera paczki. Otwiera drzwi np. pracownikowi elektrowni, który odczytuje liczniki. Robi tysiąc innych drobnych rzeczy. Uważa, że jej płaca jest raczej niska.

Warunki (wynegocjowane w skali całego kraju przez związek zawodowy) są następujące: praca od 7 do 11 rano (w tej dzielnicy trzeba jednak wstawać wcześniej niż o 7 oraz od 2 do 20 po południu. Weekendy są wolne od południa w sobotę. Można iść na miesięczny urlop pod warunkiem, że się znajdzie zastępstwo. Na Boże Narodzenie premia równa miesięcznej płacy. Netto pani Pelegrin dostaje miesięcznie 2.750 franków (ca 460 dolarów). Dla porównania: we Francji płaca minimalna wynosi 3.300 franków (ca 590 dolarów), a przeciętna — 4.700 franków (tj. niespełna 800 dolarów miesięcznie).

Ale pani Pelegrin przynajmniej nie musi ubiegać się o wynajęcie mieszkania, o które tak bardzo trudno w Paryżu (gdzie nawet studentom zdarza się płacić ponad 1.100 franków komornego). Na dodatek jest okazja do poplotkowania — tradycyjne hobby konsjerżek. Pani Pelegrin patrzy mi prosto w oczy i chce zaprzeczyć. Ale akurat wpada do niej na pogaduszki przyjaciółka, też Hiszpanka. Pani Pelegrin już nie próbuje przeczyć. Tłumaczy się:

— Cóż, lokatorzy oczekują od nas, że będziemy wiedzieć, co się dzieje.

Staromodne konsjerżki są wciąż żywą częścią składową francuskiego folkloru. Można je zobaczyć koło kościołów w porze mszy, albo ujrzeć jak po południu zażywają słońca i rozmawiają o tym, co się przydarzyło. Są to przeważnie starsze kobiety, noszą fartuszki w kratkę lub wdowie suknie, a na nogach wełniane pończochy. Narzucają swoje własne reguły, których nikt nie śmie naruszyć. Np.: nie dotykać palcami szyb, nie wchodzić w zabłoconym obuwiu, nie spodziewać się żadnej usługi bez napiwku... W odróżnieniu od pani Pelegrin, która kiedyś pojedzie do wymarzonego przez siebie mieszkania w rodzinnym mieście Burgos, owe staromodne konsjerżki odczuwają psychiczną potrzebę trzymania lokatorów w ryzach. Dla tych kobiet jest to rekompensata, jedyna, za nędzne warunki mieszkaniowe i marną płacę (ponoć bardzo starym konsjerżkom płaci się zaledwie 550 franków, czyli około 90 dolarów miesięcznie). Jest to też jedyna obrona przed tymi, którzy chcieliby tłumaczyć wyraz „konsjerż" dosłownie, zgodnie z jego łacińskim pochodzeniem od „servus" (niewolnik).

Nowa generacja konsjerżek jest jeszcze bardziej narażona na złe traktowanie. Ich współczesna hierarchia ma charakter w dużej mierze narodowościowy. U szczytu są Hiszpanki i Portugalki (tych ostatnich jest najwięcej). Poniżej znajdują się Jugosłowianki i Turczynki. A na samym dole — Marokanki, kobiety algierskie, Tunezyjki. W mojej dzielnicy jest inteligentna, niezwykle zdolna konsjerżka, Marokanka, której w pozyskaniu autorytetu przeszkadzają: rasa i 3 dzieci.

— Dlaczego miałabym pozbyć się dzieci? — powiedziała mi kiedyś. — Czy Pani pozbyłaby się swoich?

Musi żyć z rodziną w 2 ciemnych, wilgotnych izbach. Dzieci cierpią wiecznie na bronchit. Nie ma mowy o tym, by wobec tej Marokanki obowiązywały warunki pracy wynegocjowane przez związki zawodowe. Przyjmuje pracę sprzątaczki to tu, to tam, aby dorobić do płacy męża (robotnika niewykwalifikowanego) i do tego, co sama otrzymuje jako konsjerżka. Dopiero niedawno — po 6 latach życia tutaj — ludzie ujęli się za nią i pomogli jej otrzymać przyzwoitą „lożę".

Korzenie instytucji konsjerżek tkwią głęboko. W mieście gdzie ludzie mieszkają przeważnie w domach czynszowych, właściciele potrzebują, by ktoś doglądał ich nieruchomości. Lokatorzy lubią też mieć na miejscu osobę, na której można by polegać. W miarę jak miasto się rozbudowywało i modernizowało, chętnych na mieszkanie konsjerżki było coraz więcej. Dziś, w nowoczesnych budynkach, planuje się taki lokal, by konsjerżka mogła mieszkać wraz z rodziną.

Do związku zawodowego należy niecałe 10 proc. konsjerżek. To im utrudnia szybką poprawę sytuacji i nie zmusza pracodawców do stosowania się do już obowiązujących warunków pracy. A jednak do zawodu konsjerżki garnie się mnóstwo ludzi. L'ECHO DES CONCIERGES (gazeta, która stworzono w imię obrony i gwoli informowania konsjerżek) zamieszcza całe kolumny ogłoszeń typu: „Poszukuję lożę". Coraz też częściej za tym zajęciem rozglądają się Francuzi. Wydaje się, że w końcu następuje znamienny przełom w nastawieniu społeczeństwa. Widać, że współcześni Francuzi sądzą, iż można to zajęcie uznać za należące do sfery usług, a nie za coś w rodzaju niewolnictwa. Widać też, że coraz więcej mężczyzn chce być konsjerżami. W małych domach lub w dzielnicach biur i sklepów można zredukować niektóre funkcje konsjerżek. Zastępują ją firmy zajmujące się sprzątaniem i elektronicznie zakodowane dzwonki. (...)

Trudno ubolewać nad tym, że to zajęcie staje się bardziej „cywilizowane". Ale miejmy nadzieję, że jego najlepsze cechy pozostaną. Dla przykładu, oto opowiastka: o sławetnej konsjerżce, która do niedawna rządziła w swojej dzielnicy, o młodej lokatorce Włoszce i o policjancie pełniącym służbę w pobliżu. Po wielu namowach dziewczyna zgodziła się na randkę u siebie o północy. Ale gdy ta godzina wybiła, stara pani była przed swoją „lożą", zanim drzwi od ulicy zdążyły zaskrzypieć. Młody człowiek wykrztusił:

— Proszę pani, ja jestem policjantem.

— Ja tu jestem policjantem — padła odpowiedź.

(THE GUARDIAN) ■

Foto: Archiwum

kolumna ajencyjna

Do ukochanych Konsumentów

Drodzy i ukochani Konsumenci, to jest Czytelnicy!

Brzydko jest się chwalić, jeżeli jednak — jak powiadają — sam się chwalić nie będziesz, nikt cię nie pochwali. Dlatego też chcieliśmy po prostu z całą skromnością zwrócić uwagę na długi szereg wysoce pozytywnych zmian, które wprowadziliśmy na tej oto kolumnie.

Przede wszystkim, zrywając z obrzydliwą fasadowością, zmniejszyliśmy nieco winietę co pozwoli nam drukować więcej rzeczy do czytania, a i oglądania również.

Po wtóre Szef Kuchni dostał taki wycisk, że w trymiga zmienił swoje idiotyczne hasło z pięknymi dziewczętami. — Co to za rymowanki — ryczeliśmy na niego — do patelni, do garnków, a nie do wierszyków! Tłumaczy się teraz z tego biedak po przeciwległej stronie tej strony ale odpowiednią adnotację ma już wpisaną do akt i jeżeli choć raz się jeszcze wychyli — fora ze dwora w trybie dyscyplinarnym!

Mając tak nędzny personel musimy oczywiście do co brudniejszych robót używać rodziny. Rubrykę „Narysuj sobie sam!" — w tym numerze akurat zawieszoną, ale jeszcze do niej wrócimy — powierzyliśmy na przykład kuzynowi. Zdolny chłopak, gdy pracował jeszcze w knajpie czytał co prawda mało, ale co to za czytanie po pijanemu. A trudno znów było od dziecka żądać, żeby tak obrzydliwą robotę jak patroszenie karpi czy przyrządzanie flaków wykonywał całkiem na trzeźwo.

A tu, proszę, jaka radosna zmiana! Malec przetrzeźwiał, rzucił się na „Słownik wyrazów obcych" i nie wiedzieć kiedy przegryzł się przez całą literę „A"; stąd właśnie z taką łatwością — i to prawie bezbłędnie — użył dzisiaj trudnego słowa „ambiwalentny", co jest do sprawdzenia w notatce o Science Fiction.

Małe te, rodzinne radości przeplatają się jednak, jak to w życiu bywa, z prawdziwie poważnymi kłopotami. Pracując w pocie czoła nie mieliśmy po prostu kiedy przeczytać naszej kolumny inauguracyjnej, a gdy zrobiliśmy to wreszcie — włos zjeżył się na głowie.

Same błędy, wszystko nie tak, wszystko na odwrót! Rysunek Peyneta miał się na przykład ukazać w ramce ale ramka „nie chciała się zmieścić", dlatego poszło bez ramki, a z rubryki „Dziś w karcie dań" wyleciało w konsekwencji zdanie stanowiące jakże eleganckie przejście od dziejów fotki dyrektora Sagana do pryncypialnego problemu stosowania bądź niestosowania ramek. Czort się w tym w rezultacie nie mógł połapać i nie dziwimy się czytelnikom, którzy mieli nam potem za złe.

A dlaczego tak, zapytajmy? A dlatego tak, że choć nasza KOLUMNA AJENCYJNA zełana została jako pierwsza, złamana została jako ostatnia, już nie „pięć przed dwunastą", a „pięć po dwunastej", tak że nie było już czasu na poprawki. I to się nazywa zielone światło dla rzemiosła"!

Teraz drobne wyjaśnienie. W wyniku tak zwanego pomieszania z poplątaniem, ale bez żadnej winy autora, Tadeusza Chróścielewskiego, zabawne wspomnienie z młodości pt. „Dlaczego nie tańczyłem przed ołtarzem bogini Veit" ukazało się niemal równocześnie w „Karuzeli" i na Kolumnie Ajencyjnej. Autor jest zakłopotany, my jednak — wniebowzięci, okazało się bowiem, że po dwóch tygodniach pracy w nowym zawodzie mamy równie dobry gust w wyborze tekstów, co wytrawny zespół redakcyjny „Karuzeli". A prawdziwie zabawną historyjkę — Drogi Panie Tadeuszu — warto przeczytać nie dwa, a nawet trzy razy!

• • •

Wreszcie taka sprawa. Mimo niedoróbek, wsypek i przekręceń nasza Kolumna zyskała sobie pierwszych entuzjastów. Jedna z czytelniczek, podpisana tajemniczo SIEROTKA MARYSIA domaga się na przykład zdjęcia Ajenta i to koniecznie towarzystwie personelu.

Otóż zdjęcia nie będzie: raz że jesteśmy skromni, dwa, że nie jesteśmy fotogeniczni, a personelu też nie należy zbytnio rozpieszczać. Tytułem rekompensaty proponujemy wszakże zdjęcie STRYJECZNEGO WUJKA AJENTA który jeszcze przed pierwszą wojną — jako niewinne niemowlę, dodajmy — wyemigrował za granicę, dorobił się i też prowadzi poważny interes, choć o nieco odmiennym charakterze.

Na zdjęciu powyżej: STRYJECZNY WUJEK (ten w okularach) Z PERSONELEM.

Co rzekłszy nadal polecam swoje usługi.

AJENT

HENRYK CZARNECKI — PCHŁA

Staroświecki, w meloniku, uliczny handlarz

Tutaj, tutaj rodacy! Ostatni cud medycyny! Jedyny w kraju i za granicą cudowny środek do walki z drobnicą! Jedynie nasz preparat niszczy bezboleśnie pchły, pluskwy i inne delikatesy, czyli motoryzację na własnym, odrzutowym napędzie!

Panienka się śmieje?... Że pchła to niby drobiazg?... Że pluskwa to jak domowe, oswojone zwierzątko i też ma prawo do życia?...

No to, wyobraźmy sobie proszę rodaków, że jesteśmy na tak zwanym przyjęciu. Nóżki zimne i ciepłe, śledź, sardynka i szynka i... nagle skubie nas pchła. I żeby to jeszcze gdzieś w dolinach popasało zwierzątko. Ale ono piersiki sobie upodobało, szyjkę nadżera, pod kołnierzyk nam się gramoli. Podrapać się nie można, bo rączki upaćkane jedzeniem i łatwo pobrudzić ubranko. A obok względów ekonomicznych jeszcze i honor towarzyski bywa obecny i nie wypada czochrać się plecami o futrynę albo się gimnastykować rękami po sobie... Jedynie kto ma nasz preparat może z dumnem czołem podążać na ucztę! W razie ataku wroga odkładamy z bonsuarem przybory do jedzenia, dyskretnie wycieramy paluszki o sukienkę sąsiadki i szczyptę preparatu wsypujemy nieznacznie za kołnierzyk koszuli, albo w inną dzielnicę, gdzie nam chwilowo przykro. Zapach preparatu rozchodzi się pod odzieżą i pchła zmuszona zostaje do ewakuacji. I oto po minucie już nam się robi wesoło, bo nasza sublokatorka bez decyzji przesiada się na inny autobus, czyli na nie posiadającą naszego preparatu ofiarę. I co się wówczas dzieje... Dużo się dzieje, ale bezpośrednio tego nie widać, bo nie wypada lecieć sąsiadce z teleskopem za biustonosz. Ale już po krótkiej chwili zaczynamy podskakiwać ze śmiechu, bo sąsiadka odkłada przybory i rozpoczyna osobiste tortury, czyli naukową, poranną gimnastykę bez udziału radia. Albo gania do kuchni na polowanie z miednicą. Ponieważ wszakże nie wypada gospodarzom zaglądać do garów maltretowanie odbywa się przy nas i za darmo mamy artystyczne występy ze striptizem na czele.

No, kto z państwa ma pchłę?!... Śmiało, rodacy! Pchła to nie ankieta personalna i nie potrzeba się wstydzić... Nikt nie ma?... No to weźmiemy służbowe. Kto z państwa na próbkę?... Państwo się boją, że nie wysiądzie?... Preparat z roczną gwarancją. Pryskaj, lalunia, w tłum!

Komu, komu, komu! Szybko, bo idę do domu. Tutaj, rodacy! Ostatni cud medycyny! Jedyny w kraju i za granicą cudowny środek do walki z drobnicą... (wychodzi w trakcie ostatnich słów).

Fraszki robotników

Z bardzo interesującego dwutygodnika „Twórczość Robotników" wydawanego w Warszawie przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury postanowiliśmy zapożyczyć kilka fraszek regularnie drukowanych w tym czasopiśmie na ostatniej kolumnie. Są dowcipne, celne, zawodowcy by się nie powstydzili.

AUTOKRATOM

Dobrze by było, by każdy minister
Lał w bak narodowy, a nie w swój kanister.

ZDRADA

Żonę z okulistą przyłapał w tym roku
Widać obce ciało ma nie tylko w oku.

Autorem jest JERZY SZULC — tokarz, pracujący w Przedsiębiorstwie Automatyki Przemysłowej „Mera-Pnefal" w Falenicy.

SEDNO

To nie świadomość
lecz spryt,
kształtuje dzisiaj byt.

ZDECYDUJMY

Panowie, dość tych pochodów!
Albo do tyłu? Albo do przodu?

Autor: JERZY GRABOWSKI, przez pewien okres pracował jako górnik i telemonter, obecnie jest działaczem kulturalnym na terenie województwa tarnowskiego.

Lektury przy jedzeniu

Kontynuując nasz śmiało zamyślony cykl „Lektur przy jedzeniu", w którym — przypominamy — zamieszczamy przepisy raczej niewykonalne, ale w czytaniu przyjemne i zdecydowanie pobudzające apetyt, sięgnęliśmy po książeczkę Marii Iwaszkiewicz i Stanisława Włodka „Kuchnia węgierska". (Wyd. KAW — 1975). Oto sympatyczny przepis pt.

TOKANY NA STAROWĘGIERSKI SPOSÓB

Produkty: 300 g cielęciny x 300 g wieprzowiny x 300 g polędwicy wołowej x 100 g wędzonego boczku x 100 g smalcu x 150 g ostrej papryki (piment) x 80 g pomidorów x 300 g śmietany x 30 g mąki x sól i papryka

Cebulę zrumienić na tłuszczu i dodawać co 20 minut mięsa pokrajane w podłużne plasterki zachowując taką kolejność: wołowinę, wieprzowinę, cielęcinę i boczek razem. Gdy mięso będzie prawie miękkie posypać solą papryką i resztą dodatków, dodać pomidory i paprykę w plasterkach. Na końcu wlać śmietanę z rozprowadzoną w niej mąką. Podawać z kluskami galuszka.

UWAGA CZYTELNICY!

Dzięki uprzejmości żony nie żyjącego już niestety Horacego Safrina, znakomitego satyryka i facecjonisty, uzyskaliśmy egzemplarz Jego książki „Przy szabasowych świecach — wieczór drugi" (Wydawnictwo Łódzkie 1981 rok).

Recenzji nie będzie, ta zachwycająco i urzekająco śmieszna książka jest bowiem po prostu nieosiągalna, już za tydzień — zaczniemy jednak cytować!

Czy to jest to ?

Poddani niewątpliwie słusznej krytyce za niezbyt dowcipne hasło „Piękne dziewczęta tylko u ajenta", bez chwili wahania wyciągnęliśmy jedynie słuszne wnioski i hasła — jak widać — już ani trochę nie ma.

Nowe hasło, będące śmiałą trawestacją sloganu reklamującego Coca-colę, ma w podtekście takie mianowicie pytanie: CZY TO JEST TO, CO BY SIĘ CZYTELNIKOM RZECZYWIŚCIE PODOBAŁO? Prosimy o uwagi, krytyczne również. Wszystkie listy — dodajmy — czytamy bowiem starannie, a potem dopiero wyrzucamy do kosza, nie korzystając (przynajmniej na początek) z rad starszych dziennikarzy, którzy z całym przekonaniem polecają kolejność odwrotną.

SZEF KUCHNI

My też mamy Science Fiction!

„Odgłosy" drukują opowiadania fantastyczne, my też wydrukujemy, ale lepsze, bo znacznie krótsze. Nie tak dawno czytaliśmy np. opowiadanie „Z palcem na spuście", nawet ciekawe, cóż, gdy autor potrzebował niemal pełnych dwóch kolumn, aby w końcu zdradzić, że ten, kto uważa się za człowieka, jest tylko robotem. Nasza autorka czyni niby to samo, ale — z kobiecym wdziękiem i na kartce maszynopisu.

Przy okazji chcemy też zdradzić, że do naszego patrona, czyli „Odgłosów" żywimy uczucia ambiwalentne, takie mniej więcej, jak sublokator do głównego lokatora. Kochamy, póki musimy, a wygryziemy — gdy się uda.

Zgodnie z logiką historii i prawami postępu uda się to gdzieś za dwa-trzy lata, a jeżeli będziemy się zgodnie starać, my — żeby bawić, „Odgłosy" zaś — żeby nudzić, to i wcześniej. Wówczas ukaże się prawdziwie interesujący „Tygodnik ajencyjny", zaś starej redakcji odpalimy na pociechę nie jedną, a dwie, czy może nawet trzy kolumny. Dziś brzmi to wprawdzie też jak Science Fiction, pożyjemy jednak, a zobaczymy, dziwniejsze rzeczy już zdarzyły się na tym najlepszym ze światów.

KUZYN AJENTA

Anegdoty Mułły Nasreddina

PSIA MODLITWA

Pewnego razu jakiś człowiek przyszedł do Mułły Nasreddina i powiedział:

— Mułła, na naszej ulicy jest pies, który nie daje mi żyć. Boję się go tak, że nie mogę wychodzić z domu. Słyszałem, że jest taka arabska modlitwa, wygłosisz ją — psu zamyka się pysk i ugryźć człowieka nie może. Proszę cię naucz mnie tej modlitwy.

— Najlepiej noś zawsze kij. Nie wierzę, żeby pies z waszej ulicy znał arabski.

Tłum. z rosyjskiego: Z. K.

ROBOT

John Smith oparł głowę na ręku i zapatrzył się tępo w okno. Za oknem zwisały ciemne, jakby włochate od zachłannego mroku niebiosa. Podziurawione maleńkimi centkami, myślał Smith, jakby pękła i rozprysnęła się na wsze strony kryształowa szyba, załamując światło w bilionach cząsteczek.

Nie wiem, jak to zrobić, jak powiedzieć Jeanowi Coquille, że właściwie nie istnieje, utrwalony przez firmę Caillon i spółka w krążącym, czyhającym i wirującym dookoła osi niebycie.

Jak powiedzieć, że został całkowicie zaprogramowany przez firmę, jako chodząca reklama jej wyrobów.

W tajnych archiwach firmy wiedzą o braku tożsamości Jeana, przedstawiciele koncernów zwiedzając laboratorium, w którym Jean pracuje, oglądają właściwie tylko jego.

Biedak nic o tym nie wie. Czaruje swoim aksamitnym miękkim barytonem kobiety, przekonane, że mają do czynienia ze stuprocentowym mężczyzną.

Świadomość tej swojej odmienności od innych ludzi, może go popchnąć do samobójstwa. Chociaż to robot, ale to mój przyjaciel.

Jak mu powiedzieć, że firma otacza go opieką, dzięki niej istnieje, nie starzejąc się ani nie chorując.

Jeżeli stąd wyjedzie, przestanie być potrzebny, rozłożą go na części.

Mówi, że odczuwa tęsknotę do natury. Może celowo zaprogramowali to jego załamanie psychiczne, a może to pomyłka programisty.

Chce się zaszyć na farmie w południowym Oregonie. Pomysł godny zblazowanego intelektualisty, a nie pokazowego play boya. Może mu się styki przepaliły i stąd ten zwariowany pomysł.

Nie może się z miasta ruszyć i kwita. Tu jak się rozładuje, będą wiedzieli, co zrobić, jak mu pomóc, w głuszy znikąd nadziei na ratunek.

Powiem Jeanowi, żeby poszedł do lekarza. Skarżył się ostatnio na bóle w krzyżu. Ten mu powie, jak z nim jest i żeby nie wyjeżdżał.

A jeśli lekarz nic mu nie powie, bo się będzie bał. Nie powie, że Jean jest niewolnikiem zdanym na łaskę i niełaskę firmy, co wtedy będzie?

Nikt nie wie, kto jest robotem, a kto nie jest. Wiedzą o tym tylko w biurze tajnego planowania. A jeżeli wszystkie roboty się domyślą, że są robotami i żyją sztucznym, pożyczonym życiem, zależnym od źródła energii. Jak wtedy będą pracować, świadome braku własnej woli?

Dokładnie nie wiadomo społeczeństwu, ile jest robotów i jakie stanowiska zajmują. Każdy może być robotem, może mój szef to także robot, a jeśli prezydent nie jest człowiekiem, lepiej o tym nie myśleć, bo strach ściska gardło.

BARBARA JANKE-BIANEK

1 Spojrzenie znad szachownicy

Kogo bije ZAiKS i kto dostał Niderlandy?

Zamierzam dziś dotknąć sprawy bardzo, ale to bardzo poważnej, zarazem smutnej raczej, a że ostatnio — tuż przed urlopem i podczas urlopu — trzymały się mnie tak zwane psie figle, z posępną determinacją postanowiłem podpisać ten tekst pełnym imieniem i nazwiskiem, prosząc zarazem o złożenie go czarną kojarzącą się z nekrologami, czcionką. Coś bowiem — mimo dobrej woli wszystkich zainteresowanych stron — zostało ukatrupione, a proces reanimacji może okazać się bardzo trudny.

Nie tak dawno otrzymaliśmy mianowicie tradycyjnę pisemko z ZAIKS-u, proszące o wypłacenie honorarium autorom których teksty tłumaczenia i rysunki „Odgłosy" przedrukowały. Do pisma dołączona była decyzja ministra Tejchmy z 30 czerwca br. (a więc — z naszego punktu widzenia — antydatowana, otrzymaliśmy ją bowiem w lipcu dopiero), powiadamiająca o wyprzedzającym rewizję Prawa Autorskiego podniesieniu stawek za przedruki.

No i bardzo dobrze. Zanim bez reszty wchłonęła mnie żurnalistyka, snułem się po łódzkim Kole Młodych Pisarzy (przyjaźniąc się na przykład — czas się wreszcie pochwalić — z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem czy Bohdanem Drozdowskim), mam więc wśród autorów i tłumaczy wielu dobrych kolegów, których lubię i szanuję, wiedząc też, że najczęściej wcale im się nie przelewa. I gdyby podpisując nowe stawki, minister Tejchma porozmawiał sobie uprzednio z prezesem RSW. Andruszkiewiczem, nakłaniając go, iżby takim „Odgłosom", ale nie nam jednym, fundusz honoracyjny podniósł — byłbym cały w skowronkach, gotów Ministra pod kolana ściskać. Niestety, zacny ten człowiek ofiarował autorom i tłumaczom Niderlandy, a teraz ZAiKS chce te Niderlandy wyegzekwować.

Co miałem zapłacić — zapłaciłem, sam bowiem jestem wieloletnim członkiem ZAiKS-u (oby nadal miał mnie w łaskawej opiece!), najbardziej niezawodnej instytucji w Polsce z którą tylko zupełny baran wdawałby się w procesy. Ale i koniec na tym, nikt nie znajdzie odtąd w „Odgłosach" przedruków płatnych przez ZAiKS, a nie znajdzie, bo mnie na to nie stać. Jestem jak ta krowa (czy koza, ktoś gwizdnął mi książkę i nie mogę sprawdzić), o której wspomina Lejzorek Rojtszwaniec: nie daję mleka nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego że po prostu nie mam.

Jak sięgnę pamięcią stawki — o tłumaczeniach myślę — były zawsze zróżnicowane, język rosyjski jest bowiem bardziej znany, niż amharski, zaś Joyce zapewne nie bez racji, uchodzi za trudniejszego w przekładzie, niż bracia Strugaccy. Nowa tabela o żadnym zróżnicowaniu nie wspomina, wprowadzając natomiast rozróżnienia między prasą lokalną a ogólnopolską, zarazem ustalone honoraria są tak oszałamiające, że znając budżety gazet, można się tylko uśmiać.

Mogę ewentualnie przedrukować wiersz (byle krótki!), czy fraszkę, na to nas jeszcze stać ale w przypadku prozy przeliczyłem sobie te linijki po 50 znaków drukarskich i wyszło że za tłumaczenie byle jakiej nowelki na całą kolumnę, musiałbym zapłacić dwa razy tyle, ile Wydawca zechciał na tę kolumnę przeznaczyć. Przeto dziennikarzom i innym autorom bezpośrednio współpracującym z „Odgłosami" mógłbym już potem oferować wyłącznie uścisk ręki, ale wątpię, czy przystaną na tak gwałtownie zradykalizowaną formę zapłaty.

Gdyby sprawa rozgrywana była na szachownicy, zaryzykowałbym takie porównanie. Partner, ni stąd, ni zowąd, stawia sobie nowego hetmana mówiąc: I co pan na to, panie kolego?

A ja: — Dziękuję, poddaję się, idę pograć w ping-ponga!

Otóż: dziękuję, poddaję się proszę na mnie, tj. na „Odgłosy": nie liczyć (a wiem skąd, inąd, że kierownictwa niektórych przynajmniej łódzkich gazet codziennych też podjęły już analogiczną decyzję). Przedruków po prostu nie będzie i tłumacze, którzy istotnie dostawali honoraria skromne (ale jednak dostawali!), teraz nie otrzymają żadnych. Z tymi zaś, którzy tłumaczyli na bezpośrednie zamówienie pisma, będę musiał przeprowadzić renegocjacje.

— Drogi kolego — powiem — stawki wzrosły, ale mój budżet nie. Czy chce pan tłumaczyć za honoraria w starej wysokości? Nie?! To, cóż, żałuję ale muszę zrezygnować z ogromnie miłej współpracy.

Na początek wycofaliśmy się na przykład z ustnej umowy z warszawskim SFAN-CLUBEM, który miał nam przygotowywać w dużej mierze oparte na tłumaczeniach dwie co tydzień kolumny fantastyki. Być może, młodzi, zapaleni ludzie zrozumieją sytuację pisma, ale muszę z nimi przedtem na ten przykry temat raz jeszcze porozmawiać. W ogóle czeka mnie — i nie tylko mnie, cała polska prasa jest w identycznej sytuacji — wiele przykrych rozmów, odnoszę jednak wrażenie, że próbując (za zgodą samego ministra, co prawda), dobrać się do Niderlandów ZAiKS uderzył swoich członków tłumaczy zwłaszcza, po kieszeni. Przedtem wpływały na ich konta drobne może, ale sumujące się przecież, kwoty z całej Polski, teraz lawina przedruków zacznie się po prostu kończyć...

Osobiście wolałbym dostawać mało i stale, niż stale nic, ale, jeżeli ZAiKS nie wprowadzi poważnych ulg dla tytułów mniejszych, słabszych, będących dopiero na dorobku — to NIC stanie się przykrą rzeczywistością.

JERZY PANASEWICZ ■

2 Lewym okiem

O krowach i sleepingach

Zakończony niedawno spis rolny wykazał, że mamy w kraju prawie 12 milionów sztuk bydła, w tym 5,8 miliona krów. Nie jest to za dużo: licząc bardzo grubym ołówkiem, nasze krowy powinny dawać trochę więcej niż półtora litra mleka dziennie na głowę mieszkańca. Z tego trzeba jeszcze zrobić masło, sery, śmietanę i różną inną mleczarską konfekcję. Do wypicia zostaje nie za dużo. Ale niechby to chociaż było mleko! Takie, jakie piłem parę lat temu w Finlandii i którego smak parę lat świetnie pamiętam. Tam jest w sprzedaży detalicznej 11 (jedenaście!) rodzajów mleka i śmietany. W każdej chwili i w każdym sklepie można dostać dowolny rodzaj. Co za smak!

Naszego, tego które stawiają mi co rano pode drzwiami ze wściekłym hałasem — i słusznym, bo dlaczego ja mam spać, kiedy ktoś inny dźwiga te ciężkie flachy po piętrach — nie daje się żywcem pić. Czasami — dość często — mleko ukradną i sprawa jest z głowy. Jeśli nie ukradną, zastanawiamy się, co z nim zrobić. Pić się nie daje, bo po prostu paskudnie śmierdzi. Odstawione na bok — zmienia się po paru godzinach w kłębek białej, pozbawionej smaku waty, pływający na wierzchu żółtawej cieczy, nie zasługującej na miano serwatki. Przeważnie robimy z tego twaróg. Małą grudkę twarogu z paru litrów mleka. Jest bledziutki, anemiczny i aż dziwne — wciąż jeszcze i tak lepszy od tego kupowanego na wagę.

W skupie płaci się rolnikom jak wiadomo średnio 15 złotych za litr. Można więc niczego nie siać, nie uprawiać, nie hodować, mieć tylko cztery krowy. Roboty przy nich na pewno nie starczy na osiem godzin dziennie. Czysty dochód (za samo mleko, nie licząc przychówku, uboju itd.): 18 tysięcy złotych miesięcznie, nie tak źle. Za podwyżką cen skupu i cen detalicznych miał iść asortyment i — przede wszystkim — jakość. Nic z tego. Pijemy herbatę, dla dzieci szukamy skrzętnie proszków mlecznych, najlepiej zagranicznych. Na to przyszło „mlecznemu mocarstwu", jakim zaledwie dwa lata temu był nasz kraj.

* * *

Miejsce sypialne w pociągu kosztuje 500 złotych. Od ładnych paru lat nie korzystam z takich miejsc, bo ich nie ma i po podwyżce cen też nie będzie. Gdyby cena miała równoważyć popyt z podażą, musiałaby wynosić ... nie, to się nie da obliczyć. Nie da się, bo podaż prawie nie istnieje, a tę co jest i tak zaangażuje zawsze popyt urzędowy: urzędnik „na delegacji" zapłaci przecież każdą cenę, bo to nie on płaci, tylko państwo. Poprawią się wskaźniki w PKP (minimalnie), pogorszą — w całym aparacie biurokratycznym, gdzie fundusz delegacyjny obciąży koszty produkcji, usług itd.

Pięćset złotych za parę godzin leżenia w pociągu, to więcej niż opłata za całą dobę w hotelu. Myślę, że koszt urządzenia i eksploatacji ławki w wagonie kolejowym. Koszt ruchu czyli „przemieszczenia" pomijam, bo powinien być zawarty w cenie biletu za przejazd. Czy za tą sześciokrotną zwyżkę ceny pójdzie także podniesienie jakości? W jaki sposób? Przecież to będą te same stare wagony z porozbijanymi, nieczynnymi toaletami, bez wody, bez wentylacji, z zepsutym ogrzewaniem i oświetleniem. A na deficyt przedsiębiorstwa PKP te ceny i tak nie wpłyną, bo tam się liczy na miliardy. Pozostaje powiedzieć sobie jeszcze raz: „a niech tam sobie!" i nadal nie jeździć sypialnymi wagonami, albo jeszcze lepiej: w ogóle nie jeździć. Pradziadowie nie jeździli koleją i może dlatego zawsze zdążali na czas, gdzie trzeba...

* * *

„Przegląd Tygodniowy" podał, że na targowisku w Lublinie można kupić „Trędowatą" za 6 tysięcy złotych (w maszynopisie), a „Sztukę kochania" Wisłockiej — za 5 tysięcy. Nie wiem, kto to kupuje. Natomiast z artykułu Władysława Majewskiego w „ITD" z 27 czerwca wiem, kto kupuje czasopismo „Chemical Abstracts" płacąc 5 tysięcy dolarów za egzemplarz. Cóż, jeśli taka jest cena, a pismo potrzebne. Ale to pismo kupuje się w 40 egzemplarzach! Za 200 tysięcy dolarów! Czy nie można zwyczajnie jednego egzemplarza powielić fotograficznie, jak zapytuje słusznie pan Majewski? A od siebie dodajmy, że fachowcy z Lublina i z innych targowisk chętnie się tym zajmą!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK) ■

3 Sport

Szacunek i uznanie

Człowiek jest takim stworzeniem, że lubi być chwalony. Czasami nadmiernie. Nie lubi natomiast przygany, krytyki, wytykania błędów. A aniołem — jak wiadomo — nie jest. Oj, nie jest. Z tego też powodu — że lubi pochwały — czasem drobny gest, jakaś pochwalna uwaga, docenienie czyjegoś wysiłku może czynić cuda, niewątpliwie zachęca do dalszej pracy, do dalszego wysiłku. (Kierownictwo redakcji mamy inteligentne, ale nie wiem, czy wezmą te uwagi do siebie i zaczną nas chwalić). Piłkarzy można powiedzieć uhonorowano po Mundialu. Spotkali się z przedstawicielami najwyższych władz państwowych i partyjnych. Były gratulacje, ordery i odznaki. Później się wszyscy rozjechali do domów.

Prasa sportowa doniosła o uhonorowaniu piłkarzy CWKS Legia Otrzymali Odznaki Honorowe „Za zasługi dla Warszawy". Również podobnie uhonorowani zostali piłkarze ze Śląska. Otrzymali oni złote odznaki „Zasłużonemu w rozwoju województwa katowickiego". Z Łodzi pojechało na Mundial pięciu: czterech z RTS Widzew i jeden z ŁKS. Wszyscy oni odegrali na Mundialu znaczną rolę Są współtwórcami sukcesu polskiej drużyny. Kilku z nich niedługo wyjedzie z Polski. Kiedy piszę ten felieton nie dotarła do mnie wiadomość, aby jakoś skwitowano w Łodzi ich niewątpliwe zasługi. Nawet Jan Ciszewski podkreślił w sprawozdaniu — co mu się rzadko zdarza — o łódzkiej przynależności klubowej czołowych piłkarzy polskiej reprezentacji.

Z Janem Ciszewskim — to osobna sprawa. Oto — jak napisał w „Sporcie" felietonista podpisujący się Stoper III — Jan Ciszewski postanowił „zawiesić mikrofon na kołek". Inaczej, przestać pełnić rolę sprawozdawcy piłkarskiego. Powodem stała się krytyka, z jaką spotkała się, w prasie i wśród telewidzów, jego mundialowa sprawozdawczość.

Nie szczędziliśmy mu krytyki — to prawda. Sama parę razy krytycznie o sprawozdaniach Jana Ciszewskiego wyrażałam się (i to nie tylko przy okazji tegorocznych mistrzostw świata. Słynne stało się jego Peruuu! Słynne były jego pomyłki. Ale żeby zaraz wieszać mikrofon na kołku?

Jan Ciszewski ma prawo do takiej, czy innej decyzji. Może mu się krytyka nie podobać, może się na publiczność, na prasę i telewidzów obrazić. Wszystko mu wolno. Ale myślę, że rzecz jest zupełnie w czym innym. Otóż Stoper III przypomina w felietonie zatytułowanym „WIELKI CIS" I JANKOWIE MUZYKANCI!" całą plejadę znakomitych sprawozdawców radiowych, że wymienię spośród nich tylko Wojciecha Trojanowskiego, Witolda Dobrowolskiego i Bohdana Tomaszewskiego. Są zresztą wśród nich i łodzianie: Jarosław Nieciecki — sprawozdawca radia w Wilnie jeszcze przed wojny, później dziennikarz „Dziennika Łódzkiego", Ludwik Szumlewski i Arnold Borowik z Polskiego Radia w Łodzi. Warto też przypomnieć łodzianina Bogdana Tuszyńskiego, który ostatnio dał się słyszeć w radio w słynnym już spotkaniu drużyn „Lata z radiem" z „Trójką". Kto nie słyszał lub nie widział migawek w telewizji niech żałuje. Stoper III nie bez kozery przypomina sprawozdawców radiowych. Radio stworzyło szkołę. Radiowi sprawozdawcy wychowywali kadry swoich następców. Zresztą i Jan Ciszewski nazwany przez Stopera III „Wielkim Cisem" — wyszedł spod opieki i szkoły Witolda Dobrowolskiego, który miał twardą rękę, potrafił uczyć i wychowywać młodszych kolegów. Telewizja czegoś takiego nie dorobiła się. Szkoły nie stworzyła, nawet metody własnej nie stworzyła.

Kto słucha „Porannych sygnałów" lub „Lata z radiem" może się przekonać, że radio nadal wychowuje kadry, wypuszcza na głęboką wodę — tak to się mówi — młodych, daje im do ręki magnetofon i każe chodzić po mieście, szukać tematów, dzwonić z miasta do redakcji i opowiadać słuchaczom, co się akurat rano dzieje w Warszawie. Telewizja korzysta szczodrą ręka z tego, czego się dorobi radio. Może w ośrodkach lokalnych TV jest trochę inaczej, mniejsze tu zespoły radiowe, trzeba więc samemu dbać o wychowanie kadry, o następców. W Warszawie jest inaczej. Można z radia przenieść do telewizji. I po wszystkim.

Otóż właśnie nie. Myślę, że Jan Ciszewski poniósł klęskę, jeśli to jest rzeczywiście jego klęska, dlatego, iż w gruncie rzeczy pozostał sprawozdawcą radiowym. Trzeba mieć szacunek i uznanie dla jego ogromnej wiedzy, umiejętności, doświadczenia. Ale telewidz, mający przed sobą ten sam obraz co i sprawozdawca, oczekuje czegoś innego, czegoś więcej i tego nie otrzymuje. Może właśnie dlatego rozczarowuje się i całą winę za braki całej służby sprawozdawczej, albo jej większej części, zwala na głowę biednego Jana Ciszewskiego. Jego klęska — jeśli to jest klęska — jest klęską całej sportowej sprawozdawczości telewizyjnej, a właściwie jej braku.

Nie ma więc się czego obrażać Panie Janie! Popatrzmy na to szerzej. Zobaczy Pan, za jakiś czas pożałujemy, że Pana nie słychać i widać. A może o to Panu i chodzi?

BOGDA MADEJ ■

4 Zdarzenia i zwierzenia

Lektury na urlop

Kiedyś w „koszmarnych czasach gierkowszczyzny", wyjeżdżając na urlop do najbardziej nawet odległej dziury bez kina, biblioteki i gospody ludowej miał człowiek do dyspozycji zawsze kiosk „Ruchu" z ogromną stertą najprzeróżniejszych gazet. Lekturę na lato zapewniały nam czasopisma.

Dziś urlopowe finanse nie pozwalają na taką rozrzutność i trzeba dokonywać twardej selekcji. Ale co wybrać? Wnosząc z „odgłosowego" przeglądu prasy należałoby przede wszystkim wybrać „Przegląd Tygodniowy", jako że jest to tygodnik najczęściej w owym przeglądzie cytowany. Niestety — choć pewno narażę się pracodawcy — uważam to pismo za nudne, a jego formułę za zbyt wydumaną, choć podobną formułę — jakże świetnie — realizował w „Kontrastach" niegdyś Klemens Krzyżagórski. Jeszcze jeden dowód na to, że formuła ważna, ale ważniejszy człowiek, który ją realizuje.

Obecnie, po paru miesiącach, można już określić, które czasopisma dotrzymują kroku wydarzeniom. Ani „Polityka", ani „Życie Literackie" nie obniżyły poziomu, choć z tej pierwszej zniknęło — z własnej woli zresztą — parę świetnych piór.

Po krótkiej przerwie odrodziły się o wiele lepsze „Argumenty" mimo tej samej w zasadzie redakcji. Renesans „Argumentów' inne pisma powitały cierpko i złośliwie. A to prof. Kuchowicz ze swoim erudycyjnym esejem im nie odpowiada, a to felietonistkę Annę Błazucką uważają za chłopa — słowem typowe grymasy konkurencji.

Nie podobał się konkurencji także pamiętnik jasnowidza, choć przecież przed laty racjonalista Putrament drukował w „Literaturze" wyznania Ojca Klimuszki i trzęsienia ziemi nie było. Dobrze bowiem jeśli dobra gazeta ma jakiś sprytny „haczyk" na czytelnika, który wyda parę złotych na jasnowidza, a przy okazji przeczyta parę innych tekstów.

A nawiasem mówiąc Anna Błazucka chłopem nie jest tylko piękną kobietą, o czym wiem nie od mężczyzny, lecz od kobiety, co świadczy dowodnie za prawdziwością tej opinii. Wiemy przecież jak trudno kobiecie wykrztusić podobną ocenę o innej kobiecie. A że jest świetną felietonistką to już można sprawdzić samemu za 20 zł.

Wreszcie „Tu i Teraz". Pismo, które od pierwszego numeru udowadnia, że redagowane jest przez fachowców. Pismo, w którym od początku znalazł się „haczyk" na wysokim poziomie, bo nieznana powieść Bułhakowa. Pismo, w którym ostro polemizuje się na istotne tematy — polemizuje się także z naczelnym, czasem bezpardonowo, i naczelny to puszcza. Odwykliśmy od takiej redaktorskiej klasy.

Oczytani w pismach powiedzą, że jestem nieobiektywny, bo zarówno w „Argumentach" jak i w „Tu i Teraz" czasem publikuję. Mogę odwrócić to twierdzenie. Drukuję tam, bo wiem są to dobre czasopisma.

Nie drukuję w „Polityce", „Życiu Literackim", „Radarze" (najlepsze dziś pismo dla myślącej młodzieży, bijące na głowę „Gazetę Młodych", „Razem" wziętą z „ITD"...) — a przecież tydzień w tydzień pięć i pół dychy przekazuję za te pisma prezesowi Andruszkiewiczowi (niech mu „teczki" lekkie będą.).

Na pytanie zatem o prasowe lektury na urlop odpowiem: „Róbcie ludzie „zrzutkę" co piątek po dwie dychy — za stówę macie dobrą lekturę na cały tydzień".

JERZY WILMAŃSKI ■

Starzy towarzysze zapisują „nową kartę"...

HENRYK SROCZYŃSKI

Czterech spośród siedmiu członków Stałego Komitetu Biura Politycznego KC KPCh przekroczyło bądź zbliża się do osiemdziesiątki. Są to: 85-letni marszałek Je Cien-ing, który musi korzystać z pomocy, gdy pokazuje się publicznie, 81-letni Czen Jun, który choruje i nie może pracować, 78-letni Teng Siao-ping i 77-letni Li Sien-nien, złożony poważną chorobą. Nieco młodszy, ale również chory, jest piąty członek Stałego Komitetu, b. przewodniczący, Hua Kuo-feng.

Średnia wieku kadrowców na szczeblu ministerialnym wynosi 64—65 lat, zaś wśród całej kadry kierowniczej w Chinach dominuje wiek powyżej 55 lat.

„Składane przy wstępowaniu do partii przyrzeczenie o tym, iż będzie się przez całe życie walczyć o doprowadzenie rewolucji do końca nie należy rozumieć iż oznacza to, że można pozostawać na stanowisku dożywotnio" — pisał dziennik „Żenmin Żypao" (5 marca br.).

Problem dlaczego tak wielu działaczy broni się przed opuszczeniem swego stanowiska i przejściem na emeryturę, zajmuje w ostatnich miesiącach wiele miejsca w chińskiej prasie. Chęć dożywotniego piastowania stanowiska tłumaczona jest przede wszystkim względami ideowymi, następnie ambicjonalnymi, a na ostatnim miejscu — względami materialnymi. Większość, która uważa iż dręczyłoby ją sumienie partyjne gdyby opuściła swe stanowisko przed śmiercią, jest adresatem wielu artykułów publicystycznych i audycji radiowych oraz telewizyjnych.

Interesujące jest jakich używa się w tej kwestii argumentów. „Jeśli pominąć sprawę spadającej z wiekiem wydajności, to trzeba pamiętać, iż tworzeniu się niepisanego prawa dożywotniego piastowania stanowiska towarzyszy kult jednostki i frakcyjny podział ← pisze „Żenmin Żypao". Ludzie mogą wtedy zacząć traktować wolę jednego człowieka jako wolę ogółu, kochać tylko to, co on kocha i nienawidzieć tego, czego on nienawidzi".

Jako przykład „wielkoduszności towarzysza", który odmówił przyjęcia stanowiska, gazety przedstawiły sprawę Teng Siao-pinga (nie wymieniając jednak jego nazwiska). W jednym z artykułów zatytułowanym „Z radością widzimy jak stary towarzysz zapisuje nową kartę" można przeczytać, że napawa optymizmem fakt, iż towarzysze, którzy odchodzą na drugą lub trzecią linię frontu, aktywnie pomagają w selekcji swych następców i wysuwają odpowiednie kandydatury. Jest to zjawisko nowe „albowiem w historii naszej partii po raz pierwszy zaczęto problem ten rozwiązywać w skali państwa i według opracowanego systemu".

I dalej... „bardzo wzruszający jest fakt, iż stary gwardzista, proletariusz rewolucyjny, jako pierwszy przystąpił do działania i swym czynem dał wspaniały przykład wszystkim towarzyszom partyjnym. W czerwcu 1981 r. na VI Plenum KC, które miało historyczne znaczenie, ten towarzysz, cieszący się wysokim autorytetem w kraju i za granicą, mógł zająć kierownicze stanowisko w partii (proponowano Teng Siao-pingowi funkcję przewodniczącego KC KPCh). Jednakże uparcie odmawiał i zarekomendował na to czołowe stanowisko towarzysza od siebie młodszego, z mniejszym doświadczeniem.

Manewr na szczycie

Rotacja i odmładzanie kadr w Chinach w części już nastąpiły. Bieżąca władza przechodzi w ręce „pokolenia przejściowego" to jest sześćdziesięciolatków wchodzących obecnie w skład sekretariatu KC KPCh i prezydium rządu. Oni też mają przygotować proces dalszego odmładzania kadr.

Wielkie znaczenie dla przyszłości Chin mają mieć zapowiedziane poważne zmiany strukturalne we władzach partyjnych i państwowych. Projektuje się powołanie czterech powiązanych z sobą, ale niezależnych ośrodków: przewodniczący KC KPCh jako szef aparatu partyjnego, przewodniczący CHRL jako głowa państwa (tylko funkcje reprezentacyjne) oraz Rada Wojskowa jako zwierzchnik armii. Tym samym nastąpiłoby wyraźne oddzielenie aparatu państwowego od administracji państwowej oraz wydzielenie wojska z kompetencji jednego ośrodka. Podjęta już reorganizacja aparatu partyjnego nie przewiduje wydziałów równoległych np. rolnictwa, przemysłu czy kultury, które kontrolowałyby prace resortów, lecz tylko takie wydziały, które zajmowały się np. sprawami ideologii, stosunków międzypartyjnych czy programowaniem linii partii w kwestii rolnej. Kierownicza rola partii ma być realizowana poprzez usadowienie działaczy partyjnych na kierowniczych funkcjach w aparacie państwowym.

Podczas najbliższego — XII Zjazdu KPCh, przewiduje się powołanie Komitetu Doradczego (jak gdyby rady seniorów). W skład tego ciała składającego się z weteranów ruchu rewolucyjnego, „którym sędziwy wiek nie pozwala na wykonywanie codziennych obowiązków, ale nie przeszkadza jeszcze w udzielaniu porad młodszym towarzyszom", mają wejść najstarsi towarzysze ze Stałego Komitetu Biura Politycznego KPCh: komitet ten uległby likwidacji. Korespondenci zagraniczni przebywający w Pekinie stwierdzają, że już przed ostatnim plenum KC KPCh (w czerwcu ub. roku) poważnie był zaawansowany plan utworzenia Komitetu Doradczego, jednakże został on zablokowany przez wpływowe koła wojskowe, gdyż tą drogą — ich zdaniem — zostałby wyeliminowany z gremium kierowniczego marszałek Je Cien-ing. Powszechne jest przekonanie, że Teng Siao-ping mimo wszystko przeforsuje ten plan na najbliższym zjeździe partii. W zamierzeniach Tenga leży bowiem rozdzielenie władzy aparatu partyjnego na trzy organy: KC, który sprawowałby władzę wykonawczą, Komitet Doradczy i Komisja Dyscyplinarna.

Nie ulega wątpliwości, że zamysł zlikwidowania Stałego Komitetu Biura Politycznego jako najwyższej władzy w partii wiąże się również z zamiarem Tenga odsunięcia od stanowisk nieprzychylnych mu polityków: b. przewodniczącego KC, który był protegowanym Mao Tse-tunga, Hua Kuo-fenga oraz marszałka Je Cien-inga. W ogóle dokonywane obecnie w Chinach zmiany kadrowe na wszystkich szczeblach hierarchii partyjnej i państwowej przybrały rozmiary generalnej czystki. W wielu oficjalnych wypowiedziach wręcz się stwierdza, że istnieje konieczność wykluczenia wszystkich zwolenników „bandy czworga" i zagrodzenia im drogi ku stanowiskom. Obserwatorzy polityczni w Pekinie uważają, że rozpoczęła się być może ostateczna rozprawa z tymi, którzy popierali ultralewicowy kurs pani Ciang Cing.

Sukcesja i skutki

Korzenie dokonywanych obecnie zmian w strukturze władzy i zmian kadrowych w Chinach tkwią właśnie w „rewolucji kulturalnej". Zbyt wiele było uproszczeń w przedstawianiu przyczyn i skutków tej rewolucji, nie wszystkim więc poza Chinami jest dziś łatwo zrozumieć czym rzeczywiście zapisał się w tym narodzie „wstrząs proletariacki".

Mao uważał, iż w przeciwieństwie do Rosji burżuazja i inteligencja chińska, „które doznały tyle prześladowań od imperialistów" zaakceptowały ustrój socjalistyczny jako ostateczny. Było to zjawisko bardzo pozytywne, gdyż burżuazja i inteligencja jako jedyne grupy w chińskim społeczeństwie posiadały nowoczesną kulturę, której kraj tak potrzebował. Z czasem jednak Mao dostrzegł, że kadrowcy w partii zaczęli się przekształcać w „nową rasę panów", całym swym ciężarem spoczywającą na barkach ludu" i że inteligencja pochodzenia burżuazyjnego w kontakcie z nimi zamiast się radykalizować pogłębiała swe elitarne przekonania, co było nie do pogodzenia z „linią mas". W tej sytuacji proklamowanie rewolucji kulturalnej miało na celu, poprzez wstrząs od dołu, przekształcenie zarówno kadry „która wkroczyła na drogę kapitalistyczną", jak i inteligencji.

Wiele faktów wskazuje na to, że wielkiemu przewodniczącemu nie chodziło o ukaranie kadry i inteligencji (nawet ofiary wstrząsów, w tym Teng Siao-ping, przyznają że Mao ich chronił), lecz o udzielenie im lekcji. Gwałtowny i chaotyczny przebieg rewolucji, nad którym kontrolę udało się przejąć elementom najbardziej skrajnym, nie mógł jednak wykształcić nowych mniej shierarchizowanych instytucji, a doprowadził do restauracji starego systemu, w którym partia kieruje wszystkim.

W rezultacie „rewolucji kulturalnej" (łącznie z czystką, której dokonano po ujawnieniu „bandy czworga"), prawie 90 proc. chińskiej kadry — działaczy na kierowniczych stanowiskach partyjnych i państwowych, w taki czy inny sposób poddanych było przesłuchaniu i prześladowaniu. Spowodowało to olbrzymie straty w sferze moralnej. Zwłaszcza starsi wiekiem działacze są dziś sfrustrowani i zniechęceni.

Ten Siao-ping uważa, że dla ukierunkowania polityki Chin na najbliższe dziesięciolecia, które winny obejmować modernizację kraju, trzeba możliwie wszędzie obsadzić stanowiska zwolennikami obecnego kursu. Sam Teng został zrehabilitowany na miesiąc przed poprzednim zjazdem partii, jego więc wpływy były wówczas niewielkie i składy gremiów kierowniczych zawierają jeszcze znaczny odsetek ludzi związanych z poprzednią polityką.

Przypomnieć tu można, że rywalizacja o władzę rozpoczęła się w styczniu 1976 r. gdy zmarł Czou En-laj. Śmierć premiera, którego plany Mao podważał, umożliwiła odsunięcie od władzy Tenga i zapewniała ją grupie radykałów. Jednakże wśród samych zwolenników Mao Tse-tunga istniał podział. Aby po śmierci Mao władza nie przeszła w ręce jego krewnych — żony Ciang Cing oraz bratanka, Juan-sina, skuteczną akcję podjął kierownik Kancelarii Głównej, Wang Tung-sing. Dzięki wsparciu jakiego udzielił mu wraz z grupą najstarszych działaczy Je Cien-ing, na następcę Mao został wybrany Hua Kuo-feng, a „banda czworga" została aresztowana. Przewodniczący Hua popierał rehabilitację Tenga, gdyż pojawienie się groźnego rywala dla Wanga (dał przecież Hua władzę), gwarantowało mu umocnienie własnej niezależności.

Między Wangiem, który wychwalał „rewolucję kulturalną" lecz atakował „bandę czworga", a Tengiem rozpoczęły się ostre spory; wnet Tengowi udało się wymanewrować Wanga i odebrać mu główne atrybuty władzy. Poszerzając grono swych zwolenników, czemu skutecznie służyło obnażanie skutków „rewolucji kulturalnej", Teng skoncentrował swój atak na przewodniczącym Hua Kuo-fengu. Dopiero jednak w ubiegłym roku na VI Plenum KC Hua został pozbawiony funkcji; Teng wielkodusznie odrzucił propozycje objęcia tego stanowiska.

Odzyskiwanie czasu

Dziś wszystko odbywa się w Chinach tak jak gdyby partia chciała odzyskać czas stracony na poszukiwania inicjowane przez Mao i jak najszybciej dokonać niezbędnych reform władzy. W związku z tym zwłaszcza podkreśla się wagę współczesnej kultury i inteligencji. Partia stara się dowieść jej ważnego miejsca i roli w społeczeństwie. Tej warstwie społecznej powierza się też zadanie dźwignięcia duchowego narodu, który doznał od maoistów tylu upokorzeń i cierpień.

Równocześnie ogromnym problemem w odzyskiwaniu straconego czasu (określenie to często powtarzane jest w oficjalnych wystąpieniach) jest właśnie kwestia sukcesji pokoleniowej jak i personalnej. Ta kwestia wynika i z faktu, że pokolenie, które winno zastąpić starą kadrę, obarczone jest winą za bierność oraz złe zachowanie się podczas „rewolucji kulturalnej": nie potrafiło zjednoczyć ze sobą kadrowców i inteligencji.

Z drugiej strony zamiar zdecentralizowania najwyższej władzy dla zapobieżenia sytuacji jaka miała miejsce za czasów Mao oraz projekt ścisłego rozgraniczenia funkcji między aparatem partyjnym a państwowym, napotyka na poważne przeszkody. Nadal bowiem w kierowniczym aparacie partyjnym i państwowym występują podziały polityczne i nowa linia napotyka na znaczne opory. Ponadto osoby wczoraj zrehabilitowane żądają, obejmując stanowiska, gwarancji zabezpieczających ich przed wydarzeniami w rodzaju „rewolucji kulturalnej". I zupełnie już czynnik nowy: przywracanie praworządności w Chinach „umożliwiło ożywienie się sił ultralewackich.

■